

**WŁASNE
POLE WALKI**
NOWY
POLIGON
RATOWNICZY
W ŁODZI

IRAN
Przygotowanie
żołnierzy
do działań
asymetrycznych

**DO WOJA
MARSZ!**
Prosta droga
z biura
do koszar



**ALEKSANDER
ŻABCZYŃSKI**
Amant
polskiego
kina na
froncie

DEBATA

Wojnę zawsze wygrywa rezerwa

SZLIFOWANIE KONCEPCJI NARODOWYCH SIŁ
REZERWOWYCH PO TRZECH LATACH
ICH FUNKCJONOWANIA



Droga
do spójności

Zmagania
z ciągłym ryzykiem

Nowa
przestrzeń rażenia

PRZEGLĄD nr 1 / 2014 SIŁ ZBROJNYCH

Cena 10 zł (w tym 5% VAT)

W O J S K O W Y I N S T Y T U T W Y D A W N I C Z Y



DOSTĘPNY JUŻ OD STYCZNIA 2014 ROKU

JEDEN ZAMIAST TRZECH, CZYLI ARSENAŁ WIEDZY O WOJSKU

„PRZEGLĄD MORSKI”, „PRZEGLĄD WOJSK LĄDOWYCH”,
„PRZEGLĄD SIŁ POWIETRZNYCH” W NOWEJ ODSŁONIE

ZAMÓWIENIA NA ROCZNĄ PRENUMERATĘ PROSIMY PRZESYŁAĆ NA ADRES:
PRENUMERATA@ZBROJNI.PL LUB SKŁADAĆ TELEFONICZNIE, DZWONIĄC POD NUMER: 22 684 04 00.



WOJCIECH KISS-ORSKI

CZY TRZY LATA SĄ ZBYT KRÓTKIM OKRESEM, BY ZBUDOWAĆ COŚ OD POCZĄTKU I DOBRZE?

Na głównych stronach internetowych wojewódzkich sztabów wojskowych, na przykład we Wrocławiu, definicja Narodowych Sił Rezerwowych brzmi tak: „wyselekcjonowany ochotniczy zasób żołnierzy rezerwy, posiadających przydziały kryzysowe na określone stanowiska służbowe w jednostkach wojskowych, nadane w wyniku ochotniczo zawartych kontraktów na pełnienie służby wojskowej w rezerwie i pozostających w dyspozycji do wykorzystania w przypadku realnych zagrożeń militarnych, zarówno w kraju jak i za granicą”.

Teoretycznie wszystko się zgadza, tyle że od trzech lat coś w tym systemie szwankuje i to na tyle poważnie, że potrzebne są korekty i zmiany w prawie, a rząd przyjął już projekty ustaw o powszechnym obowiązku obrony i uposażeniu żołnierzy zawodowych, które mają nieco „ożywić” Narodowe Siły Rezerwowe. Minister obrony narodowej powołał też specjalny zespół ekspertów, pracujący w Akademii Obrony Narodowej, którzy przygotują systemowe rozwiązania dotyczące NSR. Zmian będzie więc sporo. Być może wreszcie naoliwią one lekko zatarte dziś łożyska koła zamachowego armijnej rezerwy.

Sam pomysł powstania tej formacji był taki sam, jak w innych krajach. Na początku było optymistycznie, ale potem wyszło jak zawsze. Jakie błędy popełniono, że najlepiej jest z chętnymi do korpusu szeregowych, gorzej zaś z oficerami i podoficerami? Dlaczego do NSR nie zgłaszali się byli żołnierze? Czy zwiększenie zainteresowania służbą w NSR ogranicza się wyłącznie do motywacji finansowych? A może dobrze to wszystko pomyślano, ale źle wdrożono, bo zabrakło wizji dotyczącej miejsca NSR w systemie obronnym państwa?

Na te i inne pytania, głosem fachowców, staramy się odpowiedzieć w tekście głównym.

Na zachętę zacytuję wypowiedź jednego z naszych rozmówców: „Czy jeśli zabraknie odpowiedniej liczby ochotników, trzeba będzie rozważyć przywrócenie poboru?”.

➤ Więcej o NSR na stronach 12–27



ŁUKASZ KERMEŁ / 17 WBZ

DEBATA „POLSKI ZBROJNEJ” O NARODOWYCH SIŁACH REZERWOWYCH

armia

PIOTR BERNABIUK, PAULINA GLIŃSKA, TADEUSZ WRÓBEL
12 | Wojnę zawsze wygrywa rezerwa

TADEUSZ WRÓBEL
20 | Szlifowanie modelu
Drugie podejście do koncepcji NSR

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
24 | Do woja marsz!
Przygoda na poligonie czy przerwa w życiorysie?

ANNA DĄBROWSKA
26 | Zapach prochu
Rezerwista na misji w Afganistanie

PIOTR BERNABIUK
28 | Własne pole walki
Jak udzielić pierwszej pomocy pod ostrzałem?

ANNA DĄBROWSKA
32 | Ostrze włóczy
„Staedfast Jazz” – natowskie ćwiczenia w Polsce

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
40 | Specjaliści od spraw trudnych
Duchowe wsparcie dla żołnierzy na misjach

PIOTR BERNABIUK
42 | Komandos z koloratką
Marek Rycio: „Sprawami ciała zajmują się lekarze. Duchem natomiast dowódcy, psycholodzy i kapelani”.

JAROSŁAW RYBAK
46 | Zasady profesjonalistów
Task Force-50: odpowiedni żołnierze we właściwym miejscu

BOGUSŁAW POLITOWSKI
49 | Drugie życie porucznika
Mógłby należeć do klubu szczęściarzy – żołnierzy, którzy cudem uniknęli śmierci.

PIOTR SZCZEPAŃSKI
52 | Tropikalny test



CM 3° REI / CCH TEUDEAN

52

STUDENT WROCŁAWSKIEJ SZKOŁY OFICERSKIEJ NA SZKOLENIU W GUJANIE FRANCUSKIEJ

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
56 | Wsparcie specjalne
Poszkodowani na misjach mogą otrzymać od premiera specjalną rentę.

militaria

KRZYSZTOF WILEWSKI
62 | Przewrót pałacowy
Artyleria na kołach czy na gąsienicach?

TADEUSZ WRÓBEL
69 | Mocna trójka
Amerykański niszczyciel jak z filmów science fiction

bezpieczeństwo

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
72 | Prestiżowa bomba
Irański prezydent na nuklearnej huśtawce

PAWEŁ HENSKI
76 | Walka z Goliatem
Jak przygotować armię regularną do działań asymetrycznych?

ADAM GWIAZDA
81 | Archipeląg niezgody
Wieloletni spór o siedem bezludnych wysepek

wojny
i pokoje

- ANNA DĄBROWSKA
86 | Manewry wojenne
Aleksander Żabczyński, amant polskiego kina przedwojennego, na froncie

- TADEUSZ WRÓBEL
90 | Raid kajakarzy
Brawurowa akcja brytyjskich komandosów w czasie II wojny światowej

- MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
93 | Z jaszczurką na ramieniu
Filozofia dwóch wrogów żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej

- ROBERT CZULDA
98 | Czarny łowca

98 NASZ NOWY CYKL „NIEZWYKŁE MASZyny” ROZPOCZYNAMY OPISEM SAMOLOTU, KTÓRY ZASŁYNAŁ W HISTORII JAKO POGROMCA REKORDÓW

horyzonty

- PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
102 | Historię malowane

102 SAMOLOTY NA BOJOWO I NA KOLOROWO



- ŁUKASZ ZALESIŃSKI
112 | Sztorm na ringu
Podporucznik marynarki Piotr Hallmann mistrzem mieszanych sztuk walki

LOCKHEED MARTIN



SEKRETARIAT WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl,
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl
SEKRETARIAT REDAKCJI
Aneta Wiśniewska (sekretarz redakcji),
tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213
Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl, pz@zbrojni.pl

WSPÓŁPRACOWNICY
Piotr Bernabik, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Robert Czulda, Adam Gwiazda, Paweł Henski,
Włodzimierz Kaleta, Ewa Korsak, Jakub Nawrocki,
Bogusław Poltowski, Jarosław Rybak, Piotr Szczepański,
Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Łukasz Zalesiński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170
FOTOREDAKTOR
Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Renata Gromska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), Anita Kwatrowska (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustkowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl



Zdjęcie na okładce:
Łukasz Kermel/17 WBZ

Numer zamknięto:
21.11.2013 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

DRUK
Drukarnia Trans-Druk spółka jawna, Kraśnica k. Konina

PRENUMERATA
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:
prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7.00 – 18.00.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.
NAC PARTNER: Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

flesz

W LISTOPADZIE DO 8 BAZY LOTNICTWA TRANSPORTOWEGO

dotarły ostatnie dwa z szesnastu zamówionych samolotów C-295M. Na zdjęciu „Kaśka”, numer boczny 026, tuż po przylocie z Sewilli, gdzie znajduje się siedziba producenta.





Badania obronne

Modernizacja polskiej armii wymaga naszej obecności w wielonarodowych badaniach i projektach innowacyjnych.

Minister Tomasz Siemoniak, tak jak pozostali szefowie obrony z krajów Unii Europejskiej, na spotkaniu w Brukseli podpisał przygotowany przez Europejską Agencję Obrony (European Defence Agency, EDA) list intencyjny w sprawie prac nad bezzałogowymi systemami latającymi. W projekt ten wpisują się plany modernizacyjne polskiej armii.

Polska jest zainteresowana także udziałem w wielonarodowych programach dotyczących cyberobrony i łączności satelitarnej. Rozwój europejskiej bazy technologiczno-przemysłowej i zacieśnianie współpracy w tej dziedzinie omawiano również na posiedzeniu Rady Sterującej EDA. Do zadań agencji należą między innymi koordynacja międzynarodowych prac badawczo-rozwojowych i opracowywanie programów zbrojeniowych. P.Z., J.T.

SHOTS STUDIO / FOTOLIA ©



Równa konkurencja

Polscy politycy zablokowali nieodpowiadający naszym interesom dokument dotyczący unijnej polityki zbrojeniowej.

Na posiedzeniu szefów resortów obrony i spraw zagranicznych państw Unii Europejskiej w Brukseli omawiano tematykę grudniowego szczytu Rady Europejskiej oraz wstępne propozycje dokumentu dotyczącego konsolidacji unijnego przemysłu obronnego. Podstawowym założeniem tego projektu jest wzmocnienie spójności europejskiej zbrojeniówki z uwzględnieniem różnego poziomu rozwoju krajowych przemysłów. Niektóre punkty tego

programu, zdaniem polskich ministrów: obrony – Tomasza Siemoniaka (na zdjęciu) i spraw zagranicznych – Radosława Sikorskiego, byłyby niekorzystne dla naszego przemysłu zbrojeniowego. Na ich podstawie do projektu mogłyby dołączyć jedynie państwa, które mają silnie rozwinięty sektor obronny, co wyklucza udział w nich mniejszych krajów, takich jak Polska. Taki zapis oznaczałby, że większość zamówień na uzbrojenie dostawałyby firmy, które już mają silną po-

zycję na rynku. Polscy dyplomaci zabiegali o to, aby w unijnym dokumencie zapisać gwarancje, że jeśli koncern zbrojeniowy wygra przetarg, zobowiąże się do produkcji części sprzętu w kraju, z którym podpisał kontrakt na dostawę uzbrojenia. Polską inicjatywę poparły Rumunia i Bułgaria.

„Unia z założenia ma traktować równo wszystkich swoich członków. Dlatego chcemy, by europejski przemysł rozwijał się w sposób zrównoważony”, podkreślał minister Siemoniak. Szef MON dodał, że w ciągu najbliższej dekady Polska zainwestuje miliardy złotych w modernizację armii, ale powinny na tym skorzystać nasze przedsiębiorstwa obronne. Kolejną niekorzystną dla nas propozycją jest wprowadzenie



przegląd miesiąca

możliwości dotowania ze środków publicznych małych i średnich przedsiębiorstw z branży obronnej. Na wsparcie nie mogłyby jednak liczyć zakłady państwowe. Takie rozwiązanie nie spowodowało się polskim politykom, ponieważ większość naszych firm obronnych należy do skarbu państwa.

„W trosce o bezpieczny rozwój naszego przemysłu obronnego, zablokowaliśmy przyjęcie projektu wniosków na grudniowy szczyt szefów państw i rządów Unii”, tłumaczył Radosław Sikorski.

Minister Siemoniak dodał, że powodem polskiego sprzeciwu jest chęć zwiększenia szansy i możliwości polskich firm zbrojeniowych w konkurencji na rynkach europejskich. P Z, J T ■

Szansa w cywilu

Każdego roku MON przeznacza kilkanaście milionów złotych na przekwalifikowanie żołnierzy.

Na najbliższe pięć lat resort obrony zaplanował około 13 milionów złotych rocznie na programy przekwalifikowania zawodowego wojskowych. Prawo do rekonwersji przysługuje każdemu żołnierzowi już po czterech latach służby, nie wcześniej jednak niż dwa lata przed zwolnieniem z wojska. Żołnierz może ukończyć szkołę średnią, studia lub zdobyć nowy zawód. Dostaje też szansę na uzyskanie specjalistycznych kwalifikacji poszukiwanych na rynku pracy. Jak poinformowali po-

słów sejmowej Komisji Obrony Narodowej przedstawiciele ministerstwa obrony, w 2012 roku oficerowie korzystali głównie z ofert studiów podyplomowych i kursów językowych. Ogółem wydano na ich rekonwersję ponad 2,5 miliona złotych. Z kolei podoficerowie wybierali przede wszystkim kursy prawa jazdy oraz ochrony osób i mienia. Kosztowały one blisko 6,8 miliona złotych. Szeregowi także doskonalili umiejętności jazdy oraz szkolili się na operatorów koparko-ladowarki. P Z, J T ■

Zadzwoń po wsparcie

Wkrakowskim Centrum Pomocy Społeczno-Psychologicznej „mundurowi24.pl” całodobowe dyżury mają pełnić psychiatry, psychologowie, terapeuci oraz księża. Mogą się tam zgłaszać znajdujący się w trudnej sytuacji żołnierze, policjanci, funkcjonariusze Straży Granicznej i ich rodziny. Centrum ma koncentrować się głównie na anoni-

mowym i nieodpłatnym wsparciu osób, które cierpią na PTSD lub inne zaburzenia emocjonalne spowodowane pobytem na misji.

Na początku wsparcie będzie można dostać przez telefon i internetowe komunikatory, później na spotkaniach z terapeutami. Pierwsze dyżury mają ruszyć w połowie grudnia. P Z, M K S ■

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

mjr. Antoniego Tomiczka

pilota II wojny światowej, żołnierza o wspaniałej karcie kombatanckiej, pilota 301 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Pomorskiej” im. Obrońców Warszawy, miłośnika wojska i lotnictwa.

Rodzinie i Bliskim

oraz całej lotniczej społeczności
składałem serdeczne wyrazy współczucia.

Tomasz Siemoniak
minister obrony narodowej

Z głębokim żalem pożegnaliśmy

Tadeusza Mazowieckiego

działacza opozycyjnego, publicystę, pierwszego niekomunistycznego prezesa Rady Ministrów. Szczere kondolencje i wyrazy współczucia

Rodzinie, Bliskim, Przyjaciołom i Współpracownikom

w imieniu żołnierzy, funkcjonariuszy i pracowników
Służby Kontrwywiadu Wojskowego
składa kierownictwo SKW.

Wesołych Świąt

*Czytelnikom „Polski Zbrojnej”
życzy redakcja*



przedświąteczne manewry Świętego Mikołaja



PIOTR
BERNABIUK

Wieża Babel

**ZMIANY W SPOSOBIE
POROZUMIEWANIA SIĘ SĄ
W ZNACZNYM STOPNIU
ZNAKIEM CZASU, PRZEMIAN
ZACHODZĄCYCH NA GÓRZE
I W SZEREGACH**



Jako autor dzieła pod tytułem „O tym, jak dziadek ciął komara, a kot jechał trójmiasto na wyjściowo” (za przetłumaczenie tego zdania na polski nagroda – pochwała w jadłospisie), a także bywalec zarówno salonów wojskowych, jak i poligonowych zakamarków, mam ucho wyczulone na słowo. W efekcie odróżniam co najmniej kilka języków: oficjalny, używany na uroczystych wystąpieniach; sztabowy, specjalny i nie dla wszystkich czytelny, ale zawierający głębokie treści; język regulaminów, komend i rozkazów, w którym każde słowo ma swoją wagę; „sojusznicy”, w którym po dwóch zdaniach można rozpoznać światowca, ale prosty człowiek nie rozgryzie nic bez słownika; wreszcie slang żołnierski, używany w szeregach, barwny, kwiecisty, acz niedorównujący dawnej szwejskiej gwarze. Jak tu zatem bez wsparcia tłumacza żołnierze mogą się porozumieć?

Zmiany w sposobie porozumiewania się są w znacznym stopniu znakiem czasu, przemian zachodzących na górze i w szeregach. Jeżeli przebywa się w gronie zawodowców, szeregowych i kaprali, szczególnie podczas zajęć prowadzonych w polu, to można usłyszeć, jak bardzo zmieniły się i język żołnierski, i forma wydawania poleceń. Jeszcze przed paru laty, gdy ćwiczyli „szweje” ze służby zasadniczej, znacznie więcej było krzyku, padało więcej komend wzmacnianych często ciężkim słowem. Dobry dowódca drużyny wyróżniał się słowną ekspresją. Dziś gadania wiele nie potrzeba. Sierżant się podnosi, przelatuje wzrokiem po swoich ludziach, niby od niechcenia. Natychmiast wszyscy się zbierają energicznie i biorą do roboty, bo jak dowódca wstał, to znaczy, że skończyła się przerwa.

Nie wszyscy jednak starają się sobie i innym uprościć życie. Szczególnie aktywni, jeśli chodzi o zmiany w komunikowaniu się żołnierzy, są bywalcy zagranicznych kursów, misji i przebywający gdzieś w świecie na kontraktach. W dobrym tonie jest dziś bowiem oszołomienie rozmówcy frazami w języku angielskim, a dokładniej w „amerykańskim wojskowym”. Wypada to czynić w sposób jak najbardziej naturalny, by słuchacz stojący z otwartą gębą odniósł wrażenie, że z dwóch języków to polski jest dla mówiącego bardziej obcy. Ten styl przejmują już podoficerowie, którzy niby zacinają się w czasie gorącej dyskusji i mówią: „Poczekaj stary, niech pomyśle... Jak to będzie po polsku?”. A jak już żołnierz światowiec przechodzi na język ojczysty, to musi elokwentnie oświadczyć, iż „działania kinetyczne odbywają się na teatrze działań”.

Te różnice językowe, trochę jak z wieży Babel, odciskają piętno również na pracy dziennikarskiej. Pan sierżant na naszą prośbę napisał kilka stron refleksji na temat swej służby, a przy okazji dla wojskowych czytelników przedstawił zbiór bezcennych porad prosto z pola walki. Zastrzegł nam jednak, że dzieło musi zostać zaakceptowane przez przełożonych, bo takie są regulaminowe zasady. Po paru dniach, zamiast tekstu, trafiła do nas instrukcja. Zwięzła, konkretna i na temat. Na początku myśleliśmy, że zaszła jakaś pomyłka... Szybko jednak pojęliśmy, że pomyłki nie ma – po prostu dotarł do nas efekt tłumaczenia tekstu, szczebel po szczeblu, na kolejne wojskowe języki.

A może Bóg, mieszając budowniczym wieży Babel języki, nie zamierzał powiększyć chaosu, lecz po prostu zaprowadzić porządek?

A może Bóg, mieszając budowniczym wieży Babel języki, nie zamierzał powiększyć chaosu, lecz po prostu zaprowadzić porządek? ■

| D E B A T A |

WOJNĘ Z A W S Z E W Y G R Y W A R E Z E R W A

Narodowe Siły Rezerwowe powstały trzy lata temu, ale dziś ta koncepcja wymaga pewnych zmian. Eksperti uspokajają jednak, że rewolucji w NSR nie będzie. Trzeba doskonalić to, co już zostało zbudowane.

ŁUKASZ KERMEŁ / 17 WBZ



Polska Zbrojna: Po zawieszeniu poboru i utworzeniu armii zawodowej pojawiła się konieczność poszukania nowych sposobów pozyskiwania wyszkolonych rezerw dla sił zbrojnych. Rozwiązaniem miało być powołanie Narodowych Sił Rezerwowych. Dziś, po trzech latach od utworzenia tej formacji, trwa burzliwa dyskusja, czym jest i jakim celom powinna służyć.

Leszek Jankowiak: Zaczniemy od przypomnienia rzeczy najważniejszej. Siły Zbrojne RP służą ochronie niepodległości państwa oraz niepodzielności jego terytorium, zapewnieniu bezpieczeństwa i nienaruszalności jego granic. NSR zostały zaprojektowane jako element sił zbrojnych i mają dokładnie takie same zadania.

Polska Zbrojna: Czy zatem Narodowe Siły Rezerwowe mogą być wykorzystane na przykład w sytuacjach kryzysowych?

Roman Siciński: Tak, podobnie jak całe siły zbrojne. Wyraźnie należy jednak podkreślić, że w tym wypadku słowo „kryzys” jest często mylnie rozumiane i interpretowane, i to nie tylko przez dziennikarzy, lecz także przez niektórych profesorów.

Leszek Jankowiak: Słownik terminów dotyczących bezpieczeństwa narodowego, wydany przez Akademię Obrony Narodowej w 2010 roku, w odniesieniu do sił zbrojnych definiuje kryzys jako sytuację będącą następstwem zagrożenia i prowadzącą w konsekwencji do zerwania lub znacznego osłabienia więzów społecznych przy równoczesnym poważnym zakłóceniu funkcjonowania instytucji publicznych. Siły zbrojne, a więc tym samym i NSR, mogą brać udział w zwalczaniu klęsk żywiołowych i likwidacji ich skutków, w działaniach antyterrorystycznych i związanych z ochroną mienia, w akcjach poszukiwawczych oraz ratowania lub ochrony zdrowia i życia ludzi, a także wykonywać zadania związane z zarządzaniem kryzysowym. Należy jednak pamiętać, że jest to dla wojska dodatkowe obciążenie, ponieważ zgodnie z ustawą o zarządzaniu kryzysowym pierwsze skrzypce w takich sytuacjach zawsze grają organy cywilne. Wojsko może udzielić wsparcia, ale pod warunkiem, że akurat nie wykonuje ważniejszych z punktu widzenia państwa zadań.

Polska Zbrojna: Skąd się wzięła właśnie taka koncepcja NSR?

Leszek Jankowiak: Ogólna koncepcja jest taka sama jak we wszystkich państwach europejskich, które przeszły na system służby ochotniczej. Szczerze natomiast każdy kraj dostosował do swoich możliwości finansowych i mentalności społeczeństwa. Postąpiliśmy tak samo, uwzględniwszy nasze prawo i tradycje.

Polska Zbrojna: U nas pierwotnie zakładano, że szeregi NSR wypełnią żołnierze mający za sobą służbę czynną, którzy co roku będą przechodzić kilkutygodniowe szkolenie odtwarzające. Ochotnicy niesłużący nigdy wcześniej w wojsku mieli być jedynie uzupełnieniem. Stało się dokładnie odwrotnie. Czy w takiej sytuacji system rezerw może dobrze funkcjonować?

Leszek Jankowiak: Zdajemy sobie sprawę z tego, jaki potencjał stanowią żołnierze rezerwy. Założyliśmy więc, że bez trudu znajdziemy odpowiednią liczbę wyszkolonych ochotników. Wskazywały na to również badania społecznościowe przeprowadzone dla nas przez firmy zewnętrzne. Praktyka okazała się zupełnie inna. Początkowo zainteresowanie służbą w NSR było na oczekiwanym poziomie, ale już po trzech miesiącach okazało się, że nie ma tylu chętnych, ilu się spodziewaliśmy.

Waldemar Pawelec: Nie można jednak twierdzić, że jeśli nie pozyskujemy ludzi po zasadniczej czy zawodowej służbie wojskowej, to system nie funkcjonuje. Ochotnicy bez wojskowego przygotowania przechodzą czteromiesięczne intensywne szkolenie, a potem doskonalą się na ćwiczeniach. Wiem, jaką wartość ma takie przygotowanie, bo jeszcze dwa lata temu służyłem w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu. Nie ma w tym nic złego, że te proporcje się odwróciły.

Polska Zbrojna: W efekcie jednak służbę przygotowawczą dla ochotników bez wojskowego przygotowania, która miała rozpocząć się w 2011 roku, trzeba było uruchomić wcześniej.

Roman Siciński: Dokładnie w październiku 2010 roku. Stało się tak między innymi dlatego, że terenowe organy administracji wojskowej przekazały informacje o bardzo dużym zainteresowaniu społecznym tą formą służby wojskowej. A ci, którzy ją odbyli, stali się głównym źródłem naboru szeregowych kontraktowych.

Polska Zbrojna: A dlaczego byli żołnierze nie zgłaszali się masowo do NSR?

Roman Siciński: Wpłynął na to z pewnością stan finansów publicznych, w szczególności niekorzystne zmiany w planowanym systemie motywacyjnym. W koncepcji Narodowych Sił Rezerwowych zakładano, że każdy żołnierz będzie otrzymywał comiesięczną gratyfikację finansową, ponieważ w wolnym czasie musi się dokształcać, dbać o kondycję fizyczną, utrzymywać kontakt z WKU i wykonywać wiele innych zadań. Z powodu ogólnosięwiatowego kryzysu, który pozostawił ślad także w Polsce, ostatecznie wprowadzony system motywacyjny, zgodnie z decyzjami podjętymi poza wojskiem, został dostosowany do możliwości



PUŁKOWNIK
**MAREK
ORZECZOWSKI**

PEŁNI OBOWIĄZKI
ZASTĘPCY SZEFA
ZARZĄDU
ORGANIZACJI
I UZUPEŁNIEŃ
– P1 SZTABU
GENERALNEGO WP.

OD ROZPOCZĘCIA NABORU DO NSR DO WOJSKOWYCH KOMEND UZUPEŁNIEŃ ZGŁOSIŁO SIĘ PONAD 37 TYSIĘCY OCHOTNIKÓW

finansowych państwa. W konsekwencji więc zadziałał wolny rynek pracy i to spowodowało, że byli żołnierze zawodowi oraz służby zasadniczej nie wykazali zainteresowania NSR. Poszli tam, gdzie otrzymali lepsze warunki, co szczególnie przy wysokim bezrobociu nie może dziwić.

Waldemar Pawelec: W poznańskim centrum uczestniczyłem w komisjach rekrutacyjnych do szkolenia przygotowawczego. Kandydaci pytani o motywacje odpowiadali głównie, że chcą być żołnierzami zawodowymi, mieć etat, wynagrodzenie i świadczenia. Gdy tłumaczyliśmy, że najpierw muszą podpisać kontrakt na pełnienie służby w NSR, potem odbyć szkolenia rotacyjne, a dopiero kolejnym etapem będzie ubieganie się o zostanie żołnierzem zawodowym, odpowiadali, że z mediów mają inne informacje. Niektórzy, choć odbyli czteromiesięczne szkolenie, nie podpisywali kontraktów.

Roman Siciński: Rzeczywiście tak było, ale tylko podczas pierwszego czy drugiego turnusu. W efekcie młodzi ludzie mylili służbę przygotowawczą ze służbą kandydacką przygotowującą do służby zawodowej. Dzisiaj wszyscy odróżniają Narodowe Siły Rezerwowe od służby przygotowawczej. Świadczą o tym badania prowadzone przez Wojskowe Biuro Badań Społecznych i dane zbierane przez nas z centrów szkolenia. Na pierwszych turnusach służby przygotowawczej sprawność szkolenia, czyli stosunek osób powołanych do osób przeszkolonych, wynosiła około 70 procent, a w tej chwili stanowi 97–98 procent. Ci ludzie są zmotywowani, wiedzą, co ich czeka i jaka jest przed nimi ścieżka rozwoju. Oczywiście, głównym elementem motywacyjnym jest możliwość zostania żołnierzem zawodowym – lecz warunkami są odbycie ćwiczeń wojsko-

wych rotacyjnych, pozytywne opinie przełożonych, odpowiednie predyspozycje i kwalifikacje. Nie można również pominąć potrzeb sił zbrojnych, a mówiąc prościej – konieczne są wakaty na stanowiskach żołnierzy zawodowych.

Polska Zbrojna: Krótko mówiąc, niezamierzony efekt nie przyniósł fiaska?

Marek Orzechowski: Nie, bo nie jest tak, że ponieśliśmy koszty i nic w zamian nie zyskaliśmy. W sytuacji, gdy nie mamy zasadniczej służby wojskowej, służba przygotowawcza początkowo była przewidywana jako sposób pozyskiwania zasobów osobowych na uzupełnienie mobilizacyjne. Młode osoby, które odbyły służbę przygotowawczą, chociaż nie podpisały kontraktu do NSR, pozostają żołnierzami szeroko pojętej rezerwy, stanowią uzupełnienie mobilizacyjne sił zbrojnych.

Polska Zbrojna: Czy tak przygotowani rezerwiści są partnerami dla zawodowców?

Waldemar Pawelec: W batalionie mam czternaście stanowisk NSR. Prowadzę ocenę poziomu wyszkolenia drużyny, plutonu, kompanii. Przy „wkomponowaniu” żołnierzy rezerwy w strukturę pododdziału widzę jednak różnicę w poziomie ich wyszkolenia. Może należałoby się więc zastanowić nad dłuższym okresem doskonalącym? Niech każdy z dowódców przeprowadzi analizę, ile czasu potrzebuje konkretny żołnierz na osiągnięcie odpowiedniego poziomu, może nie 30, ale 70 dni ćwiczeń?

Polska Zbrojna: Dlaczego część osób, która odbyła przeszkolenie, nie chciała podpisać kontraktu z wojskiem?

Marek Orzechowski: Odbycie służby przygotowawczej ułatwia też dostanie się do policji, służby więziennej czy straży miejskiej. Formalnie zapis o konieczności uregulowania stosunku do służby wojskowej nie istnieje już od dawna, ale w jakimś stopniu podnosi wartość kandydata do służb mundurowych.

Leszek Jankowiak: Służba przygotowawcza została powołana w celu szkolenia żołnierzy rezerwy, a w konsekwencji potencjalnych kandydatów do Narodowych Sił Rezerwowych. Dlatego nie przewidujemy żadnych konsekwencji dla tych, którzy po jej ukończeniu nie podpiszą kontraktu na służbę w NSR. Nie każemy im też zwracać kosztów szkolenia. Tym samym osiągamy cel, którym jest kolejny wyszkolony żołnierz.

Polska Zbrojna: Mimo wszystko wydaje się, że żołnierz NSR zbyt łatwo może zrezygnować z kontraktu. Czy nie powinien mieć obowiązku złożenia wypowiedzenia z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem?

Waldemar Pawelec: Z wojskiem wiąże go stosunek cywilnoprawny, umowa zawarta z dowódcą jednostki. Gdy ją wypowie, automatycznie zasila rezerwy i możemy mu nadać przydział mobilizacyjny, a na jego miejsce przychodzi następny. Z założeń są to wyłącznie ochotnicy, którzy na każdym etapie służby czy nawet przygotowania się do niej mogą zrezygnować z NSR bez ponoszenia konsekwencji. Poza tym dziś ludzie mają inne podejście do służby niż przed laty, kiedy do wojska wcielano obowiązkowo.



Polska Zbrojna: Dość często kwestionuje się poziom żołnierzy NSR. Może dlatego, że czasami dla bezrobotnych jest to ostatnia deska ratunku?

Roman Siciński: Nie jest prawdą, że do Narodowych Sił Rezerwowych garną się głównie bezrobotni. Ponad 60 procent żołnierzy NSR ma stałą pracę, część stanowią byli żołnierze zawodowi oraz studenci. Nie są też ludźmi bez wykształcenia, ponieważ 15 procent z nich jest po studiach, a ponad 60 procent ukończyło szkoły średnie. Z wykształceniem gimnazjalnym mamy zaledwie kilka procent żołnierzy. Ponadto 90 procent eneserowców to ludzie przed trzydziestką. Nie można zatem twierdzić, że kandydaci idą do Narodowych Sił Rezerwowych, bo nie mają innych perspektyw. Wśród nich są też prawdziwi pasjonaci wojska.

Polska Zbrojna: Mamy za mało ochotników? A może za dużo?

Roman Siciński: Od momentu rozpoczęcia naboru do Narodowych Sił Rezerwowych do wojskowych komend uzupełnień zgłosiło się ponad 37 tysięcy ochotników, którzy złożyli wnioski o wykonywanie obowiązków w ramach NSR. W tej liczbie są również żołnierze, którzy odbyli służbę zasadniczą. Spośród 27 tysięcy, którym nadano przydziały kryzysowe, prawie 11 tysięcy spełniło wszystkie warunki formalnoprawne i uczyniło kolejny krok, przechodząc do zawodowej służby wojskowej. Kolejne ponad 20 tysięcy chętnych młodych ludzi czeka i dopytuje się, kiedy rozpocznie się kolejny turnus służby przygotowawczej, który pozwoli im rozpocząć przygodę z wojskiem.

Polska Zbrojna: A kiedy to się stanie?

Roman Siciński: Termin rozpoczęcia pierwszego turnusu służby przygotowawczej, na potrzeby korpusu szeregowych, został zaplanowany na 8 stycznia 2014 roku.

Polska Zbrojna: Ilu z oczekujących może liczyć na miejsce na kursach służby przygotowawczej?

Roman Siciński: Jednorazowo jesteśmy w stanie przeszkolić w centrach szkolenia do 1900 ochotników. W przyszłym roku planujemy trzy turnusy dla korpusu szeregowych po około 1700 osób oraz szkolenie około 220 studentów rocznie w ramach służby przygotowawczej. W sumie zostanie przeszkolonych ponad 5000 ochotników, podobnie jak w tym roku.

Polska Zbrojna: Czy te liczby są satysfakcjonujące?

Roman Siciński: Możemy mieć satysfakcję, że stanowiska szeregowych wypełniliśmy w 100 procentach. Niestety, z oficerskich zajęte jest tylko co piąte, a z podoficerskich – 30 procent. Nie musimy jednak szukać odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. O tym już mówiłem. Ludzie są pragmatyczni, a „niewidzialna ręka rynku” nie odróżnia terytorium wojskowego od cywilnego! Wprawdzie żołnierz rezerwy otrzymuje pieniądze za udział w ćwiczeniach, ale tak naprawdę nie mamy skutecznego systemu motywacyjnego. Bez zmiany tej sytuacji nigdy nie uzupełnimy wakatów na stanowiskach oficerskich i podoficerskich.



Polska Zbrojna: Ile jest etatów w NSR dla oficerów i podoficerów?

Marek Orzechowski: Trudno dziś podać precyzyjne liczby, ponieważ siły zbrojne są w przebudowie. Ponadto zmieniają się przepisy – od 1 stycznia wchodzi w życie nowa ustawa pragmatyczna. Oglądamy się też na dowódców, bo chcemy im pozostawić pewien luz, by mogli swoich żołnierzy służby czynnej przesuwac na stanowiskach w ramach jednostki.

Roman Siciński: Żandarmeria Wojskowa i Wojska Specjalne nie wyznaczają dziś takich stanowisk. Chcemy jednak, by znajdowały się one we wszystkich rodzajach sił zbrojnych.

Marek Orzechowski: Należy przy tym wyjaśnić, że jeśli w pokojowym etacie mamy przewidzianych 120 tysięcy żołnierzy, i zdarzy się tak, że nie wszystkie stanowiska będą uzupełnione, to nie oznacza, że przez te braki siły zbrojne nie są w stanie wykonać zadań. Na nieobsadzone stanowiska są nałożone przydziały mobilizacyjne. Jednostka wojskowa w razie wojny nie rozpocznie działań z wakatem, którego nie udało się uzupełnić żołnierzami NSR.

Waldemar Pawelec: Na pewno konieczna jest jednak analiza stanowisk, które obsadzają żołnierze NSR. Początkowo nie wszędzie zostało to przemyślane. Dowódcy, kiedy dostali polecenie przygotowania dla tych żołnierzy stanowisk, często wskazywali właśnie wakaty.



**PUŁKOWNIK
ROMAN SICIŃSKI**
JEST SZEFEM ODDZIAŁU
UZUPEŁNIENI POKOJOWYCH
I SŁUŻBY WOJSKOWEJ W ZARZĄDZIE
ORGANIZACJI I UZUPEŁNIENI – P1
SZTABU GENERALNEGO WP.



**PUŁKOWNIK
LESZEK JANKOWIAK**
JEST SZEFEM ZESPOŁU
DO SPRAW PROFESJONALIZACJI
SIŁ ZBROJNYCH RP.

EWA KORSAK

Polska Zbrojna: Wykonano wówczas wiele nie do końca przemyślanych ruchów. Czy dziś można to zmienić? Czy w jednostkach jest możliwość wymiany etatów przewidzianych dla NSR?

Marek Orzechowski: Nikt nie zabronił dowódcy jednostki grupować żołnierzy NSR w ramach posiadanej struktury. Może „układać” ich w drużyny, plutony lub „rozrzucić” po całej strukturze. To on podejmuje decyzje, gdzie ich umieścić.

Roman Siciński: W pierwszym roku Sztab Generalny WP ustalił dla stanowisk NSR limity, które wszyscy chcieli sobie zmniejszyć. Nie było to możliwe, ponieważ zmniejszenie limitu w jednym rodzaju sił zbrojnych spowodowałoby zwiększenie go w innym. W efekcie odeszliśmy od tego i zastosowaliśmy jasną zasadę, która pozwala każdemu dowódcy jednostki wojskowej określić, ile powinien wytypować stanowisk dla żołnierzy NSR. A liczba ta wynika z rozdzielenia środków finansowych przeznaczonych dla żołnierzy zawodowych i dla NSR – przy czym na jedno stanowisko służbowe w tym drugim wypadku przewidziano znacznie mniej pieniędzy.

Polska Zbrojna: Czy można zmienić proporcje między zawodowcami a żołnierzami NSR?

Roman Siciński: Etat sił zbrojnych wynosi 120 tysięcy żołnierzy w czasie pokoju, w tym 100 tysięcy zawodowych i 20 tysięcy NSR. Jak już powiedziałem, na każdą z tych form służby są zaplanowane oddzielne pieniądze. Jeśli etat jest przeznaczony dla żołnierza NSR, to dowódca nie może wyznaczyć dodatkowe

go żołnierza zawodowego, bo nie dostanie na jego utrzymanie pieniędzy. W konsekwencji ci dowódcy, którzy nie wyznaczają stanowisk dla NSR, „hoduja” wakaty.

Polska Zbrojna: Nie można ich zapełnić?

Marek Orzechowski: Dowódca jest najbardziej zaangażowany w nabór wówczas, gdy przyjeżdża „kontrola po gotowości”. Gdy stanowiska NSR nie są obsadzone, dostaje dwóję za ukończenie. Wtedy robi się szum i rusza przyjmowanie żołnierzy. Lepiej tę procedurę rozpocząć jednak wcześniej, żeby nie zdawać się w pośpiechu na ludzi przypadkowych.

Waldemar Pawelec: Załóżmy taką sytuację: mam w drużynie osiem etatów i mogę obsadzić je w pełni żołnierzami służby czynnej lub podzielić, wypełnić w połowie żołnierzami NSR. Wolałbym mieć zawodowców, bo rezerwista jest do mojej dyspozycji góra przez 30 dni w roku. A osiem par rąk do pracy to nie cztery. Taka jest prawda.

Roman Siciński: Niektórzy dowódcy i ich przełożeni zapominają jednak, że szkolą swoich żołnierzy, i siebie również, nie na dzisiaj, tylko na czas „W”. Gdyby wszyscy o tym pamiętali, nie mielibyśmy takich problemów. Jest to zwyczajne wygodnictwo. Mamy do trzydziestu dni na szkolenie żołnierzy NSR i dowódca może je planować według potrzeb dowodzonej jednostki wojskowej – po 30 dni w jednym podejściu albo piętnaście razy po dwa dni wolne od pracy. Plan ten powinien wynikać wyłącznie z potrzeb szkoleniowych jednostki wojskowej i wykonywanych przez nią zadań.



Waldemar Pawelec: Lepiej szkolić rezerwy w ciągu tygodnia albo i dłużej, bo sam proces wcielenia, załatwiania formalności, trwa nieraz trzy dni. Nie zapominajmy przy tym o tak istotnej sprawie, jaką jest zgrywanie systemów walki, w których żołnierze NSR uczestniczą. A nie można ich wezwać na przykład na trzy dni, bo niejednokrotnie są to wielodniowe ćwiczenia. A dopiero gdy wezmą w nich udział, będziemy mogli mówić o ich wartości jako elementu sił zbrojnych.

Marek Orzechowski: Zgodzicie się ze mną, że do tego wszystkiego trzeba trochę zmienić mentalność ludzi. Byłem w Kanadzie, gdzie raz w miesiącu, w weekend, pojawiali się w bazie żołnierze rezerwy na szkoleniu. Nie mieli problemu z pracodawcą, a jeszcze sobie dodatkowo zarobili, bo im wojsko zapłaciło za przybycie.

Waldemar Pawelec: Kanadyjczycy widocznie mają takie rozwiązania systemowe. Są w sumie tylko dwa wyjścia. Mogę zastosować nieingerujący styl dowodzenia, wychodząc z założenia, że jak żołnierze przyszli, to sobie pójdą. W efekcie jednak z brakami w ich wyszkoleniu będę się zmagać ja sam jako dowódca. Jeśli natomiast dobrze ich wyszkolę, to w sytuacji wojennej będę miał większy potencjał. Wygram walkę i przeżyję. Ostatecznie wszystko się do tego sprowadza. W moim batalionie intensywność szkolenia przychodzących na dziesięć dni żołnierzy NSR jest bardzo wysoka. Planuję zajęcia również popołudniami. Nie ograniczamy się do zakładania maski przeciwgazowej i ćwiczenia musztry. Rozwijamy elementy brygadowego punktu zaopatrzenia i punktu zbiórki uszkodzonego sprzętu. Pokazujemy żołnierzom NSR, jaka jest rola pododdziałów logistycznych na współczesnym polu walki.

Polska Zbrojna: U nas szkolenie weekendowe wywołałoby protesty kadry...

Marek Orzechowski: Do takiego weekendowego szkolenia jest potrzebna zmiana mentalności i pewnych przepisów. Musi być sporządzony stosowny punkt w rozkazie, bo w razie wypadku pojawi się prokurator i zajdzie konieczność wypłaty odszkodowania. Musimy pod tym względem zabezpieczyć zarówno dowódcę, jak i rezerwistę.

Polska Zbrojna: Od dłuższego czasu w mediach przebijają się głosy o konieczności naprawy czy też ratowania, a nawet zastąpienia Narodowych Sił Rezerwowych czymś innym, zupełnie nowym. Tymczasem z naszej dyskusji wynika, że to zbędny alarm, konieczna jest jedynie korekta systemu. Nie trzeba wszystkiego zaczynać od nowa.

Roman Siciński: Nie dyskutujemy o jednorazowym wydarzeniu, lecz o nieustannym procesie wymagającym ciągłego doskonalenia. Jak na razie, nie zamierzamy wywoływać rewolucji, o której informują media, lecz doskonalić to, co już zostało zbudowane, bez burzenia generalnych założeń. I takie prace trwają. Należy jednakże zwrócić uwagę na to, że my jesteśmy tylko projektodawcami rozwiązań i ich wykonawcami. Ostateczne decyzje określające warunki realizacji, takie jak środki finansowe, terminy wdrażania rozwiązań, ochrona prawna ochotników, podejmuje politycy.



PODPULKOWNIK WALDEMAR PAWELEC

JEST DOWÓDCĄ
BATALIONU
LOGISTYCZNEGO
W 1 WARSZAWSKIEJ
BRYGADZIE
PANCERNEJ.

Polska Zbrojna: Armie mające długoletnie doświadczenie ze służbą wyłącznie ochotniczą przejawiają tendencje do tworzenia odrębnych oddziałów rezerwowych.

Roman Siciński: Podstawą naszych działań był rządowy program profesjonalizacji sił zbrojnych na lata 2008–2010, który określił między innymi liczebność sił zbrojnych i terminy realizacji poszczególnych zadań.

Waldemar Pawelec: Ponadto stworzenie odrębnych oddziałów kosztuje znacznie więcej.

Polska Zbrojna: Czy jednak nie należałoby skorzystać z doświadczeń innych i zasugerować zmiany kierunku?

Roman Siciński: Ale w jakim celu?

Polska Zbrojna: Bo trudno jest zajmować się żołnierzami NSR rozrzuconymi po różnych stanowiskach.

Roman Siciński: Tylko że tu nie chodzi o wygodę dowódcy, lecz o to, by jednostka wojskowa była przygotowana na czas mobilizacji i wojny. Każdy dowódca może dysponować żołnierzami NSR według potrzeb jednostki. Nie ma tu żadnych przeszkód i ograniczeń. I niektórzy dowódcy to robią.

Marek Orzechowski: W każdej jednostce jest inna sytuacja. Niektóre są na etapie zgrywania plutonu, inne – kompanii czy batalionu. Niekiedy mogą wystąpić trudności z połączeniem programu szkoleniowego całej jednostki ze szkoleniem NSR, gdzie jest duża rotacja żołnierzy. Oczywiście dowódcy narzekają, że NSR utrudnia im szkolenie, ale przeważnie to narzekanie wynika z natury Polaków. W tym roku, po czterech latach przerwy, testujemy szkolenie żołnierzy rezerwy, którzy stawiają się z obowiązku. I też dowódcy narzekają, że coś im nie pasuje. Czekamy więc na pierwsze wnioski, ale ze świadomością, że i w tym wypadku konieczna jest dobra wola obu stron.

Polska Zbrojna: Zmiany mentalne zachodzą bardzo wolno, a czas płynie nieubłaganie...

Marek Orzechowski: Jeśli ktoś był przekonany, że pstryknięciem palcami zbierzemy jedną szóstą stanu sił zbrojnych, następnie wyszkolimy tych ludzi i każda struktura mająca ich będzie zdolna wykonywać zadania na wysokim poziomie, to się mylił.

Roman Siciński: Wojskowi z delegacji zagranicznych przyjeżdżających do Polski niejednokrotnie gratulowali nam sukcesu, że w tak krótkim czasie dokonaliśmy rewolucyjnych zmian.

Leszek Jankowiak: Ukraina na przykład wzorowała się na naszym systemie. Słowacy, Niemcy i Duńczycy też byli zainteresowani naszymi doświadczeniami w tej dziedzinie.

Waldemar Pawelec: Na poprzednim szkoleniu rotacyjnym żołnierz NSR wykazywał nadzwyczajne zaangażowanie. Zapytałem, czy chciałby być żołnierzem zawodowym? Chciałby! No i dziś jest u mnie!

Polska Zbrojna: Partnerami w szkoleniu rezerw powinni być również pracodawcy rezerwistów. Bo to im odrywa się ludzi od roboty.

Leszek Jankowiak: Byłem na spotkaniu natowskim, na którym podawano wyniki badań przeprowadzonych przez Brytyjczyków. Tam pracodawcy są gotowi tolerować góra dwa tygodnie nieobecności pracownika. Możemy zrobić u siebie jedno dwutygodniowe szkolenie, a pozostałe dni z tych trzydziestu przeznaczyć na ćwiczenia weekendowe. Jest to wprawdzie, jak już wspomnieliśmy, kłopot dla dowódcy, bo musi zaangażować ludzi, sprzęt, ale w efekcie żołnierze będą zadowoleni, bo dostaną ekstra pieniądze za dwa dni weekendu, a pracodawca nie zabierze im ani złotówki z wynagrodzenia. W tym kierunku należałoby pójść. I do takich zmian mamy przygotowany system prawny.

Marek Orzechowski: Tym, co przyciąga do służby przygotowawczej, a potem do NSR, jest możliwość przejścia do zawodowej służby. To jest marchewka. My jednak wiemy, że musimy zaproponować coś bardziej wymiernego, na przykład pieniądze.

Polska Zbrojna: Tymczasem żołnierz dostaje pieniądze raz w roku.

Roman Siciński: Nagroda jest najbardziej skuteczna wtedy, kiedy jest wręczana natychmiast po dobrym wykonaniu zadania. Jeżeli żołnierz czeka na nią kilka miesięcy, to jej skuteczność maleje. To nie wojskowi jednak zdecydowali o takim rozwiązaniu.

Polska Zbrojna: W niektórych państwach, zamożniejszych od Polski, byli żołnierze służby czynnej trafiają z automatu na kilka lat do tak zwanej rezerwy operacyjnej. Może takie rozwiązanie zapęłniłoby wakaty na stanowiskach oficerskich i podoficerskich?

Marek Orzechowski: Tam żołnierze już w momencie wstępowania do służby wojskowej zdają sobie sprawę z takiego obowiązku. U nas oznaczałoby to zmianę zasad w trakcie gry. Konieczna byłaby też nowa regulacja prawna...

Polska Zbrojna: Coś się jednak ruszyło w kwestii zmian w prawie. Rząd przyjął już projekty ustaw o powszechnym obowiązku obrony i uposażeniu żołnierzy niezawodowych.

Leszek Jankowiak: Planowanych jest sporo zmian. Dotyczą między innymi zawierania kontraktów, nadawania przydziałów kryzysowych, szkolenia wojskowego i służby przygotowawczej. Większość z nich ma nie tylko zachęcić młodych ludzi do wstępowania w szeregi rezerwistów, lecz także do minimum ograniczyć biurokrację.

Roman Siciński: Dzięki zmianom możemy sprawy związane z NSR jeszcze bardziej uprościć, a przy tym obniżyć koszty.

Polska Zbrojna: Jakie więc to będą zmiany?

Leszek Jankowiak: Pojawi się na przykład możliwość aneksowania kontraktów w taki sposób, by nie trzeba było ich za każdym razem od nowa zawierać, bo ta procedura jest czasochłonna i kosztowna. Przewiduje się też zniesienie górnej granicy pozostawiania na przydziale kryzysowym. Obecnie służba w NSR może trwać maksymalnie 15 lat. Po likwidacji tego przepisu jedyną barierą pozostanie wiek kandydata. Zmieniają się również na korzyść warunki wypłaty uposażenia, między innymi będzie ono naliczane od stopnia etatowego zajmowanego stanowiska służbowego, a nie, jak dotychczas, od posiadanego stopnia wojskowego.

Polska Zbrojna: A jakie zmiany mają szczególnie zmotywować młodych ludzi do wstępowania do NSR?

Roman Siciński: Choć nie udało nam się na etapie uzgodnień międzyresortowych zachować naszej propozycji o comiesięcznym dodatku finansowym, to przygotowaliśmy inne zachęty. Jedną z nich jest na przykład możliwość rekompensowania przez armię kosztów podnoszenia kwalifikacji przez żołnierzy NSR. Nowością ma być także pieniężny dodatek dla tych, którzy zdobędą klasę kwalifikacyjną.

Polska Zbrojna: Mówimy o motywacji dla ochotników, a co z ich pracodawcami? Może obniżyć jakiś podatek, wprowadzić preferencje przy publicznych kontraktach?

Leszek Jankowiak: Na etapie tworzenia założeń do przepisów regulujących funkcjonowanie NSR były rozważane różne warianty rozwiązań, również takie z zastosowaniem ulg podatkowych dla pracodawców i możliwością preferencyjnego traktowania. W trakcie prac okazało się jednak, że tego rodzaju regulacje byłyby niezgodne z prawem Unii Europejskiej, ponieważ każdy z tych elementów nosi cechy pomocy publicznej dla przedsiębiorstwa, a tego unijne przepisy zabraniają. Możemy zatem w tej kwestii zaproponować udzielenie gwarancji zwrotu kosztów zatrudnienia pracowników w zastępstwie żołnierza rezerwy lub ułatwienia w ich uzyskaniu.

Waldemar Pawelec: Chcielibyśmy, by nie kształtowano negatywnej opinii o NSR, bo nie jest ona prawdziwa, a nadto niechęć do wstępowania w szeregi tej formacji. ■

DEBATĘ OPRACOWALI PB, PG, TW



SZLIFOWANIE

Eksperci przygotowują propozycje zmian koncepcji Narodowych Sił Rezerwowych.

TADEUSZ WRÓBEL

Narodowe Siły Rezerwowe istnieją w Polsce już trzy lata. „Trudno jednak w pełni obiektywnie ocenić ten projekt, bo dotychczas nie było możliwości jego zweryfikowania – jak dotąd, nie użyto w realnym działaniu jednostki wojskowej uzupełnionej rezerwistami”, zauważa generał dywizji Bogusław Pacek, rektor-komendant Akademii Obrony Narodowej. Minister Tomasz Siemoniak powierzył mu zadanie przygotowania propozycji nowych rozwiązań systemowych dotyczących NSR. Grono ekspertów przeanalizuje problemy wynikające z obowiązującego prawa, rozwiązań przyjętych na potrzeby naboru, szkolenia i organizacji.

Narodowe Siły Rezerwowe nie są oddzielnym komponentem Sił Zbrojnych RP. Służący w nich żołnierze są wyznaczani do

obsadzania etatowych stanowisk służbowych w jednostkach wojskowych, które nie zostały specjalnie oznaczone w dokumentach organizacyjno-etatowych. Obecnie jest około dziesięciu tysięcy żołnierzy NSR. Uwzględniając tych, którzy przeszli do czynnej służby bądź zrezygnowali, w ciągu ostatnich trzech lat przez ochotniczą rezerwę przewinęło się ponad 30 tysięcy osób. „Dziś już nie ma problemu z kandydatami”, mówi generał Pacek. „Jest ich więcej, niż wojsko zamierza przeszkolić w ciągu roku”. Część wojskowych zwraca uwagę na to, że najlepiej jest z chętnymi do korpusu szeregowych, bo oni mają szansę na przejście do służby czynnej. Gorzej jest z oficerami i podoficerami.

Początkowo założono, że do służby w NSR w pierwszym etapie przede wszystkim będą wstępować przeszkoleni żołnie-

➔ Zespół ekspercki

Rektor Akademii Obrony Narodowej powołał specjalny zespół, w którym się znaleźli między innymi pułkownik doktor habilitowany Tomasz Kośmider, profesor doktor habilitowany Józef Marczak, doktorzy Krzysztof Gąsiorek i Marian Kuliczkowski oraz były wiceminister obrony narodowej profesor doktor habilitowany Romuald Szeremietiew. Do współpracy zaproszono też przedstawicieli Sztabu Generalnego WP, Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych RP, Biura Bezpieczeństwa Narodowego oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zespół zamierza skorzystać także z wiedzy i doświadczenia osób, które przed laty były zaangażowane w tworzenie obrony terytorialnej, między innymi generała Januarego Komańskiego.

MODELU

ŁUKASZ KERMEŁ / 17 W B Z

rze, którym wystarczą krótkie ćwiczenia okresowe, by podtrzymać nabyte umiejętności. Stwierdzono też, że aby mieć szersze zasoby rezerwy, potrzebne będzie również szkolenie cywilów, którzy nigdy nie byli w wojsku. Z różnych powodów zainteresowanie żołnierzy służby zasadniczej wstąpieniem do NSR okazało się znacząco niższe od oczekiwanego przez wojsko. „W tej sytuacji cywile po czteromiesięcznej służbie przygotowawczej stali się trzonem rezerwy, zamiast jej uzupełnieniem”, wyjaśnia generał Pacek.

Istotnym problemem pozostaje kwestia właściwego zagospodarowania owych rezerwistów w siłach zbrojnych. Przy przejściu na służbę wyłącznie ochotniczą uznano, że 20 tysięcy etatów w wojsku nie wymaga stałej obecności żołnierzy, więc mogą je z powodzeniem obsadzić rezerwiści. Zostali oni, jak określił to szef MON, „rozsmarowani” po jednostkach wojskowych. Etaty dla nich stworzono niemal wszędzie, poza Wojskami Specjalnymi i Żandarmerią Wojskową. W batalionie może być kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu rezerwistów. Enese-

rowcy zajmują pojedyncze, rozproszone stanowiska lub tworzą odrębne pododdziały – drużyny i plutony.

Opinie dowódców o przyjętym przed kilku laty rozwiązaniu są podzielone. Wielu z nich sygnalizuje, że eneserowcy po służbie przygotowawczej odstają poziomem wyszkolenia od żołnierzy służby czynnej. Tych różnic nie da się zniwelować podczas 30 dni ćwiczeń w roku. Tym samym wyszkolenie rezerwisty negatywnie odbija się na poziomie przygotowania jednostki wojskowej, w której służy. Do tego dochodzi łatwość porzucenia służby. Dowódcy nie mają pewności, czy dany rezerwista zgłosi się na wezwanie.

ZWARTE PODODDZIAŁY

Dzisiejszy stan prawny pozwala na tworzenie różnych form organizacyjnych w ramach NSR. Wyznacznikiem przyjęcia określonego modelu powinny być zadania. Obecnie są one zbieżne z tymi, które przypisano Wojsku Polskiemu, choć nie ulega wątpliwości, że w sposób szczególnie te należące do NSR ➔

mogłyby się ogniskować wokół reagowania kryzysowego. Wymaga to zatem redefiniowania zadań i stworzenia określonych struktur organizacyjnych.

„Wojska operacyjne nie nadają się do takich zadań. Nie tylko z racji wysokich kosztów, lecz także z braku odpowiedniego wyszkolenia”, twierdzi były wiceminister obrony, profesor Romuald Szeremietiew.

„Przygotowując akademicki projekt Narodowych Sił Rezerwowych, rozważamy scenariusz jednorodnych pododdziałów – kompanii, a nawet batalionów. Możliwość ich tworzenia istnieje już dziś, choć w praktyce nie zdarza się to zbyt często. W czasie wojny pododdziały te funkcjonowałyby tak, jak dotąd, w strukturze jednostek wojskowych”, ujawnia generał Bogusław Pacek.

Ich liczba i wielkość byłyby uzależnione od kategorii, jaką ma dana brygada czy pułk. Nowością jest propozycja podporządkowania NSR strukturom terytorialnym, wojewódzkim sztabom wojskowym i wojskowym komendom uzupełnień, na przykład w razie klęski żywiołowej. „Należy wyraźnie zaznaczyć, że nie dążymy w tym modelu do stworzenia odrębnych jednostek obrony terytorialnej, lecz do zwiększenia zdolności obrony terytorialnej państwa”, zastrzega generał.

WZOREM GWARDIA

Według niektórych ekspertów optymalnym rozwiązaniem byłaby odrębna formacja rezerwy. „W siłach zbrojnych wielu państw można wyróżnić dwa komponenty – operacyjny i terytorialny. Pierwszy to wojska operacyjne, siła ofensywna, która może być użyta nie tylko do obrony własnego terytorium, lecz także w działaniach zewnętrznych. Drugi natomiast jest przewidziany tylko do obrony własnego terytorium”, stwierdza pro-

REZERWY OSOBOWE ZAJMUJĄ ISTOTNE MIEJSCE W SYSTEMACH OBRONNYCH WIELU PAŃSTW, WYKONUJĄC GŁÓWNIIE ZADANIA UZUPEŁNIENIA I WSPARCIA JEDNOSTEK OPERACYJNYCH

fesor Szeremietiew. W Polsce jako przykład takiej formacji najczęściej jest podawana amerykańska Gwardia Narodowa. „U nas, przez wzgląd na naszą historię, tę formację można nazwać Armią Krajową”, mówi generał Pacek. W jej skład weszłyby odrębne jednostki i bazy terytorialne.

„Dwa razy mieliśmy już obronę terytorialną. Pierwszy raz w okresie przedwojennym. Obrona Narodowa, choć była gorzej uzbrojona od wojsk operacyjnych, we wrześniu 1939 roku sprawdziła się, jeśli wykonywała zadania, do których była przeznaczona. W PRL istniała z kolei Obrona Terytorialna Kraju, ale jej wojska często były traktowane jako tania siła robocza. Próbowaliśmy stworzyć komponent terytorialny również po 1999 roku, ale zanim wypracowaliśmy ostateczny kształt tych wojsk, zostały one rozwiązane. Szkoda”, zauważa Romuald Szeremietiew. Podkreśla ponadto, że wojska operacyjne muszą mieć solidne wsparcie, aby mogły prowadzić skuteczne działania na terenie swego kraju. Wojska terytorialne potrzebne są również do wywiązania się z obowiązków państwa gospodarcza. „Bo musimy liczyć się z tym, że nieprzyjaciół może przeszkadzać w zainstalowaniu sił sojuszniczych na naszym terytorium.



NSR do poprawki

O konieczności zmiany koncepcji Narodowych Sił Rezerwowych i ich miejscu w systemie obronnym ze Stanisławem Koziejem rozmawia Tadeusz Wróbel.

Czy mamy problem z Narodowymi Siłami Rezerwowymi?

Problem jest nie z ludźmi, którzy przychodzą do NSR, lecz z samą koncepcją tych sił. Parę lat temu była ona prawdopodobnie dobrze pomyślana, ale została źle wdrożona. Moim zdaniem – przez brak strategicznej wizji co do miejsca i roli struktury rezerwowej. Rozmowę o takich siłach powinniśmy rozpocząć od pewnego fundamentu strategicznego, który znajdzie się w nowej strategii bezpieczeństwa narodowego. Punktem wyjścia do myślenia o właściwym modelu NSR jest tak zwana

doktryna Komorowskiego, w której priorytetowo traktuje się obronę kraju. Jedną z jej podstaw stanowi operacyjna niedostępność własnego terytorium dla nieprzyjaciela.

Czy taka miałyby być rola NSR?

Należy to postrzegać jako cały system mający zapewnić ową operacyjną niedostępność polskiego terytorium. W jego jądrze, jako jego najbardziej profesjonalny pierwszy krąg, widzę Wojska Specjalne ukierunkowane na zadania związane z obroną kraju. Jednostki Narodowych Sił Rezerwowych powinny stanowić drugi krąg tego sys-

temu. Kolejne elementy to przygotowanie potencjału rezerw mobilizacyjnych i sił obrony cywilnej, która wymaga dużych zmian.

Czy Narodowe Siły Rezerwowe powinny być odrębną strukturą?

Uważam, że tak. I jak zakładano na początku, złożoną z żołnierzy, którzy odeszli do rezerwy. Dlatego trzeba całkowicie zmienić istniejące rozwiązania. NSR nie mogą być „przedszkolem” przed wstąpieniem do wojska. Jeśli to się nie zmieni, rezerwa nie będzie zdolna do wykonywania zadań, o których mówiłem wcześniej.

Wówczas konieczna będzie osłona wojsk terytorialnych”, wyjaśnia były wiceminister obrony.

Według rektora AON realizacja takiego projektu wiąże się jednak z dużymi kosztami, co jest znacznym utrudnieniem w obecnej sytuacji ekonomicznej kraju. Były wiceszef MON zauważa jednak, że przyjmuje się, iż wchodzące w skład komponentu terytorialnego jednostki powinny być przygotowane także do prowadzenia działań nieregularnych, czyli partyzanczych: „Do tego typu działań nie potrzeba kosztownego, super-nowoczesnego uzbrojenia”.

Wyodrębnienie nowej formacji wiązałoby się nie tylko z dodatkowymi kosztami, lecz także z ograniczeniem struktur wojsk operacyjnych, które zostałyby pozbawione rezerwistów. Realizacja takiego scenariusza z pewnością nie spotka się z przychylnością wielu dowódców.

BUDOWA SYSTEMU REZERW

Kluczowym problemem, związanym z budową systemu obronnego państwa, jest przygotowanie wyszkolonych rezerw na potrzeby nie tylko sił zbrojnych, lecz także innych podmiotów bezpieczeństwa narodowego. Wymaga to zorganizowania odpowiedniego systemu szkolenia przygotowującego więcej rezerwistów niż dziś. Realizacja takiego projektu wiąże się jednak z dodatkowymi nakładami finansowymi i ze zmianami prawnymi, aby, jak zauważył rektor AON, „obywatelom opłacało się być przeszkolonymi obrońcami państwa”.

W systemie motywacyjnym dla żołnierzy NSR w obecnych warunkach społeczno-ekonomicznych istotne znaczenie mają zachęty materialne. Kwestii zwiększenia zainteresowania służbą w NSR nie można jednak sprowadzać wyłącznie do motywacji finansowych. Trzeba budować – i to jest rola władz i me-

diów – podstawy etosu pracy na rzecz państwa, tak aby w powszechnym odbiorze społecznym służba wojskowa wiązała się z prestiżem. Jednym z bonusów mogłyby być również preferencje przy ubieganiu się o zatrudnienie w szeroko rozumianych służbach publicznych. Poza tym muszą zostać uporządkowane wszelkie kwestie na linii pracodawca – rezerwista, żeby żołnierz rezerwy nie był dla firmy balastem, którego należy się pozbyć przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Generał Bogusław Pacek zwraca uwagę na jeszcze jedną drażliwą sprawę – czas trwania zawodowej służby wojskowej. W Polsce jest tendencja do jej wydłużania tak, by nawet szeregowiec mógł nabyć prawa emerytalne. W wielu państwach jednak tego się nie stosuje. Wojskowy odchodzący z sił zbrojnych po pięcio- czy ośmioletnim kontrakcie jest traktowany jako „wartość dodana”, bo zwiększa zasoby rezerwy.

Z jednej strony, u nas można byłoby zastosować rozwiązanie pośrednie – zaliczanie służby w NSR do wysługi służby zawodowej na korzystniejszych zasadach niż dotąd. Obecnie wliczany jest bowiem tylko udział w ćwiczeniach, a należałoby rozważyć, czy nie premiować okresu pozostawania na przydzielu kryzysowym. Z drugiej strony jednak, należy wprowadzić bardziej rygorystyczne zasady rezygnacji ze służby w rezerwie.

Odpowiedzi na wiele pytań dotyczących NSR – jak deklaruje generał Pacek – znajdują się w koncepcie przygotowywanym przez zespół ekspertów pracujący w Akademii Obrony Narodowej. Niezależnie jednak od przyjętego ostatecznego rozwiązania, system szkolenia rezerw w przyszłości musi stać się powszechny, w czym się zgadzają Bogusław Pacek i Romuald Szeremietiew. Ten ostatni dodaje: „Gdyby zabrakło odpowiedniej liczby ochotników do wykonania przewidywanych zadań, to trzeba by rozważyć przywrócenie poboru”.

Żołnierze odchodzący do rezerwy nie wykazują jednak zainteresowania służbą w NSR.

Konieczne jest stworzenie mechanizmów, które spowodują, że rezerwistom ze wszystkich korpusów osobowych będzie się opłacało wstąpić do NSR. Być może trzeba będzie też wprowadzić nowe rozwiązania prawne obligujące ich do bycia w tej rezerwie przez pewien okres po odejściu z wojska.

Na to potrzebne byłyby duże pieniądze.

Przecież równie kosztowne jest szkolenie na potrzeby NSR ludzi bez doświadczenia wojskowego. Poza tym, skoro mówimy o systemowym rozwiązaniu, to resort obrony musi się zastanowić, czy pewną kwotę pieniędzy przeznaczyć na zakup jakiegoś uzbrojenia, czy na przygotowanie zasobów ludzkich. Uważam,

że nie są to kwestie wzajemnie się wykluczające, tylko należy określić priorytety.

A może NSR powinny się stać odrębną formacją dla osób, które nie służyły w wojsku? Kwestie rezerw dla wojsk operacyjnych wtedy trzeba by rozwiązać inaczej.

Oczywiście można sobie wyobrazić, że budujemy obok sił operacyjnych równoległą strukturę o powszechnym charakterze, ale ja uważam, że armia zawodowa, przez rotację służących w niej wojskowych, zapewnia odpowiednią liczbę rezerwistów. Po prostu powinniśmy potrafić ich zagospodarować na rzecz bezpieczeństwa państwa. Dlatego nie ma potrzeby tworzenia odrębnej formacji ochotniczej. Powinny być wspierane proobronne działania organizacji społecznych, pozarządowych.

Czyli opowiada się Pan za odrębnymi jednostkami rezerwowymi, ale nie oddzielną formacją?

Tak, powinny one być częścią sił zbrojnych. Już dziś istnieje możliwość tworzenia takich jednostek, ale nie korzysta się z niej, bo ważniejsze jest zapewnienie wakatów w etatach, których nie powinno być. Niestety to konsekwencja tego, że nadal mamy zbyt dużą liczbę jednostek, które trudno zapęłnić żołnierzami zawodowymi i kontraktowymi. To nie ma sensu. Należy odważyć się dokonać komasacji wojska. Lepiej mieć mniej, ale w pełni ukompletowanych jednostek. Ułatwi to też reformę obecnej koncepcji NSR, która musi być radykalnie zmieniona.

STANISŁAW KOZIEJ
JEST SZEFEM BIURA
BEZPIECZEŃSTWA
NARODOWEGO.

DO WOJA MARSZ!

Różnią ich wiek, doświadczenie zawodowe i życiowe, a nawet to, w jaki sposób się tutaj znaleźli. Mają jednak cechę wspólną: niemal z dnia na dzień wkroczyli w zupełnie inny świat.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Znajomi bardzo różnie reagowali na to, że wyjeżdża na poligon. Koleżanki robiły wielkie oczy: „No co ty? Ty? Tak sama z siebie? Włożysz moro, wciągniesz ciężkie buciory i będziesz biegła z karabinem po poligonie?”. W sumie trudno im się dziwić. No bo czy niewysoka, spokojna blondynka pasuje do wojska? „Ale mnie ten świat, z dyscypliną, zasadami, tą całą szorstką otoczką, zawsze pociągał”, wylicza Sabina Łątka. Zgłosiła się do Narodowych Sił Rezerwowych, zdała egzamin, pojechała na szkolenie do Poznania. „Przeskok z codziennego życia do tego, co oferuje wojsko, jest ogromny”, przyznaje. „Ale proszę mi wierzyć, że po-

wróć do codzienności wcale nie jest trudny. Cieszę się, że znów mogę włożyć sukienkę i szpilki”.

RADOŚĆ I BÓL

Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy: „Dzieli ich chyba wszystko”. Naprzeciw mnie w wojskowym honkerze siedzą 31-letnia blondynka o śmiejących się niebieskich oczach i 39-letni, solidnie zbudowany mężczyzna, którego twarz jest umazana błotem.

Szeregowa Sabina Łątka mówi: „Przez dziesięć lat pracowałam jako terapeutka z dziećmi niepełnosprawnymi intelektual-



PIOTR RAJKOWSKI/22 KBPG

W SZKOLENIU NA POLIGONIE W ŻAGANIU WZIEŁO UDZIAŁ 500 ŻOŁNIERZY 22 KARPACKIEGO BATALIONU PIECHOTY GÓRSKIEJ Z KŁODZKA. PONAD 60 Z NICH TO OCHOTNICY Z NSR ORAZ REZERWIŚCI

KOMENTARZ



TOMASZ SZULEJKO

Przez ostatnie trzy lata nie powoływaliśmy rezerwistów na ćwiczenia, ponieważ koncentrowaliśmy się na uzasadnieniu armii. Teraz do tego wróciliśmy. Tylko w tym roku szkolenia przejdzie niemal trzy tysiące żołnierzy pozostających w rezerwie.

Putkownik **Tomasz Szulejko** jest rzecznikiem Sztabu Generalnego WP.

nie. Nigdy wcześniej nie byłem na poligonie. Można więc powiedzieć, że to jest mój debiut”.

Starszy szeregowy Rafał Domitrz na co dzień zajmuje się handlem. „Jestem regionalnym kierownikiem sprzedaży w jednej z firm na Dolnym Śląsku. Pracuję też jako instruktor nauki jazdy. Służbę zasadniczą odbyłem w 18 Batalionie Powietrzno-desantowym. Na koncie mam 29 skoków ze spadochronem. Chciałem pójść do szkoły oficerskiej, ale się tam nie dostałem. Armia zawsze była moim marzeniem. I teraz właśnie zaczyna się ono spełniać. Byłem już na kilku szkoleniach NSR i dostałem propozycję, by wstąpić do armii”.

Wbrew pozorom moi rozmówcy mają jednak ze sobą bardzo wiele wspólnego. Choćby to, że służą w jednej drużynie Narodowych Sił Rezerwowych. Wchodzi ona w skład 4 Kompanii 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej i ćwiczy właśnie na poligonie w Żaganiu. Aby zobaczyć to na własne oczy, trzeba zapuścić się w las. Ruszamy więc.

Już po kilkudziesięciu metrach wokół nas rozlegają się komendy i nawoływania. Po chwili dostrzegam pierwszych żołnierzy. Siedzą między drzewami w pobliżu nasypu kolejowego. Twarze mają umazane błotem, hełmy i mundury utkane liśćmi i gałązkami. Słowem: pełen kamuflaż. Po drugiej stronie leśnej drogi rozłożyło się obozowisko. „Dziś zadaniem żołnierzy było zajęcie tak zwanego rejonu wyjściowego, okopanie się i zamaskowanie”, tłumaczy starszy kapral Grzegorz Bandera, kierownik ćwiczeń. Teraz czekają na sygnał, by ruszyć w pole. A ci przy nasypie pilnują obozu i wysyłają sygnał, gdy tylko ktoś pojawi się w zasięgu wzroku.

Po drugiej stronie torów, na skraju polanki, kolejna grupa. Żołnierze przykłękają, mierzą w niebo z karabinów, na komendę oddają strzały. W ten sposób ćwiczą obronę przed atakiem z powietrza, na przykład uderzenie ze śmigłowca. Na razie na sucho, bez amunicji. W planie są jednak także strzelanie ostrą amunicją, rzut granatem, marsz z ubezpieczeniem. Podobne →

szkolenia żołnierze NSR przechodzą dwa razy w roku. „Co było najtrudniejsze? Chyba długie marsze w ciężkich żołnierskich butach. Zanim noga się do nich przyzwyczai, dopasuje, człowiek ma pełno otarć i odcisków”, wspomina szeregowy Łątka. To jednak dopiero początek. Na poligonie trzeba przywyknąć do wczesnego wstawania (tutaj o 5.30), dni ujętych w karby regulaminów i harmonogramów, zmęczenia, czasem też bólu, słuchania rozkazów. „Kobiecie jest trudno tym bardziej, bo to świat tradycyjnie przypisany mężczyznom”, podkreśla szeregowy. „Ale trochę dzięki temu między niewielu dziewczynami, które zdecydowały się tutaj przyjść, rodzi się jakaś dodatkowa więź, solidarność. W pokoju mieszkamy w siedem. Dużo ze sobą rozmawiamy i się wspieramy”.

URZĘDNIK NA POLIGONIE

Szeregowy Łątka i starszy szeregowy Domitrz do armii przyszli sami. W Żaganiu są jednak też tacy, o których wojsko się upomniało. Plutonowy podchorąży rezerwy Piotr Lachutta z Wałbrzycha ma 48 lat. Łapie go dosłownie w przelocie – właśnie wrócił z poligonu do obozowiska, gdzie jest zakwaterowany, a zaraz biegnie na kolejne zajęcia. Na pytania odpowiada krótko, jasno i treściwie. W dodatku kolejne zdania wyrzuca z siebie donośnym głosem: „No cóż, jesteśmy przecież w wojsku”.

Plutonowy Lachutta wrócił tutaj dokładnie po 25 latach. Czwierć wieku temu zakończył zasadniczą służbę wojskową. Teraz pracuje w wałbrzyskim urzędzie miejskim. Przed trzema miesiącami w skrzynce pocztowej znalazł zawiadomienie: na podstawie przepisu takiego a takiego, jako żołnierz rezerwy zostaje pan wezwany na przeszkolenie.

Przerwa w życiorysie? Uśmiecha się. „Raczej nie, bo to tylko osiem dni. Każdy rezerwista musi liczyć się z powołaniem, więc dramatu nie ma”, odpowiada Lachutta. Może się pochwalić specjalizacją ogólnoinżynierską. Na czas ćwiczeń został przydzielony do sztabu, ale, jak przyznaje, jego zadanie na razie polega głównie na obserwowaniu. „Różnica między armią, którą miałem okazję poznać 25 lat temu, a tą, którą widzę teraz, jest kolosalna, na korzyść współczesności”, podkreśla. „Dotyczy to przede wszystkim wyposażenia, ale też podejścia do żołnierza”.

W podobnym tonie wypowiada się podporucznik rezerwy Mariusz Połec ze Szczytniej, który zasadniczą służbę wojskową zakończył 17 lat temu: „Za moich czasów w wojsku spotykało się jeszcze «fałę», a wśród kadry przeważali ludzie ukształtowani w PRL. Więcej było wówczas krzyku, a mniej wiedzy. Dziś jest dokładnie na odwrót”.

Podporucznik Połec na czas ćwiczeń został obsadzony w roli dowódcy plutonu w kompanii zmechanizowanej. Ale on też przede wszystkim obserwuje: „To fajny przerwany w codziennym życiu”. Choć akurat w jego wypadku trudno mówić, że na poligon został wyrwany wprost z biurka. „Prowadzę agencję ochrony, więc z bronią mam do czynienia na co dzień. Poza tym na przeszkoleniu byłem już kilka lat temu”.

Własny biznes ma także starszy kapral podchorąży Maciej Paśiut z Kamiennej Góry: „Handluję samochodami”. W wojsku był 12 lat temu. Jak sam mówi, myślał, że ten etap ma już za sobą. Co poczuł, kiedy otrzymał wezwanie na ćwiczenia? „Byłem zaskoczony. Na szczęście miałem trzy miesiące, by się z tą myślą oswoić i jakoś poukładać pracę w firmie”. Na kilka dni interesami zajęli się żona i pracownik. „A poligon?”, powtarza moje pytanie. „No cóż, to na pewno niezwykła, ale przez to ciekawa odskocznia”. ■

Zapach prochu

**Były ratownik
jednostki specjalnej**
wstąpił do Narodowych Sił Rezerwowych.
Jak tłumaczy, brakowało mu wyjazdów
na poligony i leśnych ćwiczeń.

ANNA DĄBROWSKA

Jego powołaniem okazało się wojsko, choć, jak sam przyznaje, po skończeniu szkoły średniej chciał uniknąć służby w armii. Zamiast niej Edmund Solak wybrał pielęgniarstwo medyczne w Bochni. Po skończeniu nauki pracował w krakowskich szpitalach, między innymi na oddziale kardiochirurgii, gdzie obsługiwał sztuczne płuco-serce.

RATOWNIK KOMANDOSÓW

„Na początku lat dziewięćdziesiątych doszedłem do wniosku, że w zmienionym ustroju nie warto przed armią uciekać, a służba może być ciekawym przeżyciem”, opowiada starszy chorąży rezerwy Edmund Solak. Na półtora roku trafił wtedy, jako żołnierz służby zasadniczej, do ambulatorium w Centralnym Stanowisku Dowodzenia w Warszawie. Wrócił potem do cywilnego życia i pracy w szpitalach oraz pogotowiu ratunkowym jako pielęgniarz.

Wojsko przypomniało sobie o nim w 1998 roku. „Dostałem propozycję przejścia do służby zawodowej jako ratownik w jednostce specjalnej w Warszawie”, wspomina. Chorąży Solak, specjalista pielęgniarstwa, przez 13 lat towarzyszył komandosom jako ratownik medyczny na poligonach i w czasie operacji bojowych, prowadził laboratorium diagnostyczne i ambulatorium jednostki, przygotowywał kolegów do wyjazdu na misje. W tym czasie skończył też socjologię na Uniwersytecie Warszawskim ze specjalizacją pielęgniarstwo społeczne, a swoją pracę magisterską poświęcił stresowi pourazowemu.

Sam też dwa razy pojechał do Afganistanu. Na IV zmianie w Kandaharze był specjalistą w sekcji medycznej, a na IX w bazie Ghazni wspólnie z Amerykanami latał w załodze



ARCH. EDMUNDA SOLAKA

śmigłowca medycznego Medevacu. „Pamiętam swój pierwszy wylot”, opowiada podoficer. „Polecieliśmy po amerykańskich żołnierzy, którzy wjechali MRAP-em na minę. Jednemu z nich wybuch urwał nogę na wysokości kolana i żołnierz doznał wstrząsu spowodowanego utratą krwi”.

Pamiętny był dla niego też nocny wylot w góry po rannego policjanta afgańskiego. „Akcja ewakuacyjna prowadzona była na tak dużej wysokości, że brakowało tlenu i musieliśmy zabrać go w butlach dla siebie i poszkodowanego”, mówi. W sumie przez pół roku wziął udział w 90 misjach medycznych. Na podstawie swoich doświadczeń opracował podręczne zestawy ratownicze na potrzeby Medevacu – jeden umieszczony w niewielkim plecaku oraz mniejszy – próżniowy zestaw opatrunków. „Misja to był jeden z najciekawszych, choć najcięższych okresów w mojej pracy”, przyznaje.

NOCNY POLIGON

Kiedy w 2012 roku odchodził do rezerwy, ciężko było mu się żegnać z jednostką i kolegami. „Brakowało mi poligonów, wyjazdów, zapachu prochu, łażenia po lasach oraz spania w namiocie”, wspomina. Dlatego na początku 2013 roku, mimo pełnej wojskowej emerytury, zgłosił się do służby w Narodowych Siłach Rezerwowych. Wybrał 18 Batalion Desantowo-Szturmowy w Bielsku Białej, bo – jak tłumaczy – to elitarna jednostka. Jako pomocnik dowódcy plutonu uczestniczy teraz w szkoleniu kompanii, zaprawach, strzelaniu, jeździ na poligony. „Utrzymuje dzięki temu umiejętności z wojska, a służba jest odskocznią od codziennego życia”, wyjaśnia.

Na co dzień chorąży Solak pracuje w przychodni lekarskiej. Działa też w ochotniczej straży pożarnej. „W tym roku

wypompowywaliśmy wodę z domów w czasie ulew, gasiliśmy palący się elektrowóz. Reanimowałem też młodą dziewczynę, ofiarę wypadku”, wspomina. Udziela się także w szkole w rodzinnych Biadolinach Radłowskich pod Tarnowem.

„Zorganizował u nas kilka świetnych akcji”, twierdzi Anna Pytka, nauczycielka przyrody i bibliotekarka. Jednym z pomysłów Solaka była „Misja Afganistan”, czyli dzień z życia bazy w Ghazni. „Był WF jako poranna zaprawa, było strzelanie z wiatrówki”, opowiada nauczycielka. „Podoficer opowiedział też o misji i pokazał swoje pamiątki przywiezione z Afganistanu”.

Innym pomysłem chorążego były całonocne zajęcia dla dzieciaków, nazwane szkolnym poligonem. Młodzież mogła wystartować w zawodach sportowych, poćwiczyć musztrę oraz obejrzeć pokaz pierwszej pomocy. Podoficer poprowadził też rajd rowerowy śladami Armii Krajowej, a z okazji Święta Niepodległości zorganizował w szkole wystawę o cichociemnych.

„Młodzieży bardzo się podobają takie akcje i już wszyscy pytają o następne pomysły pana chorążego”, mówi Anna Pytka. Długo nie będą czekać, bo podoficer ma w planach maraton gier strategicznych oraz kurs korzonkowy dla młodzieży, wzorowany na tym, który przechodzili nasi cichociemni w Anglii w czasie wojny. Zbiera też materiały do książki o medycynie taktycznej. „Chcę, aby opisali w niej swoje misyjne doświadczenia żołnierze, medycy, lekarze, psychologowie i kapelani z Polski, USA i Kanady”, mówi. Zapytany, skąd na to wszystko znajduje czas, odpowiada, że wystarczy się dobrze zorganizować. ■



PIOTR BERNABIUK

Własne pole walki

Idea Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego

jest stworzenie systemu i opracowanie procedur, które będą standardem ratownictwa pola walki dla sił zbrojnych.

PIOTR BERNABIUK

Wośrodku symulacji pola walki Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego (WCKMed.) gaśnie światło. W ciemnościach rozświetlanych ostrymi, oślepiającymi błyskami lamp kłębi się gęsty dym. Zewsząd słysząc odgłosy pola walki. W potyczce jeden z żołnierzy zostaje ciężko ranny! Objuczeni sprzętem bojowym ratownicy, w pełnym rynsztunku bojowym, hełmach, kamizelkach, z atrapami broni i wyposażeni w IPMed-y (indywidualne pakiety medyczne) rozpoczynają akcję ratowniczą według procedur, których uczyli się przez ostatnie dni. Zdejmują uszkodzonymu hełm, kamizelkę, taktyczną i kuloodporną, w taki sposób, by nie doprowadzić do pogłębienia ewentualnego urazu kręgosłupa. Następnie udrożniają mu drogi oddechowe,

odbarczają oddech prężną i za pomocą opaski zaciskowej powstrzymują krwotok poszarpanej eksplozją nogi... Wszystko to dzieje się pod ostrzałem!

Teraz muszą ewakuować rannego do WEM-a, ratowniczego Rosomaka, który zatacza po okolicy pętlę, po czym podjeżdża pod „trauma room”, salę szpitalną, gdzie w pogotowiu czeka personel medyczny. Przyjęcie ciężko rannego żołnierza nadzorują kapitan doktor Tomasz Wiśniewski i porucznik Katarzyna Ruppenthal, oboje doświadczeni lekarze po afgańskiej misji. Później rozpoczynają się bardziej już zaawansowane zabiegi ratujące życie i przygotowujące pacjenta do dalszej ewakuacji, do szpitala wyższego poziomu. Tak kończą się ćwiczenia „Trauma Team”, prowadzone przez zespół me-

KONTAKT Z PACJENTEM

By uczyć innych, samemu należy osiągnąć wysoki poziom profesjonalizmu. W centrum wykorzystuje się zatem każdą okazję, żeby szkolić własnych instruktorów z żołnierzami jednostek bojowych, szczególnie z zaawansowanymi w ratownictwie taktycznym ratownikami medycznymi jednostek specjalnych. Na nieodległym poligonie medycznym w Jeżewie instruktorzy centrum ćwiczyli między innymi z żołnierzami jednostki GROM czy z medykami 10 Grupy Bojowej US Army. Komendant Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego nawiązał także współpracę ze specjalistami ratownictwa z Kanady i Izraela.

Pułkownik lekarz Zbigniew Aszkielaniec za najważniejsze uważa jednak to, żeby każdy miał własne doświadczenia – do Afganistanu zdążył wysłać z centrum sześciu ratowników. Zależy mu na tym, by każdy wykładowca czy instruktor miał praktykę misyjną. Wkrótce bowiem skończy się nasz udział w operacji afgańskiej i nie będzie skąd czerpać doświadczeń pola walki. Dlatego w centrum przygotowują się do współpracy z cywilną służbą zdrowia. Każdy z instruktorów jeden dzień w tygodniu powinien praktykować w pogotowiu, na SOR lub oddziale intensywnej terapii, gdzie będzie miał kontakt z pacjentem.

Z TECHNIKĄ ZA PAN BRAT

W centrum do systemu szkolenia włączono ratownictwo techniczne. Kiedy w wypadku zostaje uszkodzony lub przewrócony pojazd, niosącym pomoc często trudno jest się bowiem dostać do rannych uwięzionych w jego wnętrzu.

dyczny, z którym za kilka tygodni doktor Wiśniewski rozpocznie swą kolejną, półroczną służbę w Afganistanie.

„Trauma room”, stanowiący wierne odwzorowanie urządzenia i wyposażenia obiektu szpitalnego w Ghazni, jest najnowszą inwestycją łódzkiego centrum. Pozwala na przeprowadzenie kompletnej akcji ratowniczej, od udzielenia pierwszej pomocy rannemu na symulowanym polu walki po ratowanie życia na oddziale szpitalnym. Oddanie obiektu do użytku to kropka nad „i” w procesie przebudowy i reformowania Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego.

JAK NA WOJNIE

W ciągu ostatnich trzech lat w WCKMed. zmieniono niemalże wszystko. Do potrzeb nowoczesnej armii, uczestniczącej w operacjach bojowych, dostosowano zarówno obiekty, jak i programy kształcenia. Wyremontowano budynki, do ćwiczenia ewakuacji sprowadzono pojazdy używane w jednostkach bojowych. Zbudowano też karkołomny tor przeszkód, co pozwoliło wyciągnąć szkolonych ratowników z dusznych sal wykładowych na świeże powietrze, gdzie trenują udzielanie poszkodowanym pomocy, wyciąganie rannych z opancerzonych pojazdów i przenoszenie ich do wozu ewakuacji medycznej lub śmigłowca.

W mobilnym zestawie namiotowo-kontenerowym urządzono placówkę pierwszego poziomu medycyny ratowniczej, o której możliwościach mówi major lekarz Bartosz Żakowski, kierownik cyklu chirurgii polowej: „Na etapie pierwszej pomocy medycznej możemy przeprowadzić drenaż opłucnej i odbarczenie odmy przełnej. Jesteśmy w stanie udrożnić drogi oddechowe, przeprowadzić intubację, opatrzyć amputowane kończyny, a także zrobić badania, między innymi urządzeniem FAST, aparatem USG do szybkiej diagnostyki polowej”.

Zabiegi przeprowadza się tu dziś na najnowszej generacji symulatorach, które „załadniły” łódzki ośrodek. Cudem techniki wśród nich jest i-Stan, w którym zachodzą wszystkie procesy życiowe – reaguje na bodźce zewnętrzne, może sy-

mulować procesy fizjologiczne i patologiczne zachodzące w organizmie pacjenta, łącznie z ewentualnym zgonem, reaguje też na leczenie.

Chlubę ośrodka stanowi oddany do użytku wiosną ośrodek symulacji pola walki. Na jego otwarcie zorganizowano warsztaty „Medycyna pola walki”, prowadzone przez ratowników i lekarzy, którzy dopiero co wrócili z misji afgańskiej. Atrakcją dla uczestników był wówczas dynamiczny pokaz udzielania pomocy z pełną symulacją wojennych zdarzeń i zgodnie z zasadami TC3 (Tactical Combat Casualty Care) w trzech fazach – pod ostrzałem, w strefie bezpiecznej i podczas ewakuacji medycznej.

IM GORZEJ, TYM LEPIEJ

Gdy w ośrodku symulacji już rozgrywano epizody wojenne, trwał jego remont. Malowano ściany, urządzano salę audiowizualną, aby uczestnicy kursu, mimo ciemności i zadymienia, mogli z kamer obserwować na bieżąco działania ćwiczących kolegów. Dziś ta wielka hala – 1000 metrów kwadratowych pod dachem – robi wrażenie studia filmowego przygotowanego do kręcenia dramatycznych scen wojennych. Gospodarz obiektu zaaranżowanego w opuszczonym magazynie mundurowym, starszy chorąży Leszek Świerczyński, pilnuje jednakże, żeby było nie tyle filmowo, ile realistycznie. Ma w tym doskonałe wyczucie, ponieważ służył w Afganistanie, gdzie zarówno pełnił dyżury w szpitalu, jak i wyjeżdżał z żołnierzami na patrole jako ratownik medyczny.

Pułkownik lekarz Zbigniew Aszkielaniec, komendant WCKMed., żartuje, że odwzorowano pole walki zgodnie z zasadą: im gorzej, tym lepiej, co jest jego wielką zaletą: „Amerykanie z 10 Grupy Bojowej US Army w swoim ośrodku symulacji pod trawą ułożyli gąbkę. W Łodzi poszliśmy w całkowicie odmiennym kierunku. Nawieźliśmy kamieni, żeby było jak w afgańskiej bazie. Ratownik nie może się przyzwyczajać, że jak się przewróci, to nic mu się nie stanie. W Kanadzie z kolei, w pięknej hali stoi śmigłowiec, a nad



nim są dwa ogromne wiatraki, do tego dym i odgłosy bitwy... Wszystko niby jest, ale nie ma bitewnej scenarii. A u nas się wchodzi wprost na pobojuwisko. Świadomie poszliśmy krok dalej od sojuszników”.

COMBAT MEDIC

Równocześnie z przebudowywaniem i wyposażaniem obiektów dokonywano w centrum również radykalnych zmian w sposobach prowadzenia szkolenia i w sprawach formalnych. Znakomity przykład stanowi kurs KPP, czyli kwalifikowanej pierwszej pomocy. Wcześniej, mimo rzetelnego programu i nauczania na wysokim poziomie, kończący go żołnierze dostawali jedynie „kwitek”, tracący wszelką moc po opuszczeniu koszar.

Combat Casualty Care. Tam bowiem towarzyszą żołnierzom poza bazą, jeżdżą w patrolach i konwojach, często działają w sytuacjach ekstremalnych, z narażeniem życia.

RATOWNICZA IDEA

Wojskowe Centrum Kształcenia Medycznego z pewnością jest dziś liderem w ratownictwie pola walki. Taka pozycja zobowiązuje jednak do szerszego spojrzenia na tę dziedzinę. Nie wystarczy wyszkolić ratownika CLS czy „Combat Medic” i odesłać go do jednostki. Dopiero w plutonach i kompaniach bowiem powinien kształtować się system.

Konsekwencją takiego podejścia jest idea, którą, zdaniem pułkownika Zbigniewa

BOJOWE PROCEDURY

Po doświadczeniach z operacji irackiej i afgańskiej konieczne stało się przewartościowanie formuły ratownictwa pola walki. Przyjęty system Tactical Combat Casualty Care (TC3), czyli taktyczno-bojowa opieka nad poszkodowanym na polu walki, wymusił zmianę podejścia do udzielania pomocy rannym, a tym samym do procedur i systemu szkolenia ratowników. Na polu walki zdarzenia zachodzą niespodziewanie. W efekcie część porażonych eksplozją czy trafionych kulami umiera w ciągu dziesięciu minut. Wśród odnoszonych na polu walki urazów, z których rannych można wyciągnąć, 60 procent stanowią krwotoki z kończyn, 33 procent – odma płučna, sześć procent – niedrożność dróg oddechowych. Stąd ukie-

runowanie ratownictwa taktycznego na powstrzymywanie krwotoków, odbarczenie odmy i udrożnienie dróg oddechowych. Część rannych jest zaś kwalifikowana w kategorii „zgonów możliwych do uniknięcia”. System ratownictwa taktycznego jest nastawiony na szybkie i skuteczne udzielenie im pomocy oraz ewakuację. Pierwszy etap to działanie pod ostrzałem. Ogromną rolę odgrywają tu samoratownictwo i wsparcie koleżeńskie, szczególnie odpowiednio przeszkolonych żołnierzy. Drugi etap rozgrywa się nadal na polu walki, ale po wyjściu spod ostrzału, kiedy rannymi mogą się zająć ratownicy medyczni. Trzeci to ewakuacja. Wówczas nadal trwają stabilizacja czynności życiowych i przygotowywanie poszkodowanych do przekazania do Medevac, następnie do „trauma room”, w ręce służby medycznej.

PIOTR BERNABIK

A wystarczyło do prowadzenia kursów znaleźć lekarza o odpowiednich uprawnieniach i kwalifikacjach, w tym przypadku anestezjologa kapitana Janusza Kuzmeckiego, by zmienić sytuację. Bo zgodnie z przepisami musi przeprowadzać certyfikację i wystawić dokument lekarz państwowego systemu ratownictwa medycznego.

I tak kursy KPP nadal się odbywają, jako bardzo cenne szkolenie prowadzone systemem cywilnym, które przydaje się w codziennym życiu, zarówno w wojsku, jak i w domu czy na ulicy, gdy wydarzy się wypadek. Wojskowi zakwalifikowani do udziału w misji czy operacji bojowej wracają jednakże do ośrodka, by uzupełnić umiejętności i przestawić się na procedury bojowe w trakcie kursu „Combat Lifesaver”. Formuła CLS powstała na podstawie doświadczeń bojowych, a w jej wdrożeniu i przygotowaniu instruktorów w centrum znaczący udział mieli amerykańscy sojusznicy.

Kolejną, najwyższą i zupełnie nową, formą edukacji wprowadzoną w WCKMed. są kursy „Combat Medic”, przeznaczone dla ratowników medycznych. Wysokiej klasy specjalści, z certyfikatami zdobytymi podczas kilkuletnich studiów i uprawnieniami do pracy w krajowym systemie ratownictwa medycznego, a więc w szpitalnych oddziałach ratunkowych, w zespołach wyjazdowych pogotowia ratunkowego, są przygotowani do działania w warunkach pokojowych. Wyjazd na misję wymaga jednakże przedstawienia ich na funkcjonowanie w ramach obowiązującej na polu walki procedury Tactical

Aszkielańca, należałoby konsekwentnie rozwijać: „Dlaczego nie traktować ratownictwa jako szkolenia równorzędnego z taktycznym czy strzeleckim? Skoro uczymy żołnierzy walki, stawiania w obliczu śmiertelnego zagrożenia, czy nie powinno się wymagać, by umieli również ratować życie? Będą się wówczas pewniej czuli na polu walki. Byłby to również świetny PR – stutysięczna armia szkoli się z udzielania pierwszej pomocy. Przecież żołnierze nie żyją tylko w koszarach, funkcjonują również w społeczeństwie, chodzą po ulicach, jeżdżą samochodami. Będą gotowi również na sytuację, gdy w domu coś się stanie dziecku”.

Wprowadzenie szkolenia ratowniczego dla żołnierzy wymagałoby systemowego podejścia. W jednostkach brakuje lekarzy i zabezpieczenie medyczne zajęć, łącznie ze strzelaniami, przerzucono na ratowników medycznych. Nie zostaje im wiele czasu na prowadzenie szkolenia dla kolegów. Nie byłoby kłopotu z ich odpowiednim przygotowaniem, bo w łódzkim centrum są warunki i potencjał szkoleniowy do tego, by nauczyć ich, jak ratować życie i jak prowadzić zajęcia z tej dziedziny.

Najbliższa przyszłość nie rysuje się jednak najlepiej. W jednostkach bojowych ratownicy z kwalifikacjami nie mają czasu na szkolenie żołnierzy, przytłacza ich natłok zajęć, poligonów, przygotowań do misji. Ponadto jednostki nie są jeszcze wystarczająco wyposażone w sprzęt ratowniczo-medyczny. A jak uczy doświadczenie ostatnich lat, ratownictwo pola walki nie jest sprawą, którą można odłożyć na potem. ■

MAJOR LEKARZ JAROSŁAW BUKWALD

Rocznik 1971. Miejsce urodzenia: Nysa. Absolwent Wojskowej Akademii Medycznej.

Starszy asystent w zespole chirurgicznym 2 Szpitala Polowego we Wrocławiu.

1. Moja ostatnia średnia ocena z egzaminu z WF-u: była to ocena bardzo dobra.

2. Sukcesem zawodowym... jest dla mnie zadowolenie moich pacjentów. Ich pozytywne opinie o tym, jak ich lecę, jakim jestem człowiekiem.

3. Moja ulubiona broń/sprzęt wojskowy: jest nią skalpel...

4. Edukacja wojskowa: Wojskowa Akademia Medyczna.

5. Moje hobby: zdecydowanie rajdy samochodowe. Kiedyś uczestniczyłem w rajdach amatorskich, obecnie jestem tylko ich obserwatorem.

6. Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś... na pewno lekarzem. Być może bez munduru, ale jednak lekarzem.

7. Moje największe służbowe osiągnięcie: uważam, że jest nim uczestnictwo w IX zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Była to bardzo dobra szkoła życia i wojska.

8. Mój najlepszy przełożony: było ich kilku. Jeden z nich to poprzedni komendant 2 Szpitala Polowego we Wrocławiu pułkownik lekarz Robert Salamon. A jeśli chodzi o kwestie medyczne, to cenię dwóch ordynatorów oddziału laryngologii wrocławskiego szpitala wojskowego: doktora Szczepana Barnasia i doktora Krzysztofa Wilczyńskiego.

9. Zostałem żołnierzem bo... zawsze chciałem być lekarzem wojskowym. Trzykrotnie zdawałem egzamin na medycynę, aż wreszcie dostałem się do WAM.

10. Gdybym mógł coś w wojsku zmienić... uważam, że personel medyczny wojskowych placówek ochrony zdrowia powinien jak najwięcej zajmować się chorymi, ich leczeniem, a mniej administracją.

11. Za 10 lat będę... jeszcze lepszym i bardziej doświadczonym lekarzem i specjalistą.

12. Udział w misjach i ćwiczeniach: pełniłem służbę w polskim kontyngencie wojskowym w Bośni i Hercegowinie, Libanie oraz podczas IX zmiany w Afganistanie.

13. Służę w wojsku od... 1992 roku, a jako żołnierz zawodowy od 1998 roku, kiedy ukończyłem Wojskową Akademię Medyczną.



flesz
ĆWICZENIA



OSTRZE

**W MORSKIEJ CZĘŚCI
MANEWRÓW
UCZESTNICZYŁY:
12 OKRĘTÓW,
DWA ŚMIGŁOWCE
I DWA SAMOŁOTY
Z DZIEWIĘCIU PAŃSTW**



STEADFAST JAZZ



MARIAN KLUCZYŃSKI

WŁÓCZNI



Prezydent Bronisław Komorowski: „Wspólne działania w polu najskuteczniej pokazują, że podstawową zasadą funkcjonowania NATO jest solidarność”.

W największych od kilku lat ćwiczeniach NATO „Steadfast Jazz 2013” gotowość do podjęcia wspólnej akcji doskonaliło sześć tysięcy żołnierzy.

ANNA DĄBROWSKA

Wspólne działania w polu, takie jak ćwiczenia „Steadfast Jazz 2013”, najskuteczniej pokazują, że podstawową zasadą funkcjonowania NATO jest solidarność”, ocenił prezydent Bronisław Komorowski, który obserwował na poligonie drawskim szkolenie wielonarodowego batalionu Sił Odpowiedzi NATO. Anders Fogh Rasmussen, sekretarz generalny NATO, dodał, że Siły Odpowiedzi to pewnego rodzaju „włócznie sojuszu północnoatlantyckiego”, którą trzeba testować, aby być pewnym, że jest gotowa do użycia. Minister Tomasz Siemoniak podkreślał natomiast, że po 2014 roku, czyli zakończeniu misji w Afganistanie, takie manewry będą potrzebne soюзowi, aby nie stracił spójności i zdolności do wspólnego działania.

ODPARCIE ATAKU

Organizatorem największych od kilku lat manewrów NATO „Steadfast Jazz 2013” było Sojusznicze Dowództwo Sił Połączonych (Joint Force Command, JFC) z Bruns-



flesz



NATO/IAN HOULDING



MARIAN KLUCZYŃSKI

Podczas ćwiczeń wystrzelono 115 ton amunicji oraz zużyto 2500 ton paliwa.

WIELONARODOWE ODDZIAŁY ZATRZYMAŁY ATAK NIEPRZYJACIELA



ARTUR ZAKRZEWSKI/DPI MON (2)



WALDEMAR MŁYNARCZYK / COMBAT CAMERA / DO SZ

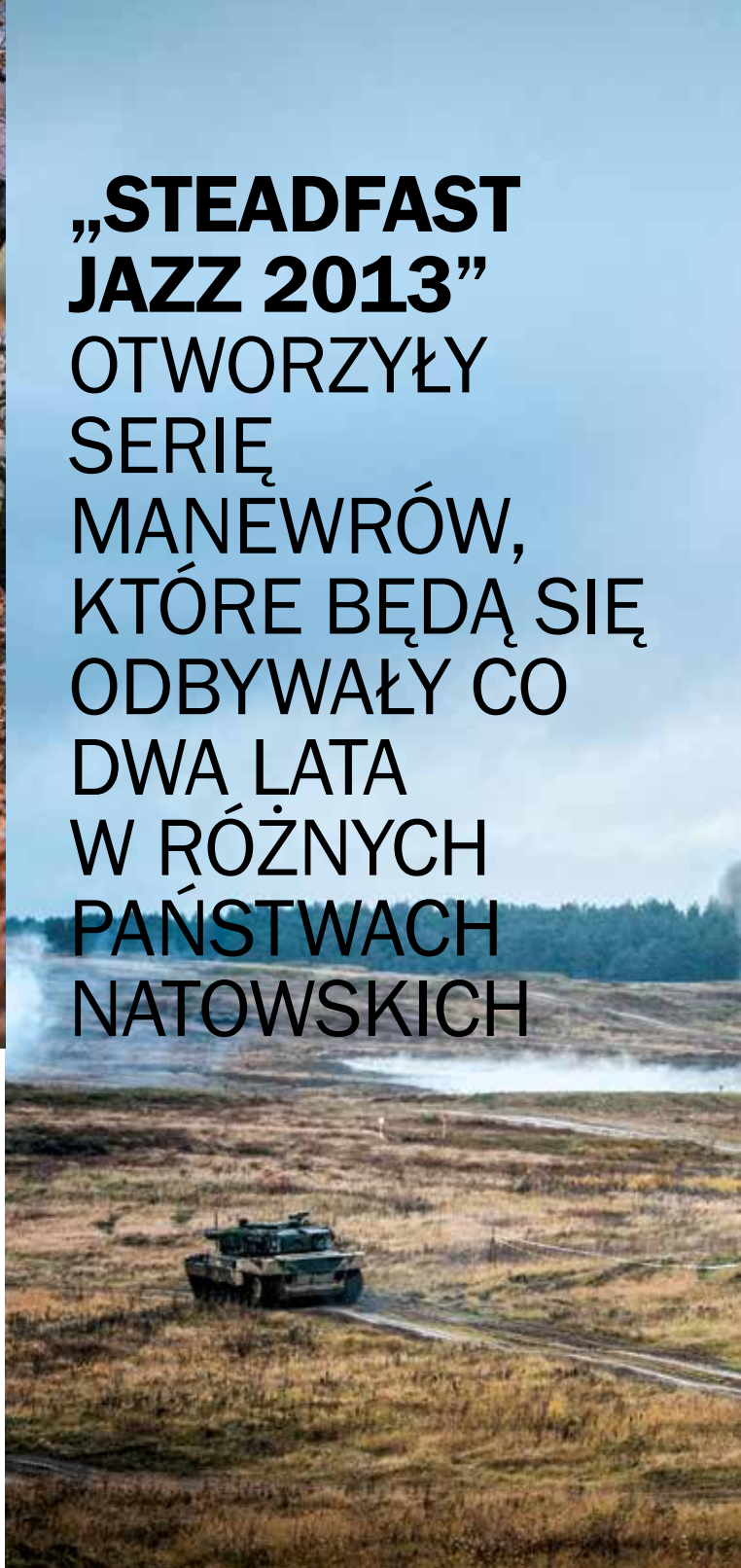
Najwięcej polskich żołnierzy brało udział w operacji lądowej „Land Livex”. Główną siłę naszego trzytysięcznego kontyngentu stanowiły pododdziały 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina. Wspierały je jednostki z całego kraju.

sum. Ćwiczenia zgromadziły na terenie Polski i państw bałtyckich sześć tysięcy żołnierzy z 25 państw – 22 natowskich i trzech partnerskich – Szwecji, Finlandii i Ukrainy. Wśród ćwiczących najwięcej było Polaków – prawie tysiąc żołnierzy Wojsk Lądowych, tyle samo z Sił Powietrznych i pół tysiąca polskich marynarzy.

Część wojska ćwiczyła na poligonach morskich i lądowych, a część w sztabach w bazie Ądaży w okolicach Rygi na Łotwie oraz w dowództwach na terenie państw sojuszniczych, między innymi w Belgii, Norwegii, we Włoszech i w Holandii. W Polsce główną część manewrów zorganizowano na poligonie w Drawsku Pomorskim oraz na Morzu Bałtyckim.

Zgodnie ze scenariuszem trwających od 2 do 9 listopada manewrów na Estonię napadały wojska fikcyjnego państwa Bothania. W odpowiedzi NATO, zgodnie z artykułem V traktatu północnoatlantyckiego, mówiącym o kolektywnej obronie, postanowiło skierować tam swoje siły szybkiego reagowania. Ćwiczenia podzielono na trzy etapy – lądowy, noszący kryptonim „Land Livex”, morski „Maritime Livex” oraz powietrzny „Air Livex”. Zasadniczy etap pierwszej części rozgrywał się na poligonie w Drawsku Pomorskim. Wielonarodowy batalion Sił Odpowiedzi NATO, ➔

„STEADFAST JAZZ 2013” OTWORZYŁY SERIE MANEWRÓW, KTÓRE BĘDĄ SIĘ ODBYWAŁY CO DWA LATA W RÓŻNYCH PAŃSTWACH NATOWSKICH



MADIS VELTMAN / ESONIAN ARMY





NATO / IAN HOULING

Ewakuacja rannego z pola walki była jednym z elementów ćwiczeń na poligonie w Drawsku Pomorskim. Ranny został przewieziony kołowym transporterem opancerzonym Rosomak.



NATO / IAN HOULING



ARTUR ZAKRZEWSKI / DPL MON

W Polsce główną część manewrów zorganizowano na poligonie w Drawsku Pomorskim oraz na Morzu Bałtyckim.

którego trzon tworzyli polscy żołnierze, przede wszystkim z 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina, sprawdzał zdolności dowództwa i pododdziałów do działania w międzynarodowej strukturze. Oddziały uzbrojone między innymi w transportery Rosomak, czołgi Leopard 2A4, wyrzutnie rakietowe WR-40 Langusta i litewskie transportery M-113 zatrzymały atak nieprzyjaciela, a potem wyparły go z zajętego terenu.

W morską część manewrów zaangażowano 12 okrętów, dwa śmigłowce i dwa samoloty z dziewięciu państw. Niszczyciele min, na których czele stanął polski okręt dowodzenia siłami obrony przeciwminowej ORP „Kontraadmirał Xawery Czernicki”, ćwiczyły oczyszczanie z min szlaków wodnych. Fregata ORP „Generał Tadeusz Kościuszko”, holenderski okręt dowodzenia HNLMS „De Ruyter” i włoski niszczyciel ITS „Caio Duilio” odpierały natomiast ataki okrętów podwodnych. W sumie polska marynarka skierowała na manewry cztery okręty i dwa śmigłowce, a Siły Powietrzne myśliwce F-16, MiG-29 i Su-22, transportowe C-295M Casa oraz śmigłowce, w tym Mi-17, Mi-24 i W-3 Sokół.

RODZIME ZAPLECZYE

Polska jako jedno z państw gospodarzy, obok Litwy, Estonii i Łotwy, odpowiadała za zabezpieczenie logistyczne „Steadfast Jazz 2013” – zapewniła ćwiczącym ochronę,



zakwaterowanie, transport i opiekę medyczną. Na drawski poligon logistycy dostarczyli ponad 27 tysięcy posiłków, 2500 ton paliwa i ponad 115 ton amunicji. W pomoc zaangażowane były też służby cywilne: Policja, Straż Graniczna i Państwowa Straż Pożarna. Dzięki temu nasz kraj sprawdził funkcjonalność systemu wsparcia przez państwo gospodarza (Host Nation Support, HNS).

Jak zapowiedział minister Siemoniak, „Steadfast Jazz 2013” to pierwsze z serii manewrów, które będą się odbywały co dwa lata w państwach natowskich. Kolejne zorganizują w 2015 roku Hiszpania i Portugalia. ■

ĆWICZENIA ZGROMADZIŁY NA TERENIE POLSKI I PAŃSTW BAŁTYCKICH SZEŚĆ TYSIĘCY ŻOŁNIERZY Z 25 PAŃSTW



**POLSKA JAKO JEDNO Z PAŃSTW
GOSPODARZY, OBOK LITWY, ESTONII
I ŁOTWY, ODPOWIADAŁA
ZA ZABEZPIECZENIE LOGISTYCZNE
„STEADFAST JAZZ 2013”
– ZAPEWNIŁA ĆWICZĄCYM OCHRONĘ,
ZAKWATEROWANIE, TRANSPORT
I OPIEKĘ MEDYCZNĄ**

SPECJALIŚCI OD SPRAW TRUDNYCH

Na wojnie niebo zbliża się do ziemi,
a zagrożenie życia rodzi pytania o jego sens.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Ksiądz podpułkownik Wiesław Okoń na I zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku

Mimo że od 1991 roku w zagranicznych misjach wojskowych wzięło udział ponad 80 kapelanów, nadal pada pytanie o ich rolę w wojsku. „Czemu nikt nie pyta, dlaczego żołnierzom na misjach towarzyszą lekarze czy psychologowie?”, zastanawiają się księża. Lekarz zajmuje się ciałem, kapłan ma natomiast ratować ludzką duszę.

BLISKO ŻOŁNIERZY

Żołnierze nazywają ich specjalistami od spraw trudnych. „Człowiek w niebezpiecznej sytuacji dotyka granicy życia i śmierci”, mówi ojciec profesor Józef Augustyn, redaktor na-

czelny kwartalnika „Życie Duchowe”. „Kapelan na misji daje wierzącym wsparcie duchowe”.

Podczas misji zdarzają się sytuacje, gdy kapelan jest szczególnie potrzebny żołnierzom. We Wszystkich Świętych, gdy zbierają się przy tablicy z nazwiskami poległych. Po mszy, gdy modlą się przy symbolicznym grobie zrobionym z worków z piaskiem, a nad bazą widać lunę ze zniczy. W Wigilię, gdy łamią się opłatkiem, czy podczas Wielkanocy, gdy dzielą się jajkiem. Najgorzej jest jednak wtedy, gdy zginie kolega. Taka śmierć przytłacza. To chwila, kiedy w bazie nastaje wielka cisza. „Ta cisza mówi, bo nie ma odpowiednich słów na taką okoliczność”, przyznają kapelani. Temu, który odszedł na wieczną wartę, pozostali oddają

W NAUCE KOŚCIOŁA ISTNIEJE TAKIE POJĘCIE JAK „WOJNA SPRAWIEDLIWA” – ŻOŁNIERZ MA PRAWO STAWAĆ W OBRONIE ZAGROŻONYCH WARTOŚCI, RÓWNIEŻ Z UŻYCIEM SIŁY.

Według nauki Kościoła katolickiego, „uprawniona obrona może być nie tylko prawem, lecz także poważnym obowiązkiem tego, kto jest odpowiedzialny za życie drugiej osoby. Obrona dobra wspólnego wymaga, aby niesprawiedliwy napastnik został pozbawiony możliwości wyrządzania szkody. Z tej racji prawowita władza ma obowiązek uciec się nawet do broni, aby odeprzeć napadających na wspólnotę cywilną powierzoną jej odpowiedzialności”. Podjęcie działań zbrojnych jest usprawiedliwione pod czterema warunkami. Po pierwsze, „szkoda wyrządzana przez napastnika narodowi lub wspólnocie narodów musi być długotrwała, poważna i niezaprzeczalna”. Po drugie, użycie siły w obronie jest uprawnione „gdy wszystkie pozostałe środki okazały się nierealne lub nieskuteczne”. Po trzecie, muszą istnieć „uzasadnione warunki powodzenia”. I po czwarte, użycie broni „nie może za sobą pociągnąć jeszcze poważniejszego zła i zamętu, niż zło, które należy usunąć”.

honor, a ksiądz odprawia mszę w jego intencji. Wtedy kapelan po prostu jest z żołnierzami, a jego obecność wpływa na nich kojąco.

Śmierć kolegi na misji to dla żołnierzy nowe doświadczenie. Pierwszą reakcją jest wściekłość z powodu ludzkiej bezradności, że nie już nie można zrobić. Nagle widzą, jak kruche jest życie. W takich sytuacjach wzrasta zapotrzebowanie na księdza. Gdy kapelan razem z żołnierzami dźwiga ten krzyż, staje się on o połowę lżejszy. Początkowo w ludziach rodzi się gniew. Ważne jest, by nie przerodził się on w nienawiść do tych stojących po drugiej stronie. Zadaniem kapelana jest, aby do tego nie dopuścić.

Na co dzień wojskowi rzadko go odwiedzają. Ci bardziej religijni przychodzą do spowiedzi, proszą o odprawienie mszy w intencji dziecka, które właśnie się urodziło w kraju, albo po prostu pogadać. Rozmawiają o życiu i polityce, o trudnościach, rozterkach, nie tylko o tym, co ich boli, lecz także o małych radościach. Poza tragediami spowodowanymi atakiem wroga lub nieszczęśliwym wypadkiem, najczęstsze problemy, o których słyszy kapelan na misji, to stres i trudności w relacjach międzyludzkich. Rozmawiają niekoniecznie w kaplicy, czasami przy kawie lub na spacerze. A dobry kapelan, tak jak dobry dowódca, zawsze jest z żołnierzami i gdy trzeba – ich wysłucha. Co najważniejsze, jest jednym z nich. Nosi mundur tak jak oni, je w tej samej stołówce, a podczas alarmu wkłada kamizelkę kuloodporną i biegnie do schronu.

SPOWIEDŹ POD OSTRZAŁEM

Najpierw rzuca się w oczy mundur gromowca. Dopiero potem dostrzega się koloratkę. Na I zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku (najpierw w bazie Babilon, potem w Al-Kut) ksiądz podpułkownik Wiesław Okoń nie nosił koloratki. Od innych żołnierzy odróżniał go emblemat Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego wpięty w kłapę munduru albo biała stuła narzucona na ramiona.

Oglądamy zdjęcia z Iraku. Czy ksiądz uśmiecha się do wspomnień. Do Wigilii w 2003 roku, gdy jeździł od posterunku do posterunku, aby podzielić się z żołnierzami opłatkiem. Do mszy odprawianej w kaplicy. Do dwóch przegarniętych szczeniaków, Saddama i Harrisa, które rozpoznawały polski mundur, a na Irakijczyków szczekały (podczas akcji odstrzeliwania dzikich psów wokół bazy żołnierze zabili ich matkę). Do współtowarzyszy misji. „Ten żołnierz”, ksiądz wskazuje postać na fotografii, „został potem ranny w Afganistanie. Ten kolega zginął w Iraku”.

Zadaniem żołnierzy na I zmianie PKW było urządzenie bazy, a kapelana – zorganizowanie kaplicy, która z czasem stanie się także miejscem spotkań. Nad ołtarzem z paździerzowej płyty wisła czasza spadochronu. Na kawałkach drewna dwóch żołnierzy – plastyków namalowało stacje drogi krzyżowej. Zanim na pierwszą zmianę irackiej misji dojechali dwaj pozostali kapelani, ksiądz Okoń był jedynym polskim duchownym w Iraku. Oprócz głównej bazy w Babilonie, powstawały wtedy sąsiednie, w Al-Hilli, Karbali i Al-Kut. Do każdej starał się dotrzeć chociaż raz w tygodniu, w konwoju albo śmigłowcem. Zasada, którą przyjął na misji, była prosta: być z żołnierzami w konwoju, na warcie, w stołówce, na boisku do gry w siatkówkę. Nie narzucać się, być zawsze w pobliżu. Taka obecność wzbudzała zaufanie i tworzyła poczucie bliskości. Dlatego wówczas zawiązywały się przyjaźnie, z których wiele przetrwało do dziś.

„Zawsze powtarzam moim wikariuszom, że kapelan ma być przede wszystkim księdzem, przyjacielem, a dopiero potem oficerem. Żołnierz szuka powiernika. W warunkach zagrożenia człowiek przewartościowuje swoje życie i wtedy jest mu bliżej do Boga”, mówi ksiądz Okoń. Wspomina, że na misji w Iraku żołnierze nie wstydzili się wiary: „Wielu nosiło różaniec. Niemal wszyscy uczestniczyli w mszach. Na wojnie łatwiej jest tym, którzy wierzą, bo mają oparcie w modlitwie, czerpią z niej siłę. Niekiedy ci, którzy w Polsce mijali się ➔

z Panem Bogiem, na nowo odnaleźli go w piaskach pustyni, prosili o chrzest czy brali ślub kościelny po powrocie do kraju”.

Czasem spowiedź odbywała się w niecodziennych warunkach. Jak wtedy, gdy alarm wywołany nocnym ostrzałem moździerzowym w Karbali poderwał także żołnierzy w sąsiednich bazach. W biegu odbierali od dowódcy rozkazy. Ksiądz Okoń czekał na nich na lądowisku dla helikopterów w Babilonie. To była krótka chwila: kilkudziesięciu żołnierzy zatrzymało się na moment – nakreślony w powietrzu znak krzyża i wypowiedziane głośno słowa rozgrzeszenia.

Kapelan udzielił zbiorowego rozgrzeszenia, bo w warunkach zagrożenia życia nie ma czasu na indywidualną spowiedź, wystarczy wewnętrzny akt żalu.

WOJSKO BRONI ŻYCIA

„Leceliśmy w niewiadomą”, wspomina ksiądz podpułkownik Piotr Majka, który w sierpniu 2003 roku dotarł do Babilonu. To była I zmiana i pierwsze duże wyzwanie dla wojska. Żołnierz zabiera ze sobą na misję kamizelkę i broń, kapelan – walizkę z przyborami liturgicznymi i różaniec. Oprócz miejsca do modlitwy potrzebne są mszał, kielich, hostie, kropidło, świece, olej. Nie było łatwo. Tym większa była radość, gdy z kawałków otrzymanej od Amerykanów sklejki udało się zbić ołtarz polowy. Stał w kaplicy, która mieściła się w namiocie.

Na pytanie o rolę kapelana na misji ksiądz Majka odpowiada, że powinien on być z żołnierzami oraz sprawować sakramenty. „Ksiądz towarzyszy żołnierzowi, wysłucha go, pomoże spojrzeć na problem od strony wiary”, mówi ksiądz Majka. On sam w Babilonie odprawiał mszę codziennie, a do innych baz dojeżdżał w niedzielę i w święta – w konwoju lub zabierał go przejeżdżający patrol. Dużo rozmawiał z żołnierzami. Najczęściej opowiadali o rodzinie, bo to ona – jak mówili – nadaje życiu sens. Niekiedy mieli dylematy związane z pozbawieniem kogoś życia. „Wojsko broni życia, choć czasem trzeba użyć siły”, tłumaczył ksiądz kapelan.

Ksiądz Majka uważa, że kapelan na misji niesie inną pomoc niż psycholog. Czym innym bowiem są sprawy ducha i duszy, a czym innym jest psychika człowieka. Bywało, że ksiądz odsyłał żołnierza do psychologa, gdy było potrzebne wsparcie specjalistyczne; albo odwrotnie, gdy żołnierza trapiły jakieś dylematy moralne, psycholog radził mu spotkanie z kapelanem.

Jesienią 2013 roku Caritas Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego razem z Departamentem Wychowania i Promocji Obronności MON zorganizowali sesję egzystencjalno-duchową „Człowiek i wojna”. Wzięli w niej udział księża kapelani Wojska Polskiego i psychologowie mający doświadczenia z misji bojowych oraz żołnierze. Rozmawiali o wojnie, lęku i poczuciu winy w obliczu śmierci, o tym jak przekraczać ludzką słabość, o celu i sensie ludzkiego życia.

Starszy szeregowy Janusz (III i IX zmiana w Iraku) i jego kolega, starszy szeregowy Radosław (VII zmiana w Afganistanie) z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej w Tomaszowie Mazowieckim, podobnie jak inni żołnierze, dzielili się podczas sesji własnymi doświadczeniami z czasu spędzonego na misji. Obaj uważają, że kapelan jest tam potrzebny, a dzięki modlitwie w kaplicy nabierali siły, energii. Janusz uczestniczył w mszach, bo czuł taką potrzebę. Odbił w Afganistanie także kurs przedmałżeński. Radosław opowiadał kapelanowi o problemach z 12-letnim synem, radził się, jak rozmawiać ze zbuntowanym nastolatkiem, bo żona sama nie dawała sobie z nim rady. ■

KOMANDOS Z KOŁORATKĄ

Marek Rycio kiedyś był twardym komandosem, perfekcjonistą. Teraz niesie posługę duchową. Nie zapomina jednak, że jest żołnierzem.

PIOTR BERNABIUK

Ksiądz podporucznik Marek Rycio w sulechowskim internacie przy 5 Lubuskim Pułku Artylerii, jednej z jednostek, w których sprawuje posługę kapłańską, zajmuje pokój po sąsiedzku z chorążym Grzegorzem Ogonowskim. I nie wierzy, że spotkanie w tak odległym końcu Polski z bliskim kolegą, z którym od 1989 roku byli kadetami plutonu specjalnego Szkoły Chorążych Wojsk Zmechanizowanych w Elblągu, mogło się zdarzyć przypadkiem. Nawiazany po blisko ćwierci wieku kontakt ogromnie ułatwia wspomnienia o odległych już czasach.

FASCYNACJA WOJSKIEM

Przygoda z wojskiem rozpoczęła się od marzeń nastolatka podsycanych przez lekturę „Żołnierza Polskiego”. Miesięcznik ten czytał wówczas od deski do deski, szczególnie dział poświęcony walce wręcz, prowadzony przez pułkownika doktora Krzysztofa Kondratowicza, wielkiego mistrza dziu-dżitsu i propagatora tej sztuki w armii.

Po maturze wstąpił do Szkoły Chorążych Wojsk Zmechanizowanych przy Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych imienia Rodziny Nałazków w Elblągu. Kadet Marek Rycio już na pierwszym roku należał do czołówki. Nic dziwnego, skoro za wszelką cenę chciał dostać się do plutonu kadetów szkolonych do służby w działaniach specjalnych. By osiągnąć ten cel, należało mieć świetne wyniki w nauce, prezentować wysokie walory intelektualne i zdać trudny sprawdzian fizyczny. Spełnił wszystkie trzy warunki i znalazł się, jak dziś mówi, wśród niesamowitych ludzi, oddanych bez reszty służbie. Niedościgłymi wzorami byli dla nich dowódcy i wykładowcy, wśród nich pułkownik Ludwik Kolan, o którym mówiono, że ma więcej lat służby niż życia; porucznik Marek Zieliński, dowódca plutonu i absolwent szkoły; chorąży Stanisław Szadejko „Szatan”, który kiedyś za-



TOMASZ RYBARCZYK



WEDŁUG KSIĘDZA MARKA RYCIA kapelan jest w wojsku nieodzowny, szczególnie w trudnych chwilach, na misjach, wiążących się z wielkimi emocjami, z zagrożeniem zdrowia i życia.

rzadził całonocny bieg w górach zimą, w pełnym oporządzeniu, bo zauważył niedoskonałości w działaniu kadetów.

W plutonie było ciężko, ale fantastycznie. Najlepiej ksiądz porucznik wspomina wyjazdy na poligon drawski na Jaworze, będący mekką ludzi związanych z ówczesnymi działaniami specjalnymi. Spotykali się tam wszyscy komandos Pomorskiego Okręgu Wojskowego, z żołnierzami 56 Kompanii Specjalnej na czele.

Ideą zgrupowań, oprócz wspólnego szkolenia i rozgrywanych oficjalnie zawodów, było zaprezentowanie się z jak najlepszej strony, zarówno zespołowo, jak i indywidualnie. „Rewia talentów” odbywała się między innymi w miejscu przy obozowisku, w którym był umocowany drążek. Jak tylko ktoś wykonał na nim nową figurę gimnastyczną, tak zwane podwójne wejście siłowe, wejście oficerskie czy salto, inni natychmiast usiłowali mistrza przekonać, że tę ewolucję można zrobić w znacznie lepszym stylu.

Kadet Rycio miał predyspozycje do akrobacji – odpowiedni wzrost, małą masę, znakomite umięśnienie, a do tego dynamikę, którą nabył w czasie treningów sportów walki. Uważnie podpatrywał najlepszych i szybko brał się do roboty. Najpierw ćwiczył gdzieś z boku, następnie szybko wracał żeby na drążku popisać się przed kolegami. Nie ukrywa, że w tych ćwiczeniach należał

do czołówki. Podobnie jak w bieganiu. Do dziś pamięta, jak po kontuzji nogi wygrał bieg terenowy dookoła jeziora Trzebuń Wielki.

POSZUKIWANIE WZORCÓW

W niewielkim, elitarnym świecie komandosów, liczącym wówczas zaledwie kilka setek żołnierzy, wszyscy się znali. Szczególnie zapamiętywało się liderów, ludzi legendy lub młodych, ale wybitnych dowódców grup i plutonów. Ksiądz Marek Rycio wspomina dwóch poruczników z niezwykłą charyzmą, dowódców plutonów 56 Kompanii Specjalnej – Piotra Patalonga i Arkadiusza Kupsa. Nie ukrywa, że nadal z fascynacją obserwuje ich kariery, tak bardzo różne – generała Patalonga, dowódcy Wojsk Specjalnych, oraz majora rezerwy Kupsa, należącego do czołówki cywilnych szkoleniowców pracujących na rzecz armii. Szukał wówczas takich wzorców, a zarazem sam sobie coraz wyżej stawiał poprzeczkę. We wszystkim chciał być najlepszy. W efekcie ukończył elbląską szkołę jako prymus odznaczony srebrną odznaką wzorowego kadeta.

Najlepsi absolwenci mogli wybrać miejsce służby. Zdecydował się na 62 Kompanię Specjalną. Nie wie dlaczego, w zasadzie wszystko wtedy było tak utajnione, że poszedł w ciemno. Jednostką dowodził wówczas major Ryszard Marciniak, a wśród żołnierzy żywa była jeszcze legenda sławnego w środowisku majora Andrzeja Żdana.

Chorąży Marek Rycio rozpoczynał służbę w plutonie kadrowym: „Przygotowywaliśmy się do działania za frontem. Mówiono, że jesteśmy żołnierzami jednorazowego użytku. Stanowiliśmy niewielkie, wyspecjalizowane grupy. I choć taki zespół miał małą siłę ognia, mógł wykonywać precyzyjne punktowe uderzenia”.

Jako radiotelegrafista szyfrant chorąży Rycio w zespole odgrywał szczególną rolę. Jak się wówczas mówiło, był najcenniejszy... przede wszystkim dla przeciwnika. W czasie długotrwałych działań w izolacji od wojsk własnych zapewniał bowiem kontakt z dowództwem, a w takich warunkach sprawa była prosta: jeżeli nie ma łączności – nie można wykonać zadania.

To były początki zawodowstwa w działaniach specjalnych. W plutonie kadrowym były małe, czteroosobowe grupy, złożone ze starannie dobiejanych oficerów i chorążych. Znaczna część żołnierzy władała językami obcymi, a niektórzy mieli nawet kwalifikacje tłumaczy. Wiele miesięcy spędzali na poligonach, na bardzo specjalistycznym szkoleniu. Ponadto sami nieustannie poszukiwali nowych rozwiązań.

Marek Rycio nauczył się wówczas znakomicie strzelać, nawet jako snajper. Jest też przekonany, że jako pierwszy ćwiczyli szybkie zjazdy na linie ze śmigłowca. Brał udział w treningach w walce wręcz prowadzonych przez mistrza Krzysztofa →

Grzybowski (7. dan w dżiu-dżitsu) – wspólnie z nim żołnierze jeździli do Głogowa na zajęcia prowadzone przez Romana Grzegorza, mającego 10. dan. Dzięki zajęciom z ratownikami z Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego podniósł swoje kwalifikacje wspinaczkowe na najwyższy poziom. Zdobył uprawnienia instruktorskie wspinaczki wysokogórskiej i ratownictwa z powietrza, a był już wówczas również instruktorem narciarskim.

ŚWIECENIE PRZYKŁADEM

Wkrótce niespodziewanie rozwiązano kompanie specjalne. Część ludzi przejęła tworzącą się właśnie i poszukującą najlepszych żołnierzy jednostka GROM. Innym losy ułożyły się różnie – niektórzy nadal służą w armii, nawet na wysokich stanowiskach. Młodszy chorąży Marek Rycio miał znakomite rekomendacje, więc dowódca grupy kadrowej porucznik Jacek Kuropaczewski ściągnął go za sobą do Poznania, gdzie się przeniosła elbląska szkoła chorążych. Tam został dowódcą plutonu i – jak powiedział mu porucznik – przede wszystkim miał świecić przykładem kadetom. I faktycznie tak było, co doskonale pamięta pułkownik Tomasz Łysek, wówczas porucznik i dowódca jego kompanii, na kierunku działania specjalne i rozpoznanie: „Byliśmy z Markiem w jednej grupie kadrowej bolesławieckich komandosów, a potem spotkaliśmy się ponownie w poznańskim centrum. Pamiętam, że wszystko robił na 120 procent i nieustannie podnosił poprzeczkę. Jak ćwiczyliśmy walkę wręcz, musieliśmy uważać, bo dla niego to nie była zabawa. Podobnie było ze wspinaczką czy skokami spadochronowymi. W Poznaniu kadeci nazywali go killerem, bo w niczym nie im odpuszczał. Bardzo serio traktował wojsko”.

Ówczesni kadeci, służący nadal w formacjach specjalnych, z sentymentem wspominają po latach chorążego Rycia, swego dowódcę: „Wysoki, szczupły, wyżyłowany. Kamienna twarz bez cienia uśmiechu, niewyrażająca żadnych emocji. Przedstawił się krótko, powiedział nam, czego oczekuje, bez zbędnych słów, bez straszenia. Szkolenie zaczynał od osobistej demonstracji: «Podczas czołgania przez pełzanie odpychamy się nogami, a na rękach tylko podtrzymujemy ciało, nisko przy ziemi». I jak ruszył tym czołganiem przed siebie, musieliśmy za nim biec truchtem. Innym razem, kiedy prowadził zajęcia w terenie zurbanizowanym, podszedł do gładkiej ściany budynku i powiedział: «Widzę tu wiele możliwości wejścia». Wspiął się po tej ścianie tak lekko jak Spiderman. Żaden z nas nie oderwał się nawet metr od ziemi, bo nie było się czego uchwycić”. Nauczył nas wówczas chyba najważniejszego – nigdy nie wymagaj od podwładnych czegoś, czego sam nie potrafisz wykonać”.

POWRÓT DO SZEREGU

Po jakimś czasie chorąży Marek Rycio odszedł z wojska. Wrócił jednak po paru latach. Nadal szczupły, sprawny, wysportowany. Świetnie wygląda w mundurze, tyle że teraz nosi do niego koloratkę. Ukończył Wyższe Seminarium Duchowne imienia Jana Pawła II Diecezji Siedleckiej – sześć lat ciężkich studiów, które wymagały posłuszeństwa i dyscypliny nie mniejszej niż w wojsku, ukończonych oczywiście z wyróżnieniem.

Skąd nagle taki zwrot w wyborze drogi życiowej? Ksiądz kapelan nie chce za wiele mówić o sprawach tak osobistych.

MAREK RYCIO PRZESTRZEGA ZASADY:

„W WOJSKU
I KOŚCIELE
WSPÓLNE
JEST TO,
ŻE WSZYSCY
PRACUJEMY
NA DOWÓDCĘ”

Zapewnia jednakże, że decyzja nie przyszła nagle. Zawsze głęboko wierzył w Boga, a modlitwa towarzyszyła mu przez całe życie. W szkole kadetów, jak mówi nieco anegdotycznym tonem, modlił się pod kocem, by nie wzbudzać wśród kolegów sensacji.

A jednak coś musiało się wydarzyć, skoro powiedział: „Miałem spotkanie z Bogiem, po którym wszystko rzuciłem i poszedłem do seminarium. Mam namacalne ślady, że Bóg uchronił mnie przed złym. Sprawił, że nie jestem kaleką, że żyję”.

Chętnie ksiądz kapelan rozmawia natomiast o swych relacjach z bliźnimi. Bliski kontakt z ludźmi to według niego jedyny sposób, by zapęłnić kościoły. A on ma niezwykłą umiejętność przyciągania ich do Boga, szczególnie młodzieży, która chętnie przychodzi słuchać kazań.

W środowisku wojskowym często występuje nie tylko w roli kapłana, lecz także starszego kolegi i doświadczonego żołnierza. Jeszcze zanim formalnie został kapelanem, praktykował w Wędrzynie. Ten czas pozostanie dla księdza Marka pięknym wspomnieniem co najmniej z dwóch powodów. U księdza kapelana majora Szczepana Madonia mógł się w pełni wykazać jako żołnierz i kapłan, bo miał wolną rękę w życiu wojskowym i parafialnym. W wojsku, jak podkreśla, natrafił na równie sprzyjającą atmosferę i wspaniałych ludzi. Uczestniczył między innymi w szkoleniu z podstaw przetrwania w trudnych warunkach żołnierzy 15 Batalionu Ułanów Poznańskich. Jako instruktor wspinaczki wysokogórskiej prowadził zajęcia wysokościowe.

Nie ukrywa, że żał mu było odchodzić: „Mieliśmy tam wspaniałe plany. Sprzyjali nam dowódcy batalionów 17 Wiel-

kopolskiej Brygady Zmechanizowanej, pułkownicy Tomasz Borowczyk i Rafał Miernik. Myślę, że gdybym pozostał w tym niezwykłym garnizonie, oddalonym od świata, mógłbym nadal uczestniczyć w realizacji naszych pomysłów”. Żył się tam z ludźmi i chyba zdobył ich przyjaźń, bo na jego promocję oficerską do Wrocławian przyjechały dwa pełne autobusy.

W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych imienia Generała Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu uczestniczył w studium oficerskim, które notabene ukończył z pierwszą lokatą, i jako nieetatowy pomocnik dowódcy dowodził zarazem plutonem złożonym z lekarzy. Było z tym trochę trudności, ponieważ po kontuzji przez pewien czas chodził o kulach. Na zajęciach jednakże sprzęt pomocniczy odkładał na bok i brał się do roboty. Dziwiono się, że jeden z czterech księży, przyszłych kapelanów, odprawia mszę, a potem dobiera się do skóry doktorom. Jeden z wrocławskich oficerów, który zajął na inspekcję, skomentował to krótko: „Jestem rozanielony, gdy widzę, jak ksiądz prowadzi zajęcia”. Miły komplement, tyle że lekarze po ćwiczeniu musztry czy taktyki uważali księdza Marka za wojskowego zamordystę. Dopiero po egzaminach podziękowali mu za ten wycisk.

WŁASNE GOSPODARSTWO

Po zdobyciu oficerskich szlifów podporucznik Marek Rycio jest samodzielnym kapelanem w trzech garnizonach – w Zielonej Górze, Sulechowie i Czerwieńsku. W każdym z tych miejsc jest dostępny dla wszystkich przez kilka dni w tygodniu. Można powiedzieć, że jest także proboszczem, bo ma swoje księgi, pieczęci i może udzielać wszystkich sakramentów w wypożyczanym od miejscowej parafii kościele. Dwaj żołnierze, z czego bardzo się cieszy, zamówili już u niego śluby. Pojawiła się również szansa na własną, niewielką, ale pięknie usytuowaną, świątynię w Zielonej Górze.

Marek Rycio bardzo liczy na to, że pełniąc posługę religijną, będzie zarazem coraz bliżej żołnierzy: „Znam służbę wojskową od podszewki. Wiem, co gra w żołnierskiej duszy. Żołnierz to z jednej strony silny, twardy człowiek, a z drugiej często potrzebuje ciepłego słowa, pochwały, podtrzymania na duchu. Nie może jedynie wykonywać rozkazów i być nieustannie karcony, bo wtedy traci chęć do służby”.

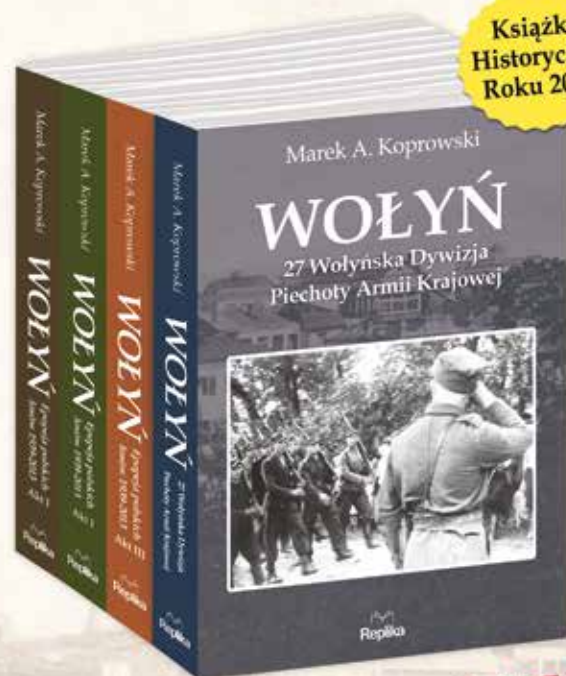
Według księdza Marka kapelan jest w wojsku nieodzowny, szczególnie w trudnych chwilach, na misjach, wiążących się z wielkimi emocjami, z zagrożeniem zdrowia i życia. „Sprawami ciała zajmują się lekarze. Duchem natomiast dowódcy, psycholodzy i kapelani. Psycholog nie jest jednak dla księdza konkurencją. Ważne jest osobiste spotkanie z żołnierzem, wysłuchanie go, napętnienie nadzieją i spowiedź. Spowiedź bowiem nie jest jedynie rytuałem religijnym, lecz także rodzajem psychoterapii, wyrzuceniem z siebie całego zła, oczyszczeniem, by tego ciężaru nie nosić w sobie”.

Służba kapelana, bo Marek Rycio przy każdej okazji podkreśla, że kapelani i żołnierze nie pracują, lecz pełnią służbę, składa się z posługi religijnej, przyciągania ludzi do Boga, udzielania świętych sakramentów, ale także świeckiej celebracji. Bywa zatem na świętach jednostek i podczas swych wystąpień mówi między innymi o historii i o patriotyzmie. Bo Marek Rycio jest również historykiem – pisze doktorat z historii powszechnej. Bardzo mocno też podkreśla zasadę, której przestrzeganie uważa za niezwykle ważne: „W wojsku i w Kościele wspólne jest to, że wszyscy pracujemy na dowódcę”. ■

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

W 70. rocznicę masowych zbrodni
nacionalistów ukraińskich na Wołyniu

Książka
Historyczna
Roku 2013



W PRZYGOTOWANIU WOŁYŃ AKT V

Czwarty tom serii WOŁYŃ poświęcony
27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty
Armii Krajowej.

Groza sytuacji, duma z walczących
i rozczarowanie nierozliczeniem zbrodni
wypełniają wstrząsające relacje świadków.



Wydawnictwo Replika,
tel. 61 868 25 37
handlowy@replika.eu
www.replika.eu

Specjals z Jednostki Wojskowej Komandosów w czasie działania w budynku

W Afganistanie wygrywa ten, kto jest wyżej. Obserwacja wioski ze

Zasady profesjonalistów

Żeby uwolnić zakładników, w styczniu 2012 roku komandosi z Task Force-50 musieli walczyć z samobójcami obwieszonymi kilogramami materiałów wybuchowych. Kim są żołnierze, którzy przeprowadzili pierwszą taką operację w historii Wojska Polskiego?

JAROSŁAW RYBAK

O d kilku lat coraz głośniej o Jednostce Wojskowej Komandosów i wystawianym przez nią Task Force-50. „Lubliniec”, jak potocznie, ze względu na miejsce stacjonowania, mówi się o niej, to najstarszy i największy oddział specjalny Wojska Polskiego. Długo pozostawał w cieniu. Dzięki misji w Afganistanie znalazł się w czołówce jednostek specjalnych operujących w tym kraju.

KONIEC Z POZIOMAMI

Zanim zajmiemy się specjalsami z Lublińca, warto się zastanowić, jak operacje w Iraku i Afganistanie wpłynęły na specysy na świecie. Te wojny zmieniły bowiem sposób myślenia o działaniach specjalnych. Najlepiej scharakteryzował to admirał William McRaven, kierujący Dowództwem Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych (United States Special Operations Command, USSOCOM). Ku zdumieniu słuchaczy w czasie wykładu w Warszawie stwierdził, że Amerykanie zrezygnowali z tradycyjnego podziału na kategorie, do których zaliczali swoje oddziały specjalne. Przypomniawszy, że wcześniej te z poziomu Tier 1 dysponowały lepszym uzbrojeniem i wyposażeniem, dostępem do informacji, a trening żołnierzy był zdecydowanie bardziej wymagający od tych z poziomu 2. i 3. Przekonywał jednocześnie, że ponad dekadę prowadzenia działań wojennych zunifikowała zarówno wyposażenie, umiejętności, jak i doświadczenie żołnierzy. „Nie używamy już terminów Tier 1, 2 i 3”, podkreślił dowódca USSOCOM. „Nie powrócimy do nich, ponieważ kategoryzowanie jednostek nie jest dla nich dobre”.

Takie zrównanie poziomów musiało wzbudzić emocje. Komandosi to ludzie o olbrzymim poczuciu własnej wartości, więc zawsze była duża konkurencja między formacjami. O kreowaniu własnej pozycji i dyskredytowaniu sukcesów innych opo-

wiada się anegdoty. Tak jest nie tylko u Amerykanów, lecz także u Brytyjczyków.

Wymowna jest relacja Marcusa Luttrella spisana w książce „Przetrawiałem Afganistan”. Kiedy wykonywał zadanie na terytorium talibów, jako jedyny z kilkusobowej sekcji Navy SEALs przeżył atak bojowników i przez kilka dni ukrywał się, aż w końcu został uratowany przez ekspedycję złożoną z żołnierzy Rangers i Zielonych Beretów. Najciekawsze są wspomnienia związane z momentem spotkania z ratownikami. Luttrell pisze, że gdy znalazł się wśród swoich, „starał się nie rozkleić głównie dlatego, że SEALs nigdy nie okazały słabości w obecności rangera”. Dodaje, że „czuł się w obowiązku powiedzieć rangerom i Zielonym Beretom”, że miał nadzieję, iż uratują go SEALsi, bo teraz żołnierze z innych specjednostek będą mówić: „Widzisz SEALsi wpadają w tarapaty i muszą posyłać po armię, żeby ich wydostała. Jak zwykle”.

PODZIAŁ ZADAŃ

Tyle o sojusznikach. Wróćmy na grunt polski. Co dzień na wielu forach internetowych toczą się emocjonalne dyskusje o jakości i zadaniach naszych specjednostek. Najczęściej dotyczy to „Lublińca” i GROM-u.

„Jeśli nawzajem się poznamy i zrozumiemy zadania oraz przeznaczenie swoich jednostek, to nie obawiam się konfliktów i niezdrowej rywalizacji”, już w 2011 roku przekonywał pułkownik Ryszard Pietras, ówczesny dowódca Jednostki Wojskowej Komandosów.

Tłumaczył, że przeznaczeniem „Lublińca” jest działanie w środowisku lądowym, priorytetem zaś rozpoznanie specjalne: „Najprościej rzecz ujmując, 70 procent szkolenia żołnierzy to taktyka zielona, 30 procent – czarna, niebieska i czerwona.



stanowiska snajperów

Sekcja działań specjalnych Task Force-50 podchodzi do obiektu.

ARCHIWUM TASK FORCE-50 (2)

W GROM-ie proporcje są odwrotne. Tam 70 procent to taktyka czarna”, mówił pułkownik Pietras.

Według pułkownika Sławomira Berdychowskiego, byłego dowódcy zespołu bojowego GROM, który w Afganistanie kierował oddziałem złożonym z komandosów z GROM-u, Lublińca i Formozy, w obu jednostkach najważniejsze zadania – rozpoznawanie specjalne, akcje bezpośrednie i wsparcie militarne – są wykonywane na podobnym poziomie. Jedyna istotna różnica to operacje ratowania zakładników. Do takich akcji, jak w teatrze na Dubrowce czy w szkole w Biesłanie, należałoby wysłać GROM. Oczywiście to scenariusze do realizacji w sytuacjach, które można planować. W czasie akcji ratowania zakładników w Szaranie w styczniu 2011 roku, opisanej w książce „Task Force-50. Operacja «Sledgehammer»” (recenzja na 124 stronie), nie było czasu ani możliwości wyboru jednostki.

„Budynek opanowany przez samobójców kilkakrotnie próbowały zdobywać siły afgańskie, mocno wspierane przez Amerykanów. Nieskutecznie. A czas w takich sytuacjach gra olbrzymią rolę”, wyjaśnia oficer TF-50, który był na miejscu. „Od pewnego momentu w okolicy robiło się gorąco. Z sąsiednich domów zaczęto strzelać. Pamiętałem to z Iraku. Jeśli szybko nie opanuje się sytuacji, to walki mogą się roznieść na całe miasto”. Dlatego afgański gubernator prowincji poprosił o pomoc Polaków.

„Miałem bardzo doświadczonych ludzi, na misjach przeprowadziliśmy wiele operacji, w kraju ćwiczyliśmy najróżniejsze warianty działania. Także rozbudowane scenariusze związane z neutralizacją samobójców. W Afganistanie oni są olbrzymim, powszechnym zagrożeniem, więc nie można było nie przewidywać spotkania z takim przeciwnikiem. Miałem świadomość, jakie podejmujemy ryzyko, ale analizując dotychczasowe działania, byłem przekonany, że możemy to zrobić”, dodaje dowódca specjalistów z Szarany. Wątpliwości nie mieli też przełożeni w Polsce, którzy wydali zgodę na przeprowadzenie operacji.

SZKOLENIE TO NIE WSZYSTKO

Żeby poznać tajemnicę sukcesu specjalistów z JWK, trzeba poznać specyfikę tego oddziału. „Bezpieczeństwo w czasie operacji budujemy przez dobór ludzi o odpowiednich cechach, specjalistyczne szkolenie, odpowiednie wyposażenie, szczegółowe planowanie oraz właściwie przygotowane wsparcie”, wyjaśnia „Arek”, jeden z komandosów z Lublińca.

Zostawmy jednak na boku nabór, selekcję i szkolenie. Co prawda, są warunkiem koniecznym do stworzenia jednostki na profesjonalnym poziomie, ale niewystarczającym. Poznajmy zatem kilka zwykle pomijanych wartości, bez których Task Force-50 nie zbudowałby swojej pozycji.

W „Sledgehammer” bezpośrednio uczestniczyło ośmiu żołnierzy z TF-50. Gdy przyjrzymy się tym operatorom, zobaczymy, jacy ludzie trafiają do specjednostek. Sześciu z tej ósemki to ochotnicy, którzy chcieli służyć w wojsku. Wychowali się w rodzinach wojskowych, działali w organizacjach paramilitarnych, od dziecka obracali się w środowisku, w którym patriotyzm nie był pustym słowem. Tylko dwóch dostało powołanie do zasadniczej służby wojskowej w Lublińcu. Spodobało im się i zostali na stałe.

„Od lat mieliśmy doskonałych żołnierzy”, podkreśla oficer, który w Lublińcu służy od kilkunastu lat. „Spektakularne sukcesy przysły jednak, gdy w Afganistanie utworzyliśmy samodzielny zespół. Przełożeni dali nam szansę. I ważniejsze – zadania, do których przez lata się szkoliliśmy. To cała tajemnica. Jeśli w przyszłości będą misje o innych priorytetach, to staniemy w drugim szeregu, a laury zbiorą koledzy z innych formacji”.

SZACUNEK DLA ŻOŁNIERZY

Sukces TF-50 to między innymi efekt świadomości własnej roli na misji, połączonej z szacunkiem dla żołnierzy z jednostek regularnych.

„Żadnej dużej współczesnej wojny nie da się wygrać bez użycia sił specjalnych, ale też komandosi nie są w stanie tego zrobić samodzielnie. Jesteśmy trybikiem w olbrzymiej maszynie”, twierdzi jeden z bohaterów operacji „Sledgehammer”. „Jak będziesz miał zbyt wysoko podniesioną głowę, to inni nie będą chcieli z tobą współpracować. Powiedzą, że się nie da, że nie ma odpowiednich ludzi lub sprzętu. Albo że się da, ale później. I koniec. Nic nie zdziałamy”.

Specjalsów ktoś przewozi w pobliże miejsca operacji i ktoś pomaga im, gdy pojawiają się komplikacje. Tak było również w akcji w Szaranie. Komandosi korzystali ze wsparcia między innymi polskich żołnierzy z jednostki regularnej.

„Telo” zwraca też uwagę na inny powód szacunku dla „regularów”. Ten oficer TF-50 jest sztabowcem i nie bierze udziału w akcjach, ale w Afganistanie często znajdował się w sytuacji zdecydowanie mniej komfortowej niż jego koledzy w czasie nocnych działań. Kiedy stacjonował w Szaranie, kilka razy w tygodniu wyjeżdżał z bazy w transporterach opancerzonych.

„W biały dzień w MRAP-ie musisz liczyć na łut szczęścia, zamknięty w pancernej puszce masz zdecydowanie mniejszy wpływ na własne bezpieczeństwo, niż kiedy działasz z zaskoczenia w czasie operacji specjalnej. Dlatego z podziwem patrzę na żołnierzy z innych jednostek naszego kontyngentu. Dla nich takie wyjazdy to chleb powszedni. Ich zadania nie są tak «filmowe» jak nasze. Ale to oni często ryzykują bardziej niż «specjaliści»”, podkreśla „Telo”.

Statystycznie rzecz ujmując, skrajnie trudna operacja specjalna jest bezpieczniejsza od standardowego patrolu. W sierpniowej operacji w Afganistanie zginął „Miron”, a dwóch jego kolegów zostało rannych. To była XIII zmiana PKW Afganistan. „Poprzednio do poszkodowanego żołnierza TF-50 MEDEVAC wzywano w czasie... VII zmiany”, przypomina „Seba”, paramedyk z Task Force-50. Ilu w tym czasie zginęło i zostało rannych żołnierzy z jednostek regularnych? Gdy się zatem mówi o poświęceniu i bohaterstwie żołnierzy służących w Afganistanie, warto pamiętać o tej statystyce.

ZROZUMIEĆ CELE MISJI

Kolejnym ważnym elementem, dzięki któremu „Lubliniec” osiągnął sukces, było właściwe zrozumienie celu, dla którego utworzono Task Force-50. Komandosi działający w ramach misji ISAF realizują w Afganistanie strategię sojuszu północnoatlantyckiego. Ogłosił ją w połowie 2009 roku ówczesny dowódca ISAF, generał Stanley McCrystal, były żołnierz amerykańskich jednostek specjalnych. Odeszła ona od konwencjonalnych działań bojowych. Większy nacisk położono na działania specjalne, a priorytetem stało się szkolenie miejscowych sił, które z czasem przejmą odpowiedzialność za bezpieczeństwo kraju. Pochwały płynące z Afganistanu do Lublińca w dużej mierze były konsekwencją realizacji planu McCrystala.

W Polsce media, nastawione głównie na doniesienia o operacjach kinetycznych, na marginesie pozostawiały szkolenie Afgańczyków. Tymczasem dla sojuszników miało ono kolosalne znaczenie. Dlatego w czasie wspomnianej już wizyty w Polsce admirał McRaven wielokrotnie komplementował naszych specjalistów, ale podał tylko jeden konkret: szkolenie dwóch oddziałów prowincjonalnej policji antyterrorystycznej – Afgańskich Tygrysów”.

„W czasie operacji «Sledgehammer» do budynku nasi wchodzili z Afgańskimi Tygrysami. Gdybyśmy odmówili udziału w operacji, oni poszliby sami. Nie byli jednak jeszcze przygotowani do tak poważnej roboty”, przekonuje oficer zajmujący się szkoleniem Tygrysów. „Informacja o tym, że instruktorzy odmówili wsparcia szkolonych, lotem błyskawicy obiegłaby Afganistan. To zniweczyłoby kilka lat ciężkiej pracy sił specjalnych ISAF. Afgańczycy to ludzie bardzo honorowi, trudno byłoby odbudować relacje z nimi, gdyby poczuli, że w trudnej sytuacji sojusznicy się od nich odwrócili”.

Ta operacja scementowała współpracę z Afgańczykami. Przełożyło się to zarówno na lepsze wykonywanie strategii NATO, jak i zwiększenie bezpieczeństwa polskiego kontyngentu wojskowego w Afganistanie.

PO DRUGIEJ STRONIE CELOWNIKA

W rozmowach ze specjalistami uderza również profesjonalizm w przewidywaniu skutków podejmowanych działań. Komandosi podkreślają, że gdy żołnierz naciska na spust, decyduje o życiu człowieka stojącego po drugiej stronie celownika. Dlatego w TF-50 z niesmakiem oceniają książki amerykańskich komandosów, którzy o strzelaniu do ludzi piszą jak o grze komputerowej.

„Na robocie zawsze dostosowuję się do przeciwnika”, mówi „Matka”, mający na koncie ujęcie kilku rebeliantów z listy JPEL (Joint Prioritized Effective List). „Jeśli nie strzela, staram się dać mu szansę. Gdy wpadam do pomieszczenia, w którym ukrywa się cel, to mierzę w niego i wykrzykuję w jego języku: «Nie ruszaj się, bo cię...». Całym sobą daję mu sygnał, że jak

się ruszy, to strzelę. Mam szczęście, że na tych krótkich dystansach to zawsze skutkowało”.

Wspomina jedną z operacji, kiedy po cichu dostali się do domu poszukiwanego. Zanim ten zdążył się zorientować, że coś się dzieje, specjaliści byli w jego sypialni. Siegał po wysłużonego, radzieckiego makarowa. Zatrzymał rękę tuż przy fałdzie w pościeli. Pod nią leżał pistolet. Z góry mierzyło do niego dwóch żołnierzy. „Było nerwowo, ale JPEL nie stawiał oporu”, kontynuuje „Matka”. „Przekonały go okrzyki i dwie plamki z celowników laserowych na jego piersi”.

Ta odpowiedzialność związana z otwarciem ognia wynika z podstawowego założenia. W czasie operacji nigdy nie da się wyeliminować ryzyka pomyłki. To, że miejscowy trzyma broń, a nawet z niej mierzy, o niczym nie świadczy. Na afgańskiej prowincji każdy dorosły mężczyzna ma kałasznikowa. Tam, zgodnie z odwiecznym zwyczajem, własnej posiadłości można bronić według zasady „mój dom – moja twierdza”. Nie ma więc pewności, czy strzelający to poszukiwany talib, czy spokojny gospodarz, który chroni swoją własność.

„Taką rozważę wpajamy też Afgańskim Tygrysom. Takie podejście sprawdziło się też w czasie «Sledgehammer». Wyeliminowaliśmy samobójcę, który wyskoczył na korytarz i chciał się wysadzić jak najbliżej nas. Chwilę później w naszym kierunku zaczął biec kolejny mężczyzna. To były sekundy. Kątem oka zauważyłem, że nie miał tak nienaturalnej sylwetki jak samobójca owinięty kamizelką z materiałem wybuchowym. Krzyczał też inaczej niż ten poprzedni. Tamten wrzeszczał z nienawiścią, ten z przerażeniem. I wtedy przekonałem się, że nasze Tygrysy mają predyspozycję do tej roboty”, z uznaniem opowiada specjals. Afgański policjant krzyknął: „Stop!”. Intuicyjnie podniósł kałasznikowa na wysokość głowy biegnącego. Błyskawicznie ocenił zagrożenie. Opuścił broń i strzelił mu w udo. Kula przebiła mięśnie. Mężczyzna padł na podłogę. Został zatrzymany, ale nie zginął.

NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH?

Czy Polacy, którym przyszło ratować zakładników uwięzionych przez terrorystów obwieszonych pasami szachida, są najlepszymi komandosami na świecie, w Polsce albo chociaż w swojej macierzystej jednostce? To naiwne pytanie należy potraktować poważnie. Zadają je bowiem tysiące fanów specjalistów oraz wielu dziennikarzy, którzy swoimi publikacjami kształtują opinię publiczną.

Tymczasem takie rankingi zwykle prowadzą do fałszywych wniosków. Na sukces składa się wiele czynników – przede wszystkim doświadczenie i żmudna praca. Są operacje, które przygotowuje się miesiącami. Jedna zmiana otrzymuje wstępne informacje, analitycy pogłębiają tę wiedzę, cel znika i po jakimś czasie znów się pojawia. Akcja w terenie zatem to zadanie dla kolejnej zmiany. Żołnierze z Task Force-50, którzy wzięli udział w operacji «Sledgehammer», nie są więc najlepszymi z najlepszych. Są po prostu profesjonalistami, którzy w odpowiednim momencie znaleźli się we właściwym miejscu. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ
ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ
BEZPIECZEŃSTWA, AUTOREM KSIĄŻEK
O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ
RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

Drugie życie porucznika

Na wojnie śmierć sunie za żołnierzem jak cień. Czasami jednak, gdy jest tuż-tuż, udaje się ją oszukać.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Mogliby założyć klub szczęściarzy – żołnierzy, którzy cudem uniknęli śmierci. Kilku z nich na dowód działania Opatrzności wyjęłoby swoje hełmy, przez które pociski przeszły na wylot milimetr od głowy, nie wyrządzając im krzywdy. Kapral ze Świętoszowa mógłby opowiedzieć, jak pocisk RPG wszedł jak w masło w pojazd HMMWV, który prowadził. Ekspłodował wewnątrz wozu, a on został lekko draśnięty i mógł ratować kolegów – wywioził ich z pola walki.

W całej armii znalazłoby się kilkunastu szczęśliwców, którym los подарował drugie życie. Wielu z nich nadal służy. Otrząsnęli się po traumatycznych zdarzeniach i ponownie ruszyli na niebezpieczne misje. Być może wierzą w zasadę, że piorun nigdy nie trafia drugi raz w to samo drzewo. Porucznik Krzysztof Ilnicki z 7 Batalionu Strzelców Konnych Wielkopolskich 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej i kilku jego podwładnych do grona wybrańców losu dołączyli w lipcu 2011 roku...

FERALNY DZIEŃ

Porucznik nie wierzy w zabobony. Twardo stąpa po ziemi. Na afgańskiej misji jako dowódca plutonu zaliczał patrol za patrolem. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że pewnego dnia może stać się najgorsze i zawsze w portfelu jak talizman nosił zdjęcie żony Agnieszki i syna Piotra. Jak twierdzi, każdy wyjazd poza bazę był loterią: „Szansę na to, że nie wjedzie się na ajdika lub że nie dojdzie do kontaktu ogniowego, wynosiły pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Do strachu i zagrożenia można się przyzwyczaić, ale ciągłe napięcie i adrenalina były jednak bardzo wyczerpujące”, przyznaje. „Dowodziłem wspaniałymi chłopakami. Każdy dawał z siebie wszystko. Wierzyliśmy, że skoro jesteśmy dobrze wyszkoleni i maksymalnie skupieni, to będziemy w stanie odeprzeć każdy atak”.

O feralnym dniu mówi bez żadnych wzruszeń i emocji. Jakby opowiadał niedawno obejrany film. Gdy pod transportem, którym jechał, eksplodował ajdik, wyszkolenie, do-

świadczenie, dobre uzbrojenie nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się tylko szczęście.

„To było 1 lipca 2011 roku. Jechaliśmy na kolejny patrol. Mieliliśmy sprawdzić osadę Nogale Sofla. Gdy tam byliśmy dzień wcześniej, dwóch młodych Afgańczyków wygarnęło do nas z kałachów. Urządziliśmy za nimi pościg. Oni jednak uciekli – znali każdy zakamarek w swojej wiosce. Dobę później wybraliśmy się tam ponownie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o terrorystach”, opowiada oficer.

Porucznik przypomina pewien epizod, do którego doszło tuż przed wyjazdem na patrol: „Gdy przed feralnym patrolem staliśmy na odprawie, do moich wozów dojechał Rosomak ewakuacji medycznej. Przydzielił nam go dowódca Alf. Nie byłem z tego zbyt zadowolony. Kierującą zespołem ratowników starszej kapral Barbarze Kamińskiej powiedziałem, że nie chcę jej ludzi i dodatkowego wozu. Aby dodać go do składu, trzeba było zmienić kilka dokumentów. Baśka była jednak uparta. Przekonywała, że jej ekipa może się przydać. Uległem”.



**PO WYPADKU
PORUCZNIK
ILNICKI PRZEZ
MIESIĄC
DOCHODZIŁ
DO ZDROWIA.
ODMÓWIŁ
JEDNAK
POWROTU
DO KRAJU**

PO EKSPLOZJI

„Jechało kilka wozów. Ja byłem w trzecim MRAP-ie. W pewnym momencie, gdy dojeżdżaliśmy do wioski, z przedniego wozu zameldowali, że widzą kogoś z bronią”, opowiada porucznik Ilnicki. „Kazałem obserwować tego człowieka. Wydałem też komendę, że jeżeli faktycznie jest on uzbrojony, mogą otworzyć ogień. Ledwie zdążyłem to powiedzieć, nagle ogarnęła mnie ciemność. Nic nie poczułem. Nic mnie nie bolało. To było tak, jakby ktoś mnie nagle wyłączył. Po chwili świadomość zaczęła powoli wracać.

Pamiętam, iż zdziwiłem się, że śpię. Dlaczego zasnąłem w czasie akcji, zamiast dowodzić?! Otworzyłem oczy i przez brudną szybę zobaczyłem niebo. Co się dzieje? Przecież powinienem widzieć drogę i kalaty pobliskiej wioski... Spojrzałem w lewo, na kierowcę. Widziałem, że wyszarpuje się z pasów. Był bez hełmu. Miał zdartą skórę z głowy niczym skalp. Dookoła było pełno krwi. Zrozumiałem, że stało się coś złego”.





PODCZAS IX ZMIANY PKW PORUCZNIK

Powrót do realiów po kilkuminutowej utracie przytomności był dla młodego dowódcy bardzo bolesny: „Spojrzałem w dół. Zdziwiłem się, że widzę tam chłopaków z desantu. Powinni być za mną, na siedzeniach. Zobaczyłem, że kapie na nich moja krew. Po chwili zaczął mi wracać słuch. Mimo szumu w głowie usłyszałem, jak kierowca krzyczy, że wjechaliśmy na ajdika. Zapytałem, czy wszyscy żyją. Chłopaki odpowiedzieli, że niestety ganer nie, widać było tylko jego nogi”. Ilnicki kazał wszystkim szybko wyjść z MRAP-a, bo wewnątrz było czuć paliwo. „Bałem się, że możemy się spalić żywcem”, opowiada. Dla bezpieczeństwa kazał jeszcze wewnątrz wozu spryskać gaśnicą. Gdy żołnierze wykonywali jego rozkaz, strachem płynu poleciało na nogi strzelca wkm [wielkokalibrowy karabin maszynowy]. Wtedy się poruszyły. Okazało się, że ganer żyje. Został przysypany górą piachu w taki sposób, że nogi miał wewnątrz wozu, a reszta ciała znajdowała się w leju po wybuchu, pod wielką hałdą ziemi.

„Chociaż zarządziłem natychmiastową ewakuację, sam nie mogłem się ruszyć”, opowiada porucznik. „Pasy bezpieczeństwa się zaklinowały. Wyjąłem nóż. Kierowca zaczął mnie odcinać. Ciągłe oszołomiony, upewniałem się, czy mam wszystko na swoim miejscu. Sprawdziłem ręce. Poruszyłem głowę. Nagle szok. Stwierdziłem, że nie mam nogi. Spojrzałem uważniej. Okazało się, że jednak jest, tyle że odwrócona o 90 stopni ugrzęzła pod siedzeniem. Przekręciłem

ją na swoje miejsce. Coś chrupnęło. Zabolęło, ale dało się wytrzymać. Na szczęście działała adrenalina”, wspomina porucznik.

W GNIEZDZIE RANNYCH

Ewakuacja nie była łatwa. Przód pojazdu znajdował się wysoko nad ziemią. Drzwi Ilnickiego zaklinowały się, a te od strony kierowcy można było uchylić tylko trochę. Na szczęście przybyła pomoc. „Zaczęliśmy wychodzić, a właściwie wypadać ze zniszczonego MRAP-a. Moi ludzie z pozostałych wozów okazali się wspaniali. Zastępca przejął dowodzenie”, wyjaśnia porucznik. „Do wraku pierwszy przebiegł «Jasiek», dowódca drużyny. Jego ludzie ostonili teren wypadku. Nie trzeba było nawet im wydawać rozkazów. Wszyscy żołnierze natychmiast po eksplozji zajęli odpowiednie stanowiska. Chronili swoje sektory. W każdej chwili ktoś przecież mógł do nas otworzyć ogień”.

Na wspomnienie tego, co działo się później, porucznik trochę się wzrusza. O sobie, swoich przeżyciach mówi spokojnie. O ludziach, którzy ratowali mu zdrowie i życie, opowiada bardziej emocjonalnie: „Gdy tylko wyszliśmy z rozwalonego transportera, ratownicza Basia i jej ekipa byli już przy nas. Zauważyłem, że na początku lekko drżały jej ręce, gdy wyjmowała opatrunki. Emocje szybko jednak ustąpiły, działała jak sprawny automat. Doskonale kierowała swoimi medykami i moimi ludźmi, którzy



Ewakuacja nie była łatwa. Prząd pojazdu znajdował się wysoko nad ziemią. Drzwi Ilnickiego zaklinowały się, a te od strony kierowcy można było uchylić tylko trochę.

ARCHIWUM PKW AFGANISTAN (2)

GDY USŁYSZELIŚMY, ŻE LEĄ ŚMIGŁOWCE MEDEVAC, KAŻDY Z NAS BYŁ JUŻ OPATRZONY, PRZYKRYTY KOCEM, PRZYPIĘTY DO NOSZY, GOTOWY DO TRANSPORTU

chcieli pomóc. Nigdy dotąd nie widziałem tak dobrze zorganizowanej akcji ratowniczej”.

Po kilku minutach wszyscy leżeli w jednym miejscu, w tak zwanym gnieździe rannych. „Po ośmiu minutach, gdy usłyszeliśmy, że lecą śmigłowce medevac, każdy z nas był już opatrzony, przykryty kocem, przypięty do noszy, gotowy do transportu. Basia i jej ludzie, których nie chciałem zabrać na ten patrol, wykonali kawał doskonałej roboty”, chwali porucznik.

ślałem o tym, że od losu dostałem dar – drugie życie”, opowiada żołnierz. „Mimo początkowej traumy ani przez moment nie miałem wątpliwości, że gdy wyzdrowieję, znów ruszę na patrol. Gdy wróciłem do plutonu, nie było już w nim kierowcy i gamera. Kilka tygodni po zdarzeniu postanowili wrócić do kraju. Nikt nie miał im tego za złe. Byli bardzo dzielni, zrobili swoje. Każdy rozumiał, że po tak szokujących wydarzeniach psychika człowieka może się zbuntować. Mnie raz śnił się ten wypadek.

ILNICKI ZALICZYŁ PONAD 200 PATROLI

Po kilku godzinach, gdy medycy ze szpitala polowego zakończyli wszystkie zabiegi, można było podsumować wypadek. Okazało się, że na szczęście nikt nie zginął. U porucznika Ilnickiego lekarze stwierdzili złamanie nogi w dwóch miejscach, złamanie nosa oraz rozległe stłuczenia i rozcięcia twarzoczaszki. Kierowca doznał rozległych obrażeń głowy, ale nie zagrażały one jego życiu. Strzelca w czasie wybuchu wkm uderzył w twarz. Chłopak miał złamane kości twarzoczaszki oraz nos. Żołnierze z desantu natomiast wyszli z wypadku bez żadnych większych obrażeń.

KUMULACJA EMOCJI

Po tym wydarzeniu porucznik Ilnicki przez miesiąc dochodził do zdrowia. Kategorycznie odmówił rotacji do kraju. Uważał, że skoro na misji pozostaje jego pluton, on jako dowódca musi zostać ze swoimi żołnierzami. W czasie rehabilitacji pełnił różne funkcje w sztabie zespołu bojowego, ale po zdjęciu gipsu i krótkiej rekonwalescencji przejął dowodzenie. Pewnego wrześniowego dnia ponownie wsiadł do transportera i pojechał na patrol. W sumie podczas IX zmiany zaliczył ich ponad 200.

„Wiem, że na tej afgańskiej drodze urodziłem się na nowo. Kiedy leżałem w szpitalu, wiele razy my-

Znów widziałem wszystko to, co się działo owego feralnego dnia, tyle że paliwo wlewające się do uszkodzonego wozu nagle się zapaliło...”

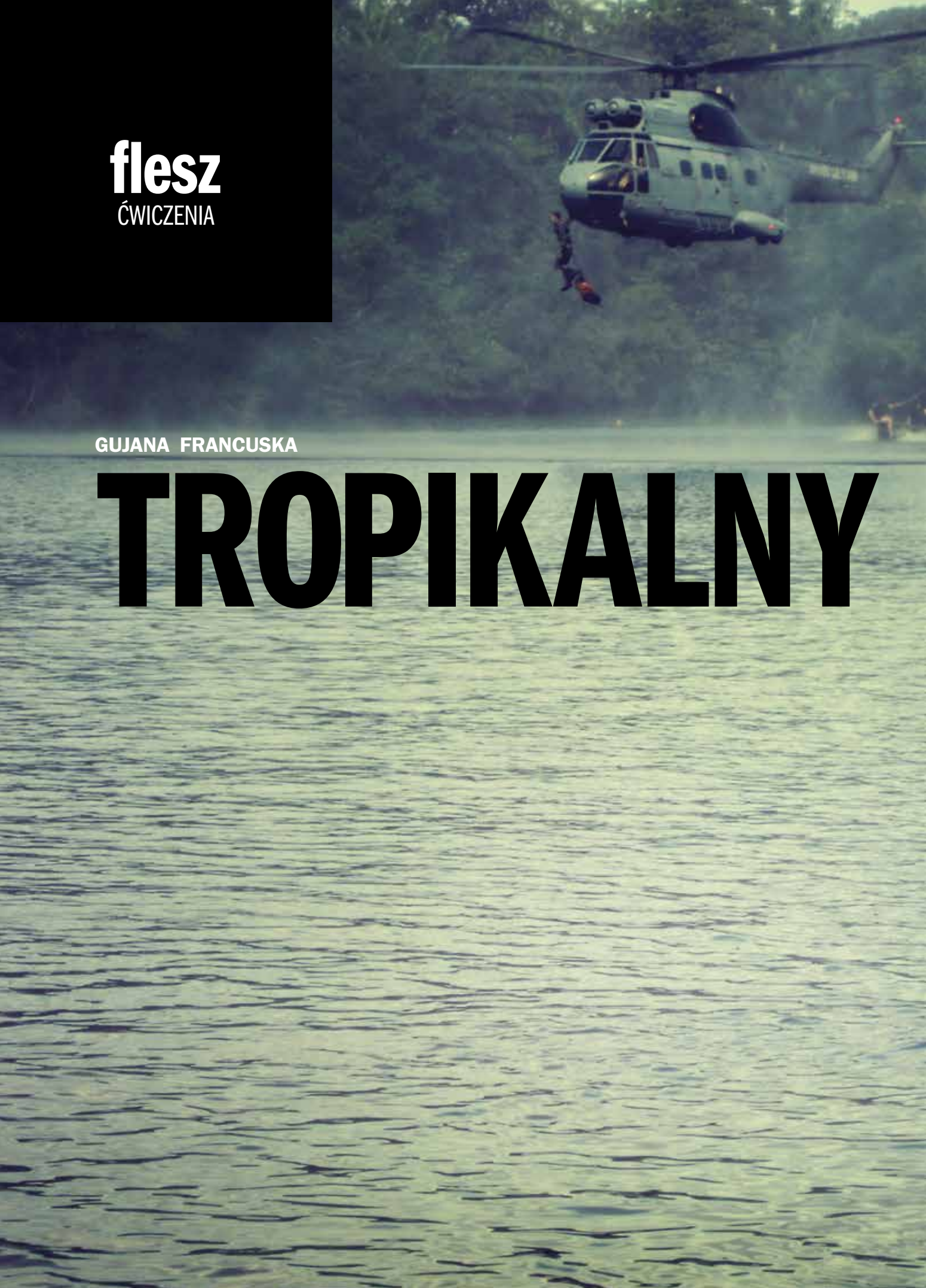
Wypadek był również trudnym doświadczeniem dla rodziny porucznika. Kiedy Ilnicki jechał na misję, umówił się z kolegą – oficerem rozpoznania, że gdy jednemu z nich coś się stanie, drugi powiadomi o tym żonę kolegi. W dniu wypadku żołnierz rozpoznania zadzwonił więc do Gorzowa Wielkopolskiego, do żony rannego oficera. Agnieszka Ilnicka, która wiedziała o tej umowie, pomyślała o najgorszym, kiedy usłyszała głos kolegi. Była w szoku. Na wiadomość, że mąż żyje, powoli dochodziła do siebie. Poprosiła jednak, aby jak najszybciej pokazał się jej na Skype’ie. Nieważne było to, że ten nie może rozmawiać z powodu odniesionych ran. Musiała się upewnić, że Krzysiek żyje.

Dzisiaj porucznik Krzysztof Ilnicki jest zastępcą dowódcy kompanii zmotoryzowanej. U podwładnych cieszy się dużym autorytetem. Podczas szkoleń tłumaczy im, że dobry żołnierz ma być jak maszyna. W obliczu zagrożenia jego ruchy muszą być precyzyjne i wręcz automatyczne. Uczy też młodych stażem żołnierzy, jak zwalczyć strach, który w warunkach zagrożenia życia jest jak wirus. Nie-wyleczony w porę, może zarazić wszystkich. ■

flesz
ĆWICZENIA

GUJANA FRANCUSKA

TROPIKALNY



TEST

„NAJTRUDNIEJSZE
BYŁO DLA MNIE
PILNOWANIE SIĘ,
ŻEBY NIE STRACIĆ
ORIENTACJI
W TERENIE. WSZĘDZIE
SĄ LIANY I DRZEWA.
WYSTARCZY SIĘ
OBRÓCIĆ I JUŻ
NIE WIADOMO,
GDZIE SIĘ JEST”,

MÓWI SIERŻANT PODCHORAŻY
MAREK JANKOWSKI.





W dżungli współpraca w zespole jest niezbędnym elementem przetrwania.

Sierżant podchorąży Marek Jankowski

z wrocławskiej szkoły oficerskiej jako jedyny Polak w grupie ukończył szkolenie w lasach równikowych Gujany Francuskiej.

PIOTR SZCZEPAŃSKI

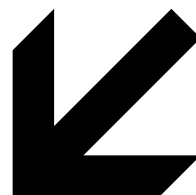
Już sam początek szkolenia „Stage aguerrissement” pokazał, że nie będzie łatwo. Kiedy po wylądowaniu w Gujanie otworzyły się drzwi samolotu, w żołnierza uderzyła fala gorącego powietrza. Termometr wskazywał ponad 30 stopni Celsjusza, wilgotność przekraczała 90 procent. W takich warunkach odbywał się dwutygodniowy kurs przygotowany przez francuskie centrum zajmujące się szkoleniem w lasach tropikalnych w ramach programu Erasmus.

Szkolenie żołnierzy rozpoczęło się od egzaminu ze sprawności fizycznej. „Musieliśmy podciągać się na drążku wysokim, uginać ramiona w podporze przodem, wspinać się po linie, robić skłony tułowia oraz pływać w umundurowaniu”, opowiada sierżant podchorąży Marek Jankowski z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu, który jako jedyny Polak w grupie ukończył ekstremalne szkolenie w Gujanie Francuskiej. Instruktorzy czas wolny między konkurencjami wypełnili kursantom dodatkowymi ćwiczeniami – kazali im robić pajacyki lub pompki. Niezaliczenie którejś z konkurencji równało się wykluczeniu z dalszych zajęć.

Później przyszedł czas na teorię. Podchorąży nauczył się, jak należy zbudować schronienie lub rozpalić ogień w tropikalnych warunkach. W dżungli równie ważna jest umiejętność poruszania się oraz nawigacji. Jak dowiedział się podchorąży Jankowski, w lasach równikowych najbardziej niebezpieczna jest woda. Dlatego duży nacisk kładziono na bezpieczeństwo w czasie przekraczania rwących rzek, które stanowią pułapkę i jedną z najczęstszych przyczyn wypadków śmiertelnych w dżungli. Równie istotnym zagrożeniem mogą być dzikie zwierzęta, takie jak jaguary i skorpiony.

„Na kursie nauczyliśmy się również, jak w dżungli zdobyć pożywienie”, opowiada student wrocławskiej uczelni wojskowej. „Już umiem upolować kajmana albo tapira i wiem, jak przyrządzić jedzenie nie tylko z tego mięsa, lecz także z tamtejszych roślin”.

Najgorsze jednak było dopiero przed żołnierzami. Punkt kulminacyjny szkolenia to trzy dni w dżungli. Musieli wówczas udowodnić, czy potrafią w praktyce zastosować to, czego do tej pory się nauczyli. Głównym zadaniem było przetrwanie w ekstremalnych warunkach – podcho-



Podchorąży pod okiem instruktorów z Legii Cudzoziemskiej uczyli się sztuki przetrwania i prowadzenia działań bojowych w dżungli.



KLUCZEM DO PRZETRWANIA W DŻUNGLI JEST UMIEJĘTNOŚĆ REGENERACJI

raży musiał więc z wojskowym ekwipunkiem na plecach przedzierać się przez bagna wśród tropikalnej roślinności, razem z kolegami zbudować obozowisko i zdobyć pożywienie. Poza tym każda drużyna otrzymała zadanie zbudowania tratwy, na której na koniec miała opuścić rejon obozowiska.

Przez cały czas Polak był oceniany przez instruktorów Legii Cudzoziemskiej, którzy zwracali uwagę na umiejętność współpracy w drużynie, przyswajanie wiedzy, kreatywność i radzenie sobie ze stresem.

W szkoleniu wzięło udział 140 żołnierzy z różnych krajów i mniej niż połowie z nich udało się je ukończyć. „Zdobycie odznaki ukończenia kursu ogromnie cieszy, a jednocześnie motywuje mnie do jeszcze cięższej pracy. Opuściłem Gujanę Francuską z dużym bagażem doświadczeń, które już niedługo będę mógł przekazywać swoim podwładnym”, deklaruje sierżant podchorąży Marek Jankowski, student ostatniego roku wrocławskiej uczelni. ■

MAJOR PIOTR SZCZEPAŃSKI
JEST OFICEREM PRASOWYM WYŻSZEJ
SZKOŁY OFICERSKIEJ WOJSK
LĄDOWYCH.



W szkoleniu wzięło udział 140 żołnierzy z różnych krajów.



Wsparcie specjalne

W uzasadnionych sytuacjach rodziny poległych żołnierzy i weterani poszkodowani mogą otrzymać od premiera rentę.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Szanowny Panie Premierze”, pisze Maria, „proszę o przyznanie mi świadczenia renty specjalnej”. Maria ma 35 lat i jest ratownikiem medycznym. Była na misjach w Iraku i w Afganistanie. Została ciężko ranna, ma status weterana poszkodowanego. Aby szef rządu przyznał jej takie świadczenie, kobieta musi udowodnić, że jest „szczególnie zasłużona dla państwa polskiego”. Musi umotywować wniosek, przedstawić powody, dlaczego powinna zostać potraktowana w sposób szczególny.

Maria zatem argumentuje (zgodnie z ustawą), że powinna dostać to świadczenie „...w związku z zasługami na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego i przemian demokratycznych w kraju oraz pracą szeroko wykraczającą poza obowiązki w kraju i poza granicami ojczyzny, działań na rzecz weteranów, weteranów poszkodowanych, promocji działań państwa polskiego na rzecz wyżej wymienionych”. Aby uwiarygodnić te słowa, Maria musiała zebrać opinie potwierdzające owe zasługi. Jest zakłopotana i pisze: „Szanowny Panie Premierze, kiedy pracowałam na rzecz ludzi potrzebujących pomocy, zawsze robiłam to anoni-

mowo, bez blasków fleszy, świadomie, bezinteresownie, bezpłatnie, bez względu na okoliczności, ryzyko, czas, zmęczenie. Nigdy nawet nie pomyślałam o tym, by prosić instytucje lub osoby fizyczne o potwierdzenie otrzymanej ode mnie wszelakiej, różnorodnej pomocy”.

SZCZEGÓLNE OKOLICZNOŚCI

Rentę specjalną przyznaje prezes Rady Ministrów na mocy artykułu 82 ustęp 1 ustawy z 17 grudnia 1998 roku o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Jej przepisy dają mu prawo w szczególnie uzasadnionych wypadkach do przyznania świadczenia na warunkach i w wysokości innej niż określone w ustawie.

Ustawa nie mówi jednak, jakie kryteria trzeba spełnić, aby to świadczenie dostać, nie precyzuje też pojęcia „szczególne okoliczności”. Przyjęto zasadę (potwierdzoną w orzecnictwie), że szczególnie uzasadniony przypadek wiąże się z wybitnymi zasługami w jakiejś dziedzinie – na niwie zawodowej, artystycznej, społecznej, politycznej czy w działalności na rzecz niepodległe-

RENTA DLA ŻOŁNIERZA

Na podstawie artykułu 11 ustawy z 10 grudnia 1993 roku o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz członków ich rodzin (DzU z 2004 roku nr 8, poz. 66 z późniejszymi zmianami) w sprawach nieuregulowanych w ustawie stosuje się przepisy ustawy o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, „Kodeksu postępowania administracyjnego” oraz przepisy o postępowaniu egzekucyjnym w administracji. Z tego też powodu istnieje możliwość ubiegania się o tak zwaną rentę specjalną przyznaną przez premiera. Jak wynika z artykułu 83 ustawy z 17 grudnia 1998 roku o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (DzU nr 162, poz. 1118 z późniejszymi zmianami), prezes Rady Ministrów w szczególnie uzasadnionych wypadkach może przyznać emeryturę lub rentę na warunkach i w wysokości innej niż określone w ustawie (na przykład osobom, które nie mają określonego stażu pracy). W celu przyznania tej renty należy złożyć odpowiednio uzasadniony wniosek (nie ma urzędowego wzoru takiego wniosku). Przyznanie renty specjalnej zależy od uznania prezesa Rady Ministrów.

go państwa polskiego – oraz z nadzwyczajnymi zdarzeniami losowymi.

Renta specjalna nie może zostać przyznana z powodu trudnej sytuacji zdrowotnej czy materialnej (nie jest to świadczenie socjalne). W październiku 2006 roku Trybunał Konstytucyjny orzekł, że przyznawane przez premiera renty i emerytury specjalne nie należą do systemu zabezpieczenia społecznego. Chodzi bowiem o uhonorowanie osób, które mają wybitne osiągnięcia w określonej dziedzinie aktywności, i zapewnienie im godziwych warunków bytowych, podobnie jak tym, których trudna sytuacja jest wynikiem szczególnych zdarzeń losowych. Każdy przypadek rozpatrywany jest indywidualnie.

Chociaż renta jest uznaniowa, to uzasadnienie decyzji musi być zrozumiałe i wyczerpujące. Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 17 października 2006 roku stwierdził, że „uznaniowy charakter decyzji prezesa Rady Ministrów nie wyklucza jej sądowej kontroli. Przyznanie świadczenia specjalnego to decyzja administracyjna (organ, który ją podejmuje, kieruje się zasadami określonymi w przepisach ustawy z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego” – DzU z 2000 roku nr 98, poz. 1071), więc może zostać zaskarżona do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie.

KTO DOSTAŁ RENTĘ?

Od 1990 do 2010 roku premierzy kolejnych rządów przyznali 1038 rent specjalnych. Wynosiły one od 400 do 4000 złotych. W gronie osób, które je otrzymały, znaleźli się między innymi: 309 działaczy opozycji antykomunistycznej, marszałek senatu Alicja Grześkowiak i koordynator służb specjalnych Janusz Pałubicki. W 2004 roku Leszek Miller przyznał renty specjalne rodzinom dziesięciu górników, którzy zginęli w katastrofie w kopalni Jas-Mos w Jastrzębiu Zdroju. Premier Jarosław Kaczyński wydał podobną decyzję w sprawie wdowy po zabitym w Iraku starszym kapralu Andrzeju Filipku. Dostała ona dożywotnią rentę specjalną w wysokości 2000 złotych, a jego dwoje dzieci renty w wysokości 1000 złotych do zakończenia nauki bądź ukończenia 25 roku życia.

W 2011 roku premier Donald Tusk wydał 41 decyzji o przyznaniu rent specjalnych, a 250 osobom odmówił tego świadczenia. W 2012 roku na przykład kobiecie, której mąż zginął w katastrofie kolejowej pod Szczekocinami. Na konferencji prasowej w kancelarii premiera na początku 2013 roku Donald Tusk tłumaczył, że „z zasady renty specjalne nie są przyznawane ofiarom czy rodzinom ofiar wypadków komunikacyjnych”.

„Nie ma żadnej ustawy czy regulaminu, który by wskazywał dokładnie, w jakich sytuacjach renta może być przydzielona. Decyzja w jakiejś mierze zależy od wyczucia osoby, która sprawę mi rekomenduje, czasami ode mnie”, tłumaczył. Jak mówił, sytuacjami nadzwyczajnymi są katastrofy smoleńska i samolotu CASA, ponieważ osoby, które zginęły, pełniły służbę państwową. W niektórych przypadkach dotyczy to także rodzin poległych żołnierzy.

WNIOSKI O PRYZNANIE RENTY SPECJALNEJ PRZYJMUJE KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW, ALEJE UJAZDOWSKIE 1/3, 00-583 WARSZAWA

Rentami takimi zajmuje się specjalny wydział w kancelarii premiera, od którego szef rządu otrzymuje rekomendację, czy dana sprawa spełnia odpowiednie kryteria. Zanim zapadnie decyzja o przyznaniu świadczenia, wyznaczony pracownik sprawdza wszystkie istotne okoliczności, występuje do wnioskodawcy oraz właściwych organów, instytucji, organizacji o dodatkowe informacje, dokumenty i opinie. Ustalana jest też sytuacja materialna wnioskodawcy – wywiad środowiskowy przeprowadza właściwy ośrodek pomocy społecznej. Taka procedura odbywa się właśnie w przypadku Marii.

OPINIE I DOKUMENTY

Maria ma kłopot z zebraniem dokumentów „poświadczających jej szczególne zasługi na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego i przemian demokratycznych w kraju”. No bo skąd wziąć zaświadczenie o tym, że w czasie afgańskiej misji przepracowała setki godzin jako wolontariuszka, prowadziła szkolenia z medycyny pola walki, wyjeżdżała na patrole z saperami, transportowała rannych żołnierzy śmigłowcem Mi-17. Ratowała życie innych, ryzykując swoje.

„Nie jestem w stanie udokumentować całej mojej działalności. Nigdy nie chciałam być osobą publiczną, rozpoznawaną na ulicy. Pracowałam anonimowo, skromnie, bez rozgłosu nawet w chwilach niezwykle trudnych dla mnie ze względu na wypadek, któremu uległam i po którym mam nadal całkowitą niezdolność do służby. Bezinteresownie działałam na rzecz innych, a poprzez to także dla siebie, udzielając wsparcia, prowadząc szkolenia”.

Mimo że została bardzo ciężko ranna podczas ataku na bazę i jej rehabilitacja się jeszcze nie zakończyła, Maria dalej chce pomagać pro publico bono, pracować na rzecz weteranów poszkodowanych. Gdyby podliczyć procenty uszczerbku na zdrowiu, jakie przyznali jej lekarze różnych specjalności, wyszłoby grubo ponad sto. Komisja lekarska orzekła, że kobieta jest zdolna do samodzielnej egzystencji, ale nie do pracy. Dostała 800 złotych renty wypadkowej i 300 złotych dodatku weterana poszkodowanego.

Maria planuje studia medyczne. Mówi, że pragnie oddać dobro, które dostała. Chce wspierać rannych i poszkodowanych misjonarzy, a jako że sama została ranna, jest dla nich osobą godną zaufania, a także przykładem, że mimo takich przeżyć i powojennej traumy można wrócić do normalnego życia, rodziny, społeczeństwa.

Teraz czeka na decyzję premiera. Ci, którzy znają Marię i którym pomogła, nie mają wątpliwości, że należy się jej świadczenie specjalne. A ona ma nadzieję, że podobnie uzna premier. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbędnik@zbrojni.pl

Awans szeregowego

Od pięciu lat pełnię służbę w korpusie szeregowych zawodowych. Mam wyższe wykształcenie z tytułem magistra i pełną „dwójkę” z języka angielskiego. Chciałbym dalej służyć w wojsku i rozwijać się zawodowo, dlatego jestem zainteresowany aplikacją do studium oficerskiego. Jakie mam szanse?

PODSTAWA PRAWNA: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2010 roku nr 90, poz. 593 z późniejszymi zmianami) – art. 28.

→ **Na tak zadane pytanie trudno jest udzielić jednoznacznej odpowiedzi.** Zgodnie z art. 28 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, jeżeli przemawiają za tym potrzeby sił zbrojnych, na stopień wojskowy podporucznika (podporucznika marynarki) może być mianowany, po odbyciu szkolenia wojskowego i zdaniu egz-

zaminu na oficera, podoficer zawodowy lub szeregowy zawodowy, który ukończył studia wyższe i ma bardzo dobrą ogólną ocenę w ostatniej opinii służbowej. Teoretycznie więc szeregowy zawodowy spełniający powyższe warunki może ubiegać się o przyjęcie do szkoły oficerskiej. Rzeczywistość pokazuje jednak, że jest to martwy przepis, ponieważ dyrektor Departamentu Kadr MON określa między innymi limit miejsc w szkołach oficerskich. Przyznaję, że ja nie spotkałem się z taką sytuacją, aby szeregowego zawodowego przyjęto bezpośrednio ze służby wojskowej do studium oficerskiego.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Dodatkowe obowiązki

Jestem nieetatowym wuefistą. Nie otrzymuję żadnych pieniędzy za wykonywanie dodatkowych zadań. Mam dużo pracy związanej z zajmowanym stanowiskiem i często wyjeżdżam na poligony. Czy mogę zwrócić się do dowódcy jednostki, by zdjął ze mnie dodatkowe obowiązki i przekazał je komuś innemu?

→ **Tak. Żołnierz zawodowy w każdej chwili może wystąpić drogą służbową ze stosownym meldunkiem do dowódcy jednostki wojskowej.**

W tej sprawie chodzi w zasadzie o dwa powody, dla których czytelnik zadał swoje pytanie. Po pierwsze, pełnienie przez niego nieetatowej funkcji nie wiąże się z dodatkowym wynagrodzeniem. Po drugie, wykonywanie obowiązków służbowych na zajmowanym stanowisku uniemożliwia mu właściwe wykonywanie zadań nieetatowych. Stąd też meldunek do dowódcy powinien zawie-

rać w swoim uzasadnieniu wskazanie właśnie na takie okoliczności.

Należy również wspomnieć, że dowódca jednostki wojskowej ma uprawnienia do wynagrodzenia żołnierzowi czynności, które wykraczają poza jego podstawowe obowiązki na zajmowanym stanowisku wojskowym poprzez przyznanie mu prawa do dodatkowego wynagrodzenia w wysokości od 25 do 75 złotych. Mówią o tym przepisy rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie wypłacania żołnierzom zawodowym dodatkowego wynagrodzenia.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wypłacania żołnierzom zawodowym dodatkowego wynagrodzenia z 7 kwietnia 2004 roku (DzU nr 108, poz. 1141 z późniejszymi zmianami) – § 13 ust. 1.

Dodatkowe odszkodowanie

W marcu 2012 roku miałem wypadek na terenie jednostki wojskowej. Został on uznany jako pozostający w związku ze służbą wojskową, a komisja lekarska przyznała mi 5 procent odszkodowania. Pieniądże wypłacono mi w grudniu 2012 roku. Obecnie lecę się u neurologa, który powiedział mi, że wypadek ten spowodował jeszcze inne konsekwencje zdrowotne i będzie potrzebny kolejny zabieg operacyjny. Czy po nim mogę ponownie stać przed komisją? Czy możliwe jest przyznanie mi kolejnego odszkodowania?

→ **Tak. W zaistniałej sytuacji przysługuje Panu prawo do skierowania do wojskowej komisji lekarskiej za pośrednictwem właściwego dla miejsca służby szefa wojewódzkiego sztabu wojskowego.** Należy również podkreślić, że w Pana wypadku możemy mieć do czynienia z dwoma odrębnymi postępowaniami. Pierwsze dotyczyłoby dokonania oceny, czy w stanie Pana zdrowia nie doszło do pogorszenia się klinicznych objawów związanych z wypadkiem z marca 2012 roku. Drugie zaś postępowanie może dotyczyć zupełnie nowej szkody związanej z tym samym

wypadkiem, ale nieujawnionej w toku postępowania orzeczniczego, które zostało zakończone wydaniem orzeczenia o ustaleniu uszczerbku na zdrowiu.

Czasami zdarza się bowiem, że przez brak wykonania specjalistycznych badań nie zostają wykryte wszystkie negatywne skutki wypadku, które mogą dać znać o sobie znacznie później. Każdorazowo w takiej sytuacji rolą komisji lekarskiej jest ustalenie, czy nowe schorzenie (uszczerbek na zdrowiu) można powiązać z wypadkiem. Celowe w tej sytuacji będzie również załączenie do ponownego postępowania orzeczniczego wszelkiej posiadanej dokumentacji medycznej oraz wyników badań specjalistycznych. To wszystko może bowiem wpłynąć na prawo do odszkodowania oraz uznania, że nowa szkoda mogła powstać właśnie w wyniku wypadku.

W opisaney sprawie prawo do odszkodowania ma charakter gwarancyjny, czyli zainteresowany nie musi udowodniać związku w sposób pewny, lecz wystarczy jedynie doza pewnego prawdopodobieństwa.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: Ustawa o świadczeniach odszkodowawczych przysługujących w razie wypadków i chorób pozostających w związku ze służbą wojskową z 11 kwietnia 2003 roku (DzU nr 83, poz. 760) – art. 15 ust. 1 pkt 1, art. 15 ust. 2.

Żołnierz sołtysem

Jestem starszym szeregowym. Czy dowódca jednostki może mi zabronić pełnienia funkcji sołtysa wioski, w której mieszkam?

→ **W takim wypadku zawsze na czele obowiązków żołnierza stoi służba wojskowa.** Zgodnie z ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych w czasie pełnienia zawodowej służby wojskowej żołnierzowi zawodowemu nie wolno między innymi być członkiem partii politycznej ani stowarzyszenia, organizacji lub ruchu obywatelskiego stawiających sobie cele polityczne, brać udziału w zgromadzeniach o charakterze politycznym, prowadzić działalności politycznej.

W wypadku pełnienia funkcji sołtysa wyżej wymieniony zakaz nie zostanie naruszony. Jednakże bycie sołtysem związane jest z prawem do określonego wynagrodzenia, a ustawa o służbie wojskowej mówi, że żołnierzowi zawodowemu nie wolno podejmować pracy zarobkowej i prowadzić działalności gospodarczej. Jednocześnie ustawodawca uszczegółowił, że za pracę zarobkową uważa się pracę świadczoną osobiście w ramach stosunku pracy lub na podstawie innego tytułu, jeżeli jest

ona wykonywana przez okres dłuższy niż jeden miesiąc.

W zaistniałej sytuacji żołnierz zawodowy może jednak skorzystać z rozwiązania ustawowego, które dopuszcza wyrażenie zgody przez dowódcę jednostki na wykonywanie pracy zarobkowej lub prowadzenie działalności gospodarczej przez żołnierza. Praca ta nie może jednak kolidować z wykonywaniem przez niego zadań służbowych, a także naruszać jego prestiżu.

Pamiętać przy tym jednak należy, że zgoda dowódcy jednostki wojskowej ma charakter fakultatywny, a w wypadku gdy czynności związane z pełnieniem funkcji sołtysa zaczną wpływać negatywnie na wywiązywanie się przez niego z obowiązków na zajmowanym stanowisku służbowym lub kolidować ze służbą – dowódca może ją w każdej chwili cofnąć.

Oprócz złożenia pisemnego wniosku do dowódcy wskazane jest załączenie listu rekomendacyjnego wójta, rady gminy, rady sołeckiej czy burmistrza, w którym mogą znaleźć się na przykład informacje na temat umiejętności żołnierza zawodowego w kierowaniu sołectwem.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWY PRAWNE: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2010 roku nr 90, poz. 593 z późniejszymi zmianami) – art. 56 ust. 1 i 3, art. 108; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wykonywania pracy zarobkowej lub prowadzenia działalności gospodarczej przez żołnierzy zawodowych z 7 października 2009 roku (DzU nr 176, poz. 1366) – § 1 i 7.

Wstrzymanie wypłaty uposażenia

Przebywam na długotrwałym zwolnieniu lekarskim z powodu choroby. Zawsze na czas przesyłam do jednostki wojskowej oryginał zwolnienia listem poleconym. Mimo to już kilkakrotnie została wstrzymana wypłata mojej pensji. Każdorazowo telefonicznie informuję służbę dyżurną o tym, że moje zwolnienie ulegnie dalszemu przedłużeniu. Gdy telefonicznie próbowałem wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje, otrzymałem odpowiedź, że szef kompanii dostarczył zwolnienie z opóźnieniem i dlatego wstrzymano mi wypłatę. Czy takie postępowanie jednostki jest właściwe? Czy jeżeli wina nie leży po mojej stronie, to mogę domagać się odszkodowania? Przez pół miesiąca nie miałem pieniędzy na żywność i leki. Nie mogłem też zapłacić rachunku telefonicznego i grozi mi kara. Co zrobić, aby w przyszłości uniknąć takich sytuacji?

➔ **Wstrzymanie wypłaty uposażenia było nieuzasadnione.** Procedurę zawiadomienia jednostki wojskowej, na której zaopatrzeniu finansowym pozostaje żołnierz zawodowy, o niemożności stawienia się do służby z powodu choroby reguluje ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Przepisy określają też, na podstawie jakich dokumentów następuje zwolnienie od czasowego wykonywania obowiązków służbowych na zajmowanym stanowisku służbowym. Jeżeli żołnierz dopełnił wszelkich obowiązków pod tym względem, a także zadbał o to, aby oryginał zwolnienia lekarskiego dotarł do jednostki, brak było podstaw do wstrzymania mu wypłaty uposażenia.

Dość istotna w tej sprawie jest informacja, że żołnierz przebywa na długotrwałym zwolnieniu lekarskim, prawdopodobnie z powodu ciężkiej choroby lub po wypadku. Już to powinno być niejako przesłanką do udzielenia przez jednostkę wojskową pewnego marginesu czasu na dostarczenie kolejnego zaświadczenia lekarskiego, tym bardziej że, jak podaje czytelnik, informuje o tym fakcie służbę dyżurną jednostki wojskowej.

Wypłaty uposażenia dokonuje jednostka wojskowa lub instytucja cywilna, na której zaopatrzeniu finansowym pozostaje żołnierz. Uposażenie zasadnicze i dodatki o charakterze stałym powinny być wypłacane miesięcznie z góry, w pierwszym dniu roboczym miesiąca, za który przysługują. Przepisy mówią, że w razie zwłoki w wypła-

cie między innymi uposażenia żołnierzowi przysługują odsetki ustawowe od dnia, w którym uposażenie lub inna należność pieniężna stały się wymagalne. O odsetkach ustawowych orzeka w decyzji administracyjnej organ właściwy w sprawie przyznania uposażenia.

Podstawą do zawieszenia żołnierzowi uposażenia staje się zaistnienie przesłanki faktycznej, na przykład gdy żołnierz samowolnie opuścił miejsce pełnienia służby, odmówił jej pełnienia lub wykonania obowiązku wynikającego z tej służby. Przepisu tego nie wolno interpretować rozszerzająco. Oznacza to, że nie można zawiesić wypłaty uposażenia tylko dlatego, że kolejne zaświadczenie lekarskie nie dotarło jeszcze do jednostki wojskowej. Należy również zwrócić uwagę, że brak lub spóźniony odbiór korespondencji pocztowej przez wyznaczoną przez dowódcę jednostki do tego celu osobę nie może powodować ujemnych skutków prawnych dla żołnierza.

Zwłoka lub nieuzasadnione zawieszenie wypłaty wynagrodzenia może spowodować, że żołnierz będzie miał zasadne roszczenie odszkodowawcze w postaci wypłaty uposażenia wraz z odsetkami za zwłokę.

W sytuacji, gdy wstrzymanie uposażenia okaże się nieuzasadnione, żołnierz może żądać, aby karę za niezapłacony w terminie rachunek telefoniczny zapłaciła jednostka wojskowa. Gdyby natomiast konieczne było zaciągnięcie kredytu na zakup żywności i leków – odsetki od niego musiałaby spłacić jednostka wojskowa. Jeżeli zaś z powodu braku leków doszło do pogorszenia stanu zdrowia żołnierza – jednostka wojskowa odpowiadałaby za rzeczywistą szkodę na zdrowiu żołnierza, jaka z tego tytułu wynikła.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWY PRAWNE:

ustawa z 25 czerwca 1999 roku o świadczeniach pieniężnych z ubezpieczenia społecznego w razie choroby i macierzyństwa (DzU z 2010 roku nr 77, poz. 512) – art. 55; ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2010 roku nr 90, poz. 593 z późniejszymi zmianami) – art. 60a, art. 60b, art. 73, art. 74 ust. 1, art. 75 ust. 3 oraz art. 93 ust. 1; ustawa z 23 kwietnia 1964 roku „Kodeks cywilny” (DzU nr 16, poz. 93 ze zmianami) – art. 361 § 1 i 2, art. 417 § 1.

PRZEPISY

0 NSR w parlamencie

Rząd przyjął propozycje zmian w ustawach o powszechnym obowiązku obrony i o uposażeniu żołnierzy niezawodowych.

Projekt zmian w obu ustawach przygotował resort obrony. Założenia rząd zaaprobował w październiku 2012 roku, a w listopadzie Rada Ministrów przyjęła projekty obu aktów.

Dla żołnierzy jedną z ważniejszych spraw jest możliwość zmiany i uzupełniania kontraktów w formie aneksów. Dzięki temu przejście do innej jednostki lub objęcie stanowiska przez żołnierza nie będą wymagały uruchamiania ponownej procedury związanej z zawarciem umowy.

Planowane jest także zniesienie górnej granicy pozostawania na przydziale kryzysowym. Obecnie służba w NSR może trwać maksymalnie 15 lat. Po likwidacji tego zapisu jedyną barierą pozostanie wiek kandydata i związany z nim obowiązek służby wojskowej (szeregowi – do 50 roku życia, oficerowie – do 60 lat). Dodatkowo przydział kryzysowy będzie można zawiesić kobietom w ciąży i na czas trwania urlopu macierzyńskiego. Dotychczas w takich sytuacjach kontrakt wygasał.

W projektowanych przepisach rozbudowany został również system motywacyjny. Propozycje przewidują między innymi dofinansowanie przez wojsko kosztów nauki lub stażu, a także udział w szkoleniach i kursach (wojskowych i pozawojskowych), pozwalających żołnierzowi zdobyć kwalifikacje przydatne zarówno w armii, jak i na cywilnym rynku pracy. O zwrot pieniędzy za naukę żołnierz mógłby się starać po co najmniej trzech latach służby w NSR.

Nowością ma być także pieniężny dodatek dla żołnierzy, którzy zdobędą klasę kwalifikacyjną. Teraz przepisy nie przewidują finansowego wyróżnienia rezerwisty, który podnosi swoje wojskowe kwalifikacje.

Zmienić się mają też warunki zapłaty za ćwiczenia. Wysokość jej nie będzie zależała, jak dotąd, od stopnia wojskowego, lecz od zajmowanego stanowiska. Oznacza to, że ci, którzy mają różne stopnie, ale zajmują identyczne stanowiska będą dostawać tyle samo pieniędzy.

Autorom projektu zależało także na tym, aby ograniczyć liczbę żołnierzy, którzy rezygnują przed końcem służby przygotowawczej. Według nowych przepisów będą oni musieli we wnioskach uzasadniać powody odejścia, a ci, którzy się na nie zdecydują przed zakończeniem służby przygotowawczej, otrzymają niższe wynagrodzenie, zgodne z rzeczywistym czasem służby. Obecnie jest ono wypłacane z góry.

Zmieniać się również przepisy dotyczące pracodawców zatrudniających żołnierzy rezerwy. Będą mieli więcej czasu na złożenie wniosku o rekompensatę kosztów poniesionych na zastąpienie rezerwisty w pracy. Obecnie mają na to miesiąc, po zmianach będą mieli trzy miesiące. A dokumenty w tej sprawie będą mogli składać do sztabu wojskowego w województwie, w którym mieści się zakład pracy. Teraz muszą to zrobić tam, gdzie się znajduje jednostka wojskowa. PZ ■

➤ Więcej o Narodowych Siłach Rezerwowych na stronach 12–27

NAUKA

Kursy oficerskie dla cywili

W 2014 roku mający apetyt na gwiazdki oficerskie będą się szkolić między innymi w korpusach medycznym oraz łączności i informatyki. O miejsca na kursach mogą się ubiegać oprócz podoficerów (termin składania dokumentów upłynął 30 września) także cywile. Najwięcej, bo aż 15 miejsc czeka na nich na trzymiesięcznym kursie dla medyków. Kwartalne szkolenie będą musieli przejść także czterej kandydaci do służby w Ordynariacie Polowym. Na złożenie niezbędnych dokumentów kandydaci mają czas do 31 stycznia 2014 roku.

Dłuższe, bo aż 12-miesięczne szkolenie czeka ochotników, którzy będą się przygotowywać do zawodowej służby wojskowej w grupach osobowych projektowo-programowej informatyki, a także eksploatacji systemów informatycznych. W tych specjalnościach wojsko potrzebuje łącznie ośmiu oficerów. Na skompletowanie i złożenie dokumentów chętni mają czas do 15 maja 2014 roku.

Na udział w kursach szansę mają kandydaci, których wykształcenie jest zgodne z wybranym kierunkiem szkolenia. Ochotnicy muszą też przejść badania lekarskie oraz psychologiczne. Dopiero pozytywne wyniki określające zdolność do służby wojskowej będą przepustką do egzaminów wstępnych na studium: testu sprawnościowego i sprawdzianu z języka angielskiego oraz rozmowy kwalifikacyjnej. PZ ■

Źródło: decyzja nr 263 ministra obrony narodowej z 19 września 2013 roku w sprawie naboru na szkolenie wojskowe kandydatów na oficerów w 2014 roku.



| TECHNOLOGIE |

PRZEWROT PAŁACOWY

Gąsienicowe **155-milimetrowe** samobieżne haubice przez prawie pół wieku były uznawane za niekoronowane królowe współczesnej artylerii wsparcia. Ich panowanie dobiega jednak końca.



KRZYSZTOF WILEWSKI

U S D O D



M109

do służby została wprowadzona w 1963 roku.

Ceasar

montowany na podwoziu ciężarówki; Francuzi otrzymali go w 2003 roku.

M777

niekwestionowana królowa armat trafiła do służby w 2003 roku.

AS-90

ważące 42 tony samobieżne działo gąsienicowe wprowadzone zostało do służby przez Brytyjczyków w 1992 roku.

K9 Thunder

ważący 47 ton zadebiutował w 1999 roku.

→ PRZEWROT PAŁACOWY

Najpewniejszym sposobem na zatrzymanie przeciwnika lub przełamanie jego pozycji jest precyzyjny ostrzał artyleryjski. Nie zawsze można bowiem liczyć na samoloty czy śmigłowce – choćby ze względu na ograniczenia związane z używaniem ich w czasie złej pogody. Każda armia na świecie potrzebuje zatem wsparcia artylerii.

CHRZEST BOJOWY

Za najlepsze do tego typu zadań NATO uznało na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku haubice kalibru 155 milimetrów. Na ostatecznym wyborze zaważyły doświadczenia z wojny w Korei, gdzie 105-milimetrowe działa, których Amerykanie mieli sporo w swoim wyposażeniu (również w wersji samobieżnej – M7 Priest), nie były w stanie zapewnić odpowiedniego wsparcia ogniowego. Bojowy chrzest zdały za to celująco holowane haubice M114 o kalibrze 155 milimetrów. Produkowane w latach 1941–1953, trafiły do ponad 40 armii na całym świecie, a Amerykanie używali ich do końca lat siedemdziesiątych. Fenomenem wręcz jest to, że po sześciu dekadach od zakończenia produkcji armie 22 państw nadal mają takie działa w swoim wyposażeniu!

NATO wybrało kaliber 155 milimetrów jako ten najwłaściwszy dla artylerii wsparcia, ale każdemu członkowi sojuszu pozostawiło wolną rękę co do typu konstrukcji – można

wybrać działo holowane, na ciężarówce albo na podwoziu gąsienicowym.

Amerykanie początkowo postawili na gąsienice. Prace badawczo-rozwojowe nad nową samobieżną haubicą, która miała zastąpić M7 Priest, rozpoczęto jeszcze w trakcie wojny koreańskiej. Do końcowych testów na przełomie 1959 i 1960 roku zakwalifikowały się dwie konstrukcje – M108 o kalibrze 105 milimetrów i M109 o kalibrze 155 milimetrów. Zwyciężyła ta druga propozycja.

M109 do służby została wprowadzona w 1963 roku i swój bojowy chrzest przeszła w Wietnamie. Wpadł on na tyle dobrze, że tysiące M109 trafiło nie tylko w US Army. Do 1969 roku rząd amerykański sprzedał swoim sojusznikom ponad 1600 takich armat, w tym ponad 600 Niemcom. Działa kupiły również Belgia, Kanada, Kuwejt, Etiopia, Norwegia, Egipt, Austria, Włochy, Jordania, Izrael, Maroko, Peru, Portugalia, Hiszpania, Szwajcaria, Korea Południowa, Iran, Arabia Saudyjska, Tunezja, Wielka Brytania, Tajwan, Dania, Holandia, Pakistan, Grecja, Libia, Oman, Tajlandia, Szwajcaria, Chile.

Kiedy M109 sprzedawała się jak ciepłe bułeczki, Pentagon zdecydował już o rozpoczęciu prac nad następcą dla wysłużonych holowanych M114, głównie dla piechoty morskiej – gąsienicowe M109 niezbyt pasowały do koncepcji dynamicznych działań marines. Prototyp M198, bo takie oznaczenie otrzymała nowa haubica, pojawił się w 1969 roku, a do seryj-

M198

do seryjnej produkcji
trafiło w 1978 roku.

PzH 2000

ważące 55 ton samobieżne
działo służbę w Bundeswehrze
rozpoczęło w 1998 roku.

XM2001

XM1203

Amerykanie zamknęli dwa projekty
badawczo-rozwojowe nowego typu
gąsienicowej artylerii samobieżnej – XM2001
oraz XM1203 Non-Line-of-Sight Cannon.

SAMOBIEŻNA ARTYLERIA BAZUJĄCA NA PODWOZIU GĄSIENICOWYM TRACI PALMĘ PIERWSZEŃSTWA NA RZECZ LŻEJSZEJ I MŁODSZEJ ARTYLERII HOLOWANEJ LUB KOŁOWEJ

MILITARIUM STUDIO/US DOD

nej produkcji działo trafiło w 1978 roku. Kiedy zaledwie po siedmiu latach służby M198 w 1985 roku amerykańska armia ogłosiła, że poszukuje nowej lekkiej haubicy kalibru 155 milimetrów, większość ekspertów nie kryła zdziwienia.

Wymagania wobec nowego systemu artyleryjskiego dla amerykańskiej armii przygotowano w 1986 roku. Chodziło przede wszystkim o to, żeby konstrukcja miała nie gorsze parametry bojowe (zasięg i szybkostrzelność) niż M198, a jednocześnie znacznie mniej ważyła – nie więcej niż cztery tony. Zbudowania nowego działu podjęła się brytyjska firma Vickers Shipbuilding and Engineering, która parę lat później stała się częścią BAE Systems. O tym, jak długi i kosztowny jest proces opracowywania nowych armat, najlepiej świadczy fakt, że pierwsze seryjne egzemplarze haubicy o symbolu M777 trafiły do służby w 2003 roku!

Wróćmy jednak do połowy lat osiemdziesiątych. Europejscy sojusznicy USA z dużym sceptycyzmem przyjęli decyzję Pentagonu o rozpoczęciu prac nad nową haubicą holowaną. Nie brakowało głosów, że Amerykanie chcą w ten sposób pokazać państwom Starego Kontynentu, iż potrafią budować lepsze uzbrojenie – w 1978 roku weszła bowiem do służby nowa haubica holowana opracowana wspólnie przez Niemców, Brytyjczyków i Włochów. Wskazywano również, że Amerykanie, dając priorytet (przynajmniej tymczasowy) konstrukcjom holowanym, wyraźnie odcięli się od europejskich planów opracowania samobieżnych haubic kolejnej generacji. Choć projekt działu SP-70 (na podwoziu czołgu Leopard I), nad którym pracowali wspólnie Niemcy, Brytyjczycy i Włosi, upadł w 1985 roku, to Niemcy i Brytyjczycy kontynuowali badania nad własnymi rozwiązaniami – odpowiednio PzH 2000 i AS-90.

Amerykanie nie mieli jednak wątpliwości przy wyborze konstrukcji. Wojna w Wietnamie, a później konflikty na Bliskim Wschodzie i wreszcie wojna o Falklandy pokazały, że żołnierze potrzebują artylerii wsparcia, która będzie w stanie towarzyszyć im na każdym kroku, bez względu na intensywność działań oraz szybkość przemieszczania się pododdziałów. Jednym słowem artyleria musiała być tak mobilna i szybka,

jak „wynałazek” wojny wietnamskiej, czyli kawaleria powietrzna.

Haubica M198, choć była bardzo dobrą konstrukcją, której do dziś używa jedenaście armii świata, w tym amerykańska, australijska, marokańska, iracka, tunezyjska i pakistańska, ważyła jednak ponad siedem ton i mogły ją transportować jedynie ciężkie śmigłowce – takie jak CH-47 Chinook. Amerykanie chcieli zaś, aby działa przewożone były maszynami kawalerii powietrznej i piechoty morskiej – UH-60 Black Hawk.

Co ciekawe, Francuzi podzielali opinię Amerykanów, że w przyszłości konflikty będą opierać się głównie na siłach szybkiego reagowania. Tamtejsza armia również zdecydowała się na początku lat dziewięćdziesiątych na zastąpienie dopiero co wprowadzonych do użytku (w 1989 roku) 155-milimetrowych haubic TR F1 nową konstrukcją. Francuzi, w odróżnieniu od Amerykanów, nie zdecydowali się jednak na działo holowane. Ich wybór padł na haubicę montowaną na podwoziu ciężarówki. Zgodnie z założeniami Ceasar (akronim słów „camion équipe d'un système d'artillerie”, czyli ciężarówka wyposażona w system artyleryjski) miała ważyć około 17 ton.

ARTYLERYJSKIE TRENDY

Przełom XX i XXI wieku przyniósł prawdziwy wysyp nowych haubic. W 1992 roku Brytyjczycy wprowadzili do służby ważące 42 tony samobieżne działo gąsienicowe AS-90, o zasięgu maksymalnym 30 kilometrów. W 1998 roku służbę w Bundeswehrze rozpoczęły ważące 55 ton samobieżne działu PzH 2000 o zasięgu maksymalnym 40 kilometrów. Rok później swoje najnowsze, ważące 47 ton i mające zasięg 40 kilometrów, samobieżne haubice K9 Thunder odebrała południowokoreańska armia. Latem 2001 roku zaprezentowano zaś prototyp Kraba, polskiej 155-milimetrowej samobieżnej haubicy. W 2003 roku Amerykanie otrzymali natomiast pierwsze M777, a Francuzi Ceasary.

Po dziesięciu latach od wprowadzenia do służby M777 jesteśmy świadkami artyleryjskiego przewrotu pałacowego. Na naszych oczach samobieżna artyleria bazująca na podwoziu



gąsienicowym traci bowiem palmę pierwszeństwa na rzecz lżejszej i młodszej artylerii holowanej lub kołowej.

Generał brygady Jarosław Wiercholski, były szef wojsk rakietowych i artylerii Wojsk Lądowych, przyznaje, że należało się spodziewać takiego scenariusza: „Artyleria samobieżna na podwoziu czołgowym jest droższa – i jeśli chodzi o zakup, i eksploatację – od jej kołowych odpowiedników, a tym bardziej od holowanych dział. Do niedawna jednak pancerny chroniący obsługę działa i zautomatyzowane systemy kierowania ogniem sprawiały, że warto było ponosić takie koszty. Rozwój amunicji do 155-milimetrowych haubic, w tym przede wszystkim pojawienie się pocisków o zasięgu przekraczającym 60 i 80 kilometrów, oraz opracowanie wydajnych systemów kierowania ogniem do haubic montowanych na podwoziu kołowym zmuszają jednak do zastanowienia się, czy zestawy gąsienicowe mają przyszłość”.

Dobrym przykładem możliwości lekkich haubic na podwoziu gąsienicowym jest szwedzki Archer. Opracowany dla tego działa system kierowania ogniem umożliwia oddanie w ciągu minuty dziewięciu strzałów i oddalenie się z miejsca prowadzenia ognia, zanim pierwsze pociski spadną na cel. Działo przystosowano do prowadzenia ognia pociskami Excalibur o zasięgu 60 kilometrów. Generał Wiercholski podkreśla, że choć możliwości Excalibura są imponujące, to aby dokonać się artyleryjski przewrót pałacowy, na rynku musi się pojawić więcej podobnych konstrukcji i nie mogą one być zbyt drogie. Dopóki tak się nie stanie, będziemy obserwowali powolny proces rezygnowania z samobieżnych haubic gąsienicowych. A tak dzieje się już na całym świecie.

Amerykanie, którzy raczej nie oszczędzają na programach zbrojeniowych, w ostatnich latach zamknęli dwa projekty badawczo-rozwojowe nowego typu gąsienicowej artylerii samobieżnej – XM2001 oraz XM1203 Non-Line-of-Sight Cannon. Wprawdzie przedstawiciele Pentagonu nie wykluczają prac nad nowymi haubicami, jednak twierdzą, że na razie US Army z powodzeniem wystarczają zmodernizowane (do standardu Paladin) M109.

Kolejnym dowodem na rewolucję w artylerii są plany niemieckich sił zbrojnych, czyli największego użytkownika samobieżnych haubic na podwoziu gąsienicowymi PzH 2000. Tamtejsza armia, pozbywając się pancernych zagonów, zaplanowała również głębokie skadrowanie prawie wszystkich pułków artylerii.

W plany niemieckiej armii doskonale wpisuje się ogłoszona niedawno przez rząd Indii decyzja o zawieszeniu programu pozyskania samobieżnej haubicy gąsienicowej z jednoczesnym dofinansowaniem badań nad 155-milimetrowym działem na podwoziu ciężarówki. Zbudowania kołowej haubicy podjął się lokalny gigant motoryzacyjny – firma Tata.

Czy zatem warto rozwijać polską haubicę Krab? Taktykę i nowe uzbrojenie powinniśmy dostosowywać do położenia geograficznego naszego kraju, a nie wpasowywać się w światowe trendy. Polska armia do obrony granic potrzebuje zarówno haubic gąsienicowych, jak i dział na podwoziu kołowym. Powinniśmy więc nie tylko rozwijać Kraba, lecz także dołożyć wszelkich starań, by sukcesem zakończył się projekt jego kołowego kuzyna – Kryla. I spokojnie obserwować z boku, jak wielcy tego świata bawią się w artyleryjskie przewroty pałacowe. ■



RAFAEL ADS

INDIE

Precyzyjne zakupy

Portal Defense News poinformował, że indyjska armia rozważa zakup izraelskich przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike (w kwietniu 2013 roku zawieszono ten projekt).

W grę wchodzi dostawa 321 wyrzutni, 8356 pocisków i 15 symulatorów do szkolenia obsługi. Indie uruchomiły procedurę zakupu ppk nowej generacji w 2010 roku i zaprosiły do składania ofert firmy z Izraela, Unii Europejskiej, USA i Rosji. Swoją propozycję przedstawił jednak tylko izraelski producent Spike'ów Rafael. Dla innych firm nie do zaakceptowania były indyjskie oczekiwania dotyczące transferu technologii.

We wrześniu 2013 roku nastąpił w tej sprawie przełom. Stany Zjednoczone zaoferowały Indiom szybką dostawę sześciu tysięcy przenośnych zestawów ppk Javelin oraz wyraziły gotowość ich produkcji w indyjskich zakładach. Eksperci uważają, że Hindusi mogą kupić oba systemy, ponieważ ich armia oszacowała swe potrzeby na 20 tysięcy ppk nowej generacji. Przy czym wyrzutnie Spike byłyby montowane na takich pojazdach, jak BWP-2. Nowy sprzęt zastąpiłby dotychczas używane zestawy ppk Konkurs M i Milan. w w ■

NORWEGIA

AW-101 dla ratowników

Norweski rząd poinformował, że dalsze rozmowy o nowych śmigłowcach poszukiwawczo-ratowniczych będą kontynuowane z firmą Agusta Westland, która oferuje konstrukcję AW-101. Na początku w grę wchodziłby kontrakt na 16 maszyn, ale z opcją rozszerzenia zamówienia o sześć kolejnych. Wartość transakcji jest szacowana na ponad miliard euro. Jeśli negocjacje zakończą się podpisaniem umowy, to pierwszy nowy śmigłowiec Norwegia dostanie w 2017 roku. AW-101 zastąpi maszyny poszukiwawczo-ratownicze Sea King – ostatnie śmigłowce mają być wycofane ze służby w 2020 roku. T W ■



RICARDO

Czarna wdowa

Dla Defence Technology Institute Black Widow Spider to pierwszy w historii duży program budowy pojazdu wojskowego.

Defence Technology Institute, agencja zajmująca się pracami badawczo-rozwojowymi tajlandzkiego ministerstwa obrony, podała, że jej partnerem w realizacji kolejnej fazy programu ośmiokołowego pojazdu opancerzonego Black Widow Spider (pająk czarna wdowa) będzie firma Ricardo, która między innymi jest dostawcą sprzętu dla armii brytyjskiej.

Wykonany z walcowanej stali kadłub tego wozu będzie mieć spód w kształcie litery V (jest to sprawdzone rozwiązanie, chroniące przed eksplozjami min i improwizowanych urządzeń wybuchowych), który będzie mógł pomieścić w swoim wnętrzu 13 żołnierzy, w tym dowódcę i strzelca. Przewiduje się też możliwość zamontowania na pojeździe dodatkowego opancerzenia. W R ■

AGUSTA WESTLAND



AW-101 to śmigłowiec o wszechstronnym zastosowaniu, zarówno dla marynarki wojennej, wojsk lądowych, jak i instytucji cywilnych

BALT MILITARY EXPO

Gdańsk | 24-26.06.2014

13 Bałtyckie
Targi
Militarne



VI Międzynarodowa Konferencja Naukowo Techniczna
„Technologie Morskie dla obronności i bezpieczeństwa”
NATCON 2014



MIĘDZYNARODOWE
TARGI GDAŃSKIE SA

ul. Żaglowa 11, 80-560 Gdańsk | dyrektor projektu - Marek Buczkowski
tel. 58 554 92 13, 693 110 811 | military@mtgsa.com.pl | www.baltmilitary.pl



MOCNA TRÓJKA

Do amerykańskiej marynarki wojennej
trafią w najbliższych latach trzy nowoczesne niszczyciele typu **Zumwalt**.

TADEUSZ WRÓBEL

U.S. NAVY

Wstocznii Bath Iron Works w stanie Maine 28 października 2013 roku zwodowano jednostkę mającą prawdopodobnie najbardziej futurystyczną sylwetkę spośród współczesnych okrętów wojennych. USS „Zumwalt” (DDG-1000) został sklasyfikowany jako niszczyciel wielofunkcyjny, ale jest większy na przykład od krążowników raketowych typu Ticonderoga. Nie ma się jednak czemu dziwić, ponieważ założono, że nowe niszczyciele będą stanowiły namiastkę dawnych pancerników. „Zumwalt” ma być przygotowany do zwalczania celów nawodnych i powietrznych oraz zapewnienia wsparcia ogniowego z dużej odległości.

PLYWAJĄCA BATERIA

Sylwetka DDG-1000, podobnie jak większości innych współcześnie budowanych okrętów wojennych, została wyprofilowana tak, by utrudnić wykrycie jednostki przez radary. Dziób jest odwrócony (tak zwany taranowy), a burty są pochylone do wewnątrz, czyli okręt ma kadłub „tumblehome”. Takie rozwiązanie to nic nowego – znane jest już z końca XIX wieku. Tyle że w konstrukcji nadbudówek DDG-1000 wykorzystano kompozyty, by był on niewidzialny dla radarów. Z tego powodu niszczyciel nie ma także zewnętrznych anten i masztów.

Równie interesujące jak kształt jest uzbrojenie „Zumwalta”. Przed nadbudówką w części dziobowej okrętu zamontowano dwie znacznych rozmiarów wieże, w których znajdują się armaty dalekiego zasięgu (Advanced Gun Systems, AGS) kalibru 155 milimetrów. Wysoka szybkostrzelność AGS – dziesięć strzałów na minutę – jest możliwa dzięki w pełni

zautomatyzowanemu magazynowi amunicyjnemu z kilkuset pociskami gotowymi do użycia. Lufa armaty jest chłodzona wodą, by się nie przegrzała. Co do zasięgu rażenia artylerii głównej „Zumwalta” są podawane różne dane – od około 117 do prawie 154 kilometrów. Siła ognia pary armat niszczyciela jest natomiast taka, jak dywizjonu połowych haubic M198 tego samego kalibru, mającego ich 12 lub 18 sztuk.

DDG-1000 od wcześniej konstruowanych okrętów wyróżnia umiejscowienie pionowych wyrzutni pocisków rakietowych – moduły Peripheral Vertical Launch System (PVLS) zainstalowano przy burtach, przed nadbudówką i w części rufowej. W razie eksplozji rakiet, przy takim rozmieszczeniu i dzięki opancerzeniu wyrzutni będzie mniejsza skala zniszczeń na okręcie. Jeden moduł PVLS składa się z czterech cel, a w jednej fakultatywnie można umieścić cztery pociski przeciwlotnicze Evolved Sea Sparrow lub jeden Tomahawk bądź rakiety-torpedy.

Dodatkowe uzbrojenie DDG-1000 stanowią dwie armaty 57-milimetrowe do obrony bezpośredniej, a według niektórych źródeł zostanie ono uzupełnione jeszcze o cztery karabiny maszynowe kalibru 12,7 milimetra lub parę 30-milimetrowych armat automatycznych. Niszczyciel został również wyposażony w dwa hydrolokatory podkadłubowe, średniej i wysokiej częstotliwości, oraz wielofunkcyjny hydrolokator holowany, służące do wykrywania min i okrętów podwodnych.

Na rufie „Zumwalta” znajdują się lądowisko dla śmigłowców lub bezałogowych statków powietrznych oraz hangar dla wiroplątów średniej klasy o masie do dziesięciu ton. Pod lądowiskiem zbudowano specjalny hangar z rampą dla dwóch szybkich łodzi hybrydowych.



Zumwalt

Załoga 142–148 marynarzy

2014

USS „Zumwalt” ma być przekazany US Navy pod koniec 2014 roku, a wstępną gotowość operacyjną osiągnąć w 2016 roku. Drugi niszczyciel, USS „Michael Monsoor”, zostanie zwodowany w 2016 roku, a USS „Lyndon B. Johnson” dwa lata później.

Na rufie znajdują się lądowisko dla śmigłowców (dwa **MH-60R** lub SH-60B) lub bezzałogowych statków powietrznych (trzy **MQ-8 Fire Scout** – w zamian za jeden śmigłowiec)

Uzbrojenie artyleryjskie i torpedowe

2 armaty **AGS** kalibru 155/62 milimetrów
2 armaty **Mk 110** kalibru 57 milimetrów

Wyporność
15 482–15 860 ton

Pogrobowiec

Początki projektu niszczyciela „Zumwalt” wiążą się z rozpoczętym w 1994 roku programem przyszłościowych zdolności nawodnych amerykańskiej marynarki wojennej (Surface Combatant for the 21st century, SC-21). Pojawiły się wówczas propozycje futurystycznych jednostek różnej wielkości. Jedną z nich był niszczyciel DD-21, okręt o wyporności 16 tysięcy ton, uzbrojony w maksymalnie do 128 cel z pociskami rakietowymi. Ostatecznie program SC-21 zamknięto w 2001 roku, ale niebawem US Navy uruchomiła nowy, Future Surface Combatant, nieco skromniejszy. Wtedy pojawił się projekt niszczyciela DD(X). W porównaniu z DD-21 zredukowano między innymi liczbę cel dla pocisków rakietowych do 80 i wyporność do 14 tysięcy ton. Właśnie z DD(X) wywodzi się DDG-1000.

Szerokość
24,6 metra

Zanurzenie
8,4 metra

Prędkość
30 węzłów

Uzbrojenie rakietowe

20 modułów **Mk 57 VLS** z 80 celami

Długość
185,9 metra

DDG-1000 postanowiono wyposażać w zintegrowany system zasilania (Integrated Power System, IPS). Podstawa jego napędu to dwie turbiny gazowe i pomocnicze silniki Diesla. Nowością jest silnik na magnesy stałe (permanet magnet motor) oraz pełna integracja wszystkich elektrycznych napędów, co z wielokrotną dostępną moc w porównaniu z obecnymi jednostkami pływającymi. Rozwiązanie to ma też spowodować obniżenie sygnatury termicznej i wyciszenie okrętu.

Nowy niszczyciel zostanie naszpikowany systemami komputerowymi. W interesujący sposób konstruktorzy podeszli do zabezpieczenia sprzętu informatycznego przed uderzeniami

i wibracjami. Zamiast zastosować kosztowne rozwiązania opracowane na wojskowe potrzeby, postanowili skorzystać z pomysłów komercyjnych. Sprzęt natomiast umieścili w 16 specjalnych kontenerach, które zapewniają między innymi osłonę elektromagnetyczną. Sercem okrętu będzie dwupoziomowe bojowe centrum informacyjne.

OSTRE CIĘCIE

Niszczyciel projektu DD(X) według wstępnych założeń miał mieć wyporność około 14 tysięcy ton. Z danych zamieszczonych na oficjalnej stronie internetowej US Navy wy-

Ticonderoga

Załoga 330 marynarzy

1983

Zamówienie na pierwsze jednostki typu **Ticonderoga** US Navy złożyło w roku 1978. Pierwszy okręt wszedł do służby 22 stycznia 1983 roku.

Śmigłowce

dwa MH-60R lub
SH-60B



Zanurzenie
10,5 metra

Szerokość
16,8 metra

Wyporność
9754 tony

Prędkość
32,5 węzła

Uzbrojenie rakietowe

8 wyrzutni pocisków przeciwokrętowych
2 zestawy po 61 cel Mk 41

Uzbrojenie artyleryjskie i torpedowe

2 armaty kalibru 127/54 milimetrów
2 zestawy obrony bezpośredniej Phalanx
2 armaty kalibru 25 milimetrów
2-4 karabiny maszynowe kalibru 12,7 milimetra
2 potrójne wyrzutnie torped kalibru 324 milimetrów

Długość
173 metry

Wspomnienie po krążowniku

AMERYKAŃSKA
MARYNARKA WOJENNA
MIAŁA W PLANACH
BUDOWĘ KRAŻOWNIKA
RAKietOWEGO **NOWEJ
GENERACJI CG(X).**

W pracach nad nim chciano wykorzystać niektóre rozwiązania z DDG-1000. Wielkie ograniczenia wydatków Pentagonu pogrzebały jednak te plany. Pojawiła się natomiast propozycja budowy odmiany DDG-1000 z takim radarem, jaki jest na niszczycielach Arleigh Burke trzeciej serii lub większym. Te okręty miałyby również zdolność zwalczania rakiet balistycznych, podobnie jak krążowniki, z których zrezygnowano.

MILITARIUM STUDIO
US NAVY/BAE SYSTEMS

nika jednak, że będzie ona bliska tej, którą przewidywano dla wcześniejszego projektu – DD-21. W raporcie o programach budowy niszczycieli dla Kongresu oszacowano, że pełna wyporność DDG-1000 wyniesie 15 482 tony. Podobne rozbieżności w danych dotyczą długości okrętu. Różnice wynikają z tego, że projekt ten przez lata ewoluował i zmieniały się niektóre z jego parametrów.

Wstępnie dowództwo US Navy szacowało, że potrzebuje 32 niszczyciele nowej generacji (każdy z nich miał kosztować 3,3 miliarda dolarów). Liczbę tę zredukowano jednak najpierw do 24, później do 16, a następnie do siedmiu. Ze strony mary-

narki pojawiła się nawet sugestia, by skreślić ten projekt, a pieniądze przeznaczyć na kolejne, sprawdzone już niszczyciele typu Arleigh Burke (DDG-51). Politycy jednak nie zgodzili się na tak drastyczne posunięcie.

Według obecnych ustaleń mają powstać tylko trzy niszczyciele typu Zumwalt. Z uwzględnieniem środków wydanych na prace badawczo-rozwojowe trzy nowe amerykańskie niszczyciele mogą kosztować nawet ponad 22 miliardy dolarów. Oczywiście wpływ na cenę jednostkową ma gigantyczna, ponad 90-procentowa redukcja planowanych zamówień DDG-1000. Tym samym niszczyciele będą równie drogie jak lotniskowce. ■

bezpieczeństwo

IRAN



| B L I S K I W S C H Ó D |

P R E S T I Ż O W A BOMBA

Nigdy dotąd **nadzieje Zachodu** na porozumienie z Iranem nie były tak duże.



MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

**PREZYDENT ROUHANI MUSI
ZACHOWAĆ RÓWNOWAGĘ
MIĘDZY ŻĄDANIAM ZACHODU,
DOMAGAJĄCEGO SIĘ USTĘPSTW
NUKLEARNYCH I POSTĘPU
W KWESTII PRAW CZŁOWIEKA,
A OGRANICZENIAMI, KTÓRYM
PODLEGA W KRAJU**

UN/MILITARIUM STUDIO
➔

→ PRESTIŻOWA B O M B A

Nadzieje na dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu dotyczącego irańskiego programu nuklearnego związane są z wyborem nowego prezydenta Hassana Rouhaniego. Ma on opinię umiarkowanego reformatora i zdecydowanie odróżnia się od swego poprzednika, ultrakonserwatywnego Mahmuda Ahmadinejada, który szokował słowami o zmieceniu Izraela z powierzchni ziemi.

DYPLMACJA UŚMIECHÓW

Rouhani wygrał wybory między innymi dzięki obietnicom normalizacji stosunków z Zachodem. Zaproponował „nowe otwarcie” i zapowiedział, że porozumienie w sprawie irańskiego programu nuklearnego będzie gotowe w ciągu kilku miesięcy. Opinie analityków w tej sprawie są jednak rozbieżne. Optymiści uważają, że Rouhani może ożywić irańską scenę polityczną, a porozumienie z Zachodem osłabi fanatyków, zarówno po stronie konserwatystów, jak i reformatorów. Pesymiści natomiast są bardzo sceptyczni. Twierdzą, że są to nadzieje na wzrost, bo Rouhani nie jest reformatorem. Sprawował najwyższe stanowiska, także w armii i jednostkach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo narodowe. Przypominają ponadto, że wybory w Iranie trudno nazwać demokratycznymi, bo mogli w nich wystartować tylko kandydaci zaakceptowani przez ajatollaha Alego Chameneiego. Hassan Rouhani był jednym z nich. Nie jest on pierwszym irańskim prezydentem, z którym Zachód wiąże duże nadzieje. Już dziesięć lat temu o Mohammadzie Chatamim mówiono, że to irański Gorbaczow i nazywano go uśmiechniętym mułłą. Dlatego dziś wielu analityków zachowuje ostrożność w formułowaniu optymistycznych prognoz. Tym bardziej że Rouhani – mimo zapewnień o chęci do dialogu z Zachodem – od początku powtarza, że Teheran nie wyrzeknie się prawa, jakie daje mu traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (Nuclear Non-Proliferation Treaty, NPT) do rozwijania cywilnego programu nuklearnego. Podkreśla, że prawo Iranu, żeby wzbogacać uran, to „czerwona linia”, która nigdy nie zostanie przekroczona. I choć od wyborów minęło już kilka miesięcy, prezydent Hassan Rouhani tak naprawdę niewiele przez ten czas zrobił – udzielił kilku wywiadów, wystąpił na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, gdzie zadeklarował goto-

wość do rozmów. Prasa pisała wówczas o „dyplomacji uśmiechów”.

„Rouhani musi zachować równowagę między żądaniami Zachodu, domagającego się ustępstw nuklearnych i postępu w kwestii praw człowieka, a ograniczeniami, którym podlega w kraju”, ocenił „Time”. „Musi się tam liczyć ze starą gwardią zdecydowaną chronić rewolucję islamską, a jednocześnie starać się spełnić obietnice złożone młodemu blokowi reformistów, który wyniósł go do władzy”.

Rozmowy Grupy 5+1 (USA, Wielka Brytania, Francja, Rosja, Chiny oraz Niemcy) z Teheranem na temat irańskiego programu nuklearnego sięgają 2006 roku. Ich kolejna runda rozpoczęła się w październiku 2013 roku w Genewie. Nie są to łatwe dyskusje, ponieważ trudno o bardziej rozbieżne stanowiska stron. Zachód twierdzi, że Iran potajemnie prowadzi prace nad bronią jądrową, Teheran natomiast zaprzecza temu i utrzymuje, że jego program nuklearny ma charakter cywilny (raport Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej – MAEA z listopada 2011 roku sugeruje, że może on mieć militarne aspekty).

Na razie ze wszystkich stron dochodzą głosy optymizmu co do wyniku rozmów dyplomatów Grupy 5+1 z ministrem spraw zagranicznych Mohammadem Dżawadem Zarifem, który stoi na czele irańskiej delegacji. Wyraża je nie tylko prezydent Hassan Rouhani, lecz także najwyższy przywódca duchowo-polityczny Iranu ajatollah Ali Chamenei oraz Biały Dom.

8 października do Genewy przyjechał amerykański sekretarz stanu John Kerry (odroczył podróż do Algierii i Maroka), a wkrótce do zachodnich dyplomatów dołączył rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow. Przyjazd Kerry’ego oraz szefów dyplomacji Wielkiej Brytanii, Niemiec i Francji – Willama Hague’a, Guido Westerwellego i Laurenta Fabiusa – został odebrany jako sygnał, że blisko do kompromisu. „Porozumienie w sprawie irańskiego programu nuklearnego jest na stole i może zostać zawarte”, potwierdził po ostatniej rundzie negocjacji (7–9 listopada) szef brytyjskiej dyplomacji William Hague.

W Genewie nie doszło jeszcze do zawarcia kompromisu (zapowiedziano kolejną turę rozmów), gdy 11 listopada z Teheranu nadeszła dobra wiadomość. Podpisano porozumienie z Międzynarodową Agencją Energii Atomowej. Władze irańskie między



Długa ewolucja

Trzy pytania do profesor Anny Krasnowolskiej, iranistki na Uniwersytecie Jagiellońskim

Jakiego rezultatu rozmów prowadzonych w Genewie przez Iran i Grupę 5+1 spodziewa się Pani?

Jestem umiarkowaną optymistką, chociaż nie wierzę w szybką zmianę. Mam nadzieję, że stopniowo dojdzie

do kompromisu. Nie będzie on idealny dla żadnej ze stron, ale może pozwoli im wypracować w końcu jakiś sensowny model koegzystencji, o ile wystarczą wszystkim cierpliwości i dobrej woli.

Czy powinniśmy bać się irańskiej bomby atomowej?

Nie. Iran nie ma ambicji ekspansji w kierunku Zachodu. Chce być liczącą się potęgą w regionie. Program atomowy w dużej mierze jest atrybutem regionalnego prestiżu – podobnie jak w wypadku Pakistanu czy Izraela. Przypomnę, że obecny program atomowy jest kontynuacją polityki monarchii irańskiej – został zapoczątkowany jeszcze przez szacha. Ważną rolę odgrywa także wewnętrzna polityka, która polega na wzbudzaniu w społe-

WITOLD WASZCZYKOWSKI



Witold Waszczykowski był ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Iranie.

Iran jest zdeterminowany, aby zdobyć broń nuklearną. Irańczycy szcycą się siedmioma tysiącami lat udokumentowanej państwowości. Uważają, że z tego powodu należy się im pozycja równa wielkim mocarstwom. Dlatego trudno im zaakceptować to, że broń atomową ma Pakistan, państwo, które powstało zaledwie pół wieku temu. Przypomnę, że potęgę irańską zaczął budować szach poprzez sojusz z Amerykanami. Broń atomowa to przepustka do wielkiego świata. Irańczycy z niej nie zrezygnują, a Zachód nie ma instrumentu, aby ich powstrzymać. W tej kwestii rząd ma poparcie całego społeczeństwa. Wśród analityków trwa spór, czy powinniśmy się obawiać broni atomowej w rękach Iranu. Przeważają głosy, że Teheran to racjonalny partner, który potraktuje ją jako instrument odstraszania, i w ten sposób uniknie interwencji podobnej do tej, która miała miejsce w Iraku czy Libii. Znany politolog Kenneth Walsh uważa nawet, że Iran powinien posiadać broń atomową, bo zapewni ona równowagę w regionie. Jako przykład podaje wzajemne klinczowanie się USA i ZSRR w czasach zimnej wojny.

innymi zobowiązały się do tego, że w ciągu trzech miesięcy zapewnią inspektorom ONZ „kontrolowany dostęp” do kopalni uranu Gchine oraz do zakładu produkcji ciężkiej wody w miejscowości Arak.

Niewiele wiadomo na temat szczegółów negocjacji Grupy 5+1 z Teheranem. Iran chciałby szybkiego złagodzenia sankcji bankowych i naftowych. Tymczasem, jak donosił Reuters, mocarstwa zaproponowały dostęp do 50 miliardów dolarów środków zamrożonych za granicą i na wstępnym etapie porozumienia wykluczyły szersze złagodzenie sankcji. Dyskusje dotyczą także 40-megawatowego reaktora na ciężką wodę IR-40 w Araku, bo Zachód obawia się, że po uruchomieniu będzie on produkował pluton, który posłuży jako materiał rozszczepialny do bojowych ładunków jądrowych. Analitycy dopuszczają wzbogacanie uranu do 20 procent (dopiero 90-procentowy nadaje się do bomb atomowych), sugerują jednak ograniczenie liczby wirówek go wzbogacających oraz podpisanie dodatkowego protokołu do układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, który umożliwiłby niespodziewane inspekcje w irańskich obiektach nuklearnych.

Obu stronom zależy na kompromisie. Zachód chce uzyskać kontrolę nad irańskim programem atomowym, a Teheran dąży do zniesienia sankcji (eksport ropy to ponad połowa dochodów budżetu). Nie wszyscy jednak zgadzają się na takie ustępstwo wobec Iranu. Wielu amerykańskich senatorów jest temu przeciwnych, a niektórzy nalegają nawet na zaostrzenie sankcji. Przeciwnikiem porozumienia z Iranem pozostaje również premier Izraela Benjamin Netanjahu, który uważa, że Rouhani to wilk w owczej skórze. Jeśli jednak administracja USA nie wyjdzie naprzeciw pojedynczym gestom ze strony Rouhaniego,

osłabnie jego pozycja w Teheranie i może dojść do ponownego usztywnienia kursu wobec Zachodu.

POTĘGA W REGIONIE

Irańscy zwracają uwagę, że trudno spodziewać się gwałtownej zmiany kierunku rozwoju programu nuklearnego. Irańska scena polityczna jest dość skomplikowana. Uprawnienia prezydenta ograniczają się głównie do kompetencji administracyjnych i gospodarczych, a faktycznie liczą się nieformalne więzi. Kluczowe resorty są dublowane przez struktury religijne, niejako nadbudowane nad demokratycznymi strukturami władzy. Ostatnie słowo w każdej sprawie należy do lidera duchowego, ajatollaha Alego Chameneiego. Nie ma on jednak władzy absolutnej. Musi liczyć się z Radą Strażników i Zgromadzeniem Ekspertów.

„Washington Post” pisał, że wraz z osłabieniem historycznych wrogów Iranu, czyli Afganistanu i Iraku, oraz problemami wynikającymi z ostatnich zmian w świecie arabskim, irańscy konserwatyści uważają, że nastał czas, aby Islamska Republika Iranu przejęła rolę regionalnego lidera. Aby tak się stało, musi ona dysponować bronią atomową. Dlatego mimo wysyłania sygnałów ocieplenia stosunków ze światem zachodnim Iran nie zrezygnuje z programu atomowego.

Najważniejsze cele, które może jednak osiągnąć rząd Rouhaniego, to rozwój współpracy gospodarczej z Unią Europejską, konstruktywna współpraca z MAEA oraz umiejętne negocjacje w sprawie programu atomowego zakończone zawarciem porozumienia. Poza jego zasięgiem pozostają jednak nawiązanie stosunków dyplomatycznych z USA czy podjęcie dialogu z Izraelem. ■

czeństwie atmosfery strachu z powodu obecności Amerykanów wokół Iranu. Poczucie osaczenia umacnia w obywatelach przekonanie, że posiadanie bomby zapewni im bezpieczeństwo. Uważa tak nawet wielu Irańczyków, którzy nie popierają władzy.

Czy sankcje nałożone na Iran miałyby szkodzący wpływ na irańskie społeczeństwo?

Sankcje najmniej szkodzą władzy. Godzą w średniozamożną i najbiedniejszą część społeczeństwa. W Iranie narastają bezrobocie i inflacja. Niewie-

le się u nas mówi o licznie wybuchających strajkach pracowniczych w irańskich zakładach pracy. Wpływ na uelastycznienie stanowiska władzy może mieć stała oddolna presja społeczna, spowodowana niezadowoleniem z pogarszających się warunków życia. Niedawno Uniwersytet Jagielloński odwiedziła Szirin Ebadi, irańska obrończyni praw człowieka, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla, która ostrzegała przed przesadnym optymizmem wobec zmian w Iranie. Nowy prezydent jest członkiem duchownego

establishmentu, od którego aż tak bardzo mentalnie nie odbiega. Przy tym istotne decyzje polityczne w Iranie podejmuje nie on, lecz najwyższy przywódca religijny. Noblistka przypominała też, że każda poprawa sytuacji wewnętrznej, każde, choćby niewielkie poluzowanie śruby oznacza trwały krok do przodu w formowaniu się świadomości społecznej. W Iranie trudno liczyć na gwałtowną zmianę, raczej dokona się ona stopniowo, w długim procesie ewolucji. Żaden reżim nie jest wieczny. ■

PAWEŁ HENSKI

Doktryna wojny asymetrycznej to unikatowe połączenie zachodnich koncepcji wojskowych z irańskimi doświadczeniami, które ma dać reżimowi irańskiemu zwycięstwo w konflikcie z przeciwnikiem mającym przewagę technologiczną.

WALKA Z GOLIATEM

Termin „wojna asymetryczna” obejmuje szerokie pole działań. W kontekście irańskiej myśli strategicznej jest to użycie konwencjonalnego uzbrojenia w niekonwencjonalny sposób, maksymalne wykorzystanie sprzyjających warunków geograficznych, tak zwana obrona pasywna, decentralizacja działań (obrona mozaikowa), autonomia dowodzenia, destabilizacja ekonomiczna i polityczna, działania terrorystyczne oraz wojna propagandowa. Podstawą irańskiej doktryny wojskowej jest oparta na szyizmie ideologia religijno-państwowa, podkreślająca gorliwość i poświęcenie w wykonywaniu zadań (męczennictwo) oraz oddanie się rewolucji islamskiej i jej szerzenie.

Podstawy irańskiej doktryny wojskowej zaczęły kształtować się podczas długiej i wyniszczającej wojny z Irakiem w latach 1980–1988. Pojęcia takie, jak „samowystarczalność”, „święta obrona” czy „eksport rewolucji” weszły wówczas na stałe do terminologii wojskowej. Idee te połączono z przedrewolucyjną doktryną wojskową, na którą duży wpływ miały Stany Zjednoczone. Dało to unikatową hybrydę wyróżniającą pod tym względem Iran od krajów arabskich, w większości będących wówczas pod wpływem sowieckim.

Wydawało się, że osłabiony przez islamską rewolucję Iran nie miał większych szans w konfrontacji z Irakiem. W armii zostały przeprowadzone czystki, a nowa władza przejawiała

W 2005 ROKU IRAN OGŁOSIŁ WPROWADZENIE PLANU TAK ZWANEJ OBRONY MOZAIKOWEJ

M E H R

dużą nieufność wobec sił zbrojnych. Utworzono więc oddzielne paramilitarne oraz regularne jednostki Armii Strażników Rewolucji Islamskiej (Sepah-e Pasdaran-e Enghelab-e Islami) oraz powołano oddziały ochotniczej milicji (Basidż). Siły te odegrały znaczącą rolę w obronie kraju – ratowały sytuację na froncie tam, gdzie zawodziły jednostki regularnej armii (Artesz). Z czasem oddziały strażników rewolucji oraz basidżów stały się przeciwwagą dla armii i kluczowym komponentem irańskich sił zbrojnych.

Jednym z etapów konfliktu irańsko-irackiego była tak zwana wojna tankowców, w której obie strony zwalczały cywilną żeglugę wspierającą wysiłek wojenny przeciwnika (eksport

ropy, import broni). Celem wzajemnych ataków stały się również platformy wiertnicze i urządzenia portowe. Iran rozpoczął wówczas działania na kształt wojny partyzanckiej na morzu, w której oprócz tradycyjnego lotnictwa, okrętów i operujących w tak zwanych rojach szybkich łodzi patrolowych używał min morskich oraz wyrzucanych z łądu rakiet przeciwokrętowych.

Kolejnym wydarzeniem mającym wpływ na irańską doktrynę wojskową była konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi. W 1988 roku, gdy amerykańska korweta została poważnie uszkodzona po wplynięciu na irańską minę, w odpowiedzi Amerykanie rozpoczęli operację „Praying Mantis”. Marynarka →



irańska postanowiła wówczas stawić im czoła w otwartej konfrontacji. Zakończyło się to dla niej katastrofą, ponieważ US Navy uszkodziła ich korwetę, zatopiła kolejną i okręt patrolowy oraz zniszczyła dwie platformy wiertnicze. Porażka ta utwierdziła Irańczyków w przekonaniu, że w starciu z wrogiem mającym przewagę technologiczną jedynym wyjściem jest zastosowanie działań asymetrycznych. Zakładały one unikanie otwartej konfrontacji, a zamiast niej skupienie się na zaskoczeniu przeciwnika, atakowaniu tylko w dogodnym dla siebie miejscu i czasie oraz nękaniu go po to, by zmusić do wycofania. Początkowo działania asymetryczne postrzegano jako kluczowe dla operacji morskich, z czasem jednak stały się one podstawą doktryny wojskowej obejmującej całość działań wojennych.

NA LĄDZIE

W 2005 roku Iran ogłosił wprowadzenie planu tak zwanej obrony mozaikowej. Rozproszono wówczas system dowodzenia, dzieląc go na 31 oddzielnych dowództw – jedno dla Teheranu i po jednym dla każdej z trzydziestu prowincji Iranu. Każde dowództwo może samodzielnie prowadzić walki. Zdecentralizowanie i uelastycznienie obrony było wynikiem doświadczeń wyniesionych z inwazji na Irak w 2003 roku. Obecnie trudno będzie jednym zamachem sparaliżować irański system dowodzenia.

Jednostki regularnej armii (pancerne, zmechanizowane i piechoty) rozlokowane są wzdłuż granic z Irakiem, Turcją i Pakistanem, ponieważ z tych kierunków może nadejść inwazja lądowa. W razie ataku przyjęłyby one pierwszy impet uderzenia. Gdyby jednak Iran zmierzył się z przeciwnikiem dysponującym przewagą technologiczną, jednostki regularne mogłyby jego ofensywę jedynie spowolnić.

Plan obrony mozaikowej zakłada wciąganie przeciwnika w głąb kraju, gdzie jego siły spotkałyby się z rosnącym oporem. Główny ciężar walk mają wówczas przejąć oddziały regularne i nieregularne strażników rewolucji oraz basidżów, czyli milicji i pospolitego ruszenia. W wypadku konfrontacji użyłyby one wszystkich dostępnych metod, takich jak podkładanie min i ładunków improwizowanych, wciąganie przeciwnika w przewlekłe i krwawe walki miejskie (tak jak robił to Hezbollah z wojskami izraelskimi w Libanie), walki partyzanckie czy nawet prowadzenie ataków samobójczych przy pomocy całych oddziałów. Strażnicy rewolucji mają wiele jednostek przygotowanych do prowadzenia działań specjalnych oraz walki nieregularnej.

NA MORZU

Tradycyjną obroną irańskiego wybrzeża i wód terytorialnych zajmuje się regularna irańska marynarka wojenna. Na prowadzeniu wszelkiego rodzaju działań nieregularnych skupia się oddzielna marynarka wojenna strażników rewolucji. Podstawowym atutem, który może wykorzystać Iran, jest ukształtowanie Zatoki Perskiej z jej wąskim wejściem – cieśniną Ormuz (między zatokami Perską a Omańską). W razie jakiegokolwiek konfliktu Iran mógłby pokusić się o zablokowanie cieśniny lub zwalczanie żeglugi na wodach obydwu zatok. Byłyby to z pewnością takie działania, jak minowanie, wystrzeliwanie rakiet przeciwokrętowych ze stałego lądu lub z wysp, ataki prowadzone przez szybkie łodzie patrolowe z użyciem rakiet czy nawet ataki samobójcze – łodziami wypełnionymi materiałami wybuchowymi oraz uderzenia miniaturowych okrętów podwodnych.

Na wielu wysepkach w Zatoce Perskiej i cieśninie Ormuz Iran zbudował ufortyfikowane bazy, z których może prowadzić operacje zaczepne. Opracował metodę przerzucania ciężarówkami wzdłuż brzegu łodzi patrolowych, które w dogodnym momencie i miejscu można zwodować, aby przeprowadzić błyskawiczny atak.

Marynarka strażników rewolucji ma do dyspozycji około 1500 łodzi torpedowych, raketowych, patrolowych i szybkich oraz całą gamę rakiet przeciwokrętowych opartych na chińskich konstrukcjach, w tym naddźwiękowe typu C-101. Ich zasięg wynosi od 15 do 200 kilometrów, co pozwala na atakowanie celów na wodach całej Zatoki Perskiej. Część rakiet (na przykład Noor) montowana jest na cywilnych samochodach. Iran opracował również przeciwokrętową rakietę balistyczną Khalij Fars o zasięgu 300 kilometrów.

W POWIETRZU

Irańskie siły powietrzne mają w swoim arsenale głównie wysłużone samoloty jeszcze z czasów panowania szacha, takie jak amerykańskie F-4, F-14A czy F-5E, rosyjskie MiG-29 oraz chińskie J-7 (wersja MiG-21). Ze względu na wieloletnie embargo ogromnym problemem jest dostęp do części zamiennych, więc Iran próbuje zdobyć je na czarnym rynku. Rozpoczął również produkcję kopii myśliwca F-5 pod nazwą Azarakhsh.

W doktrynie wojny nieregularnej lotnictwo postrzegane jest jako najsłabsze ogniwo. Iran ma świadomość, że gdyby przyszło mu zmierzyć się z tak potężną koalicją, z jaką musiał walczyć Irak, jego lotnictwo nie przetrwałoby zbyt długo. W takim wypadku próbowano by z pewnością rozproszyć samoloty na lotniskach polowych lub je ukryć. Ponadto irańscy piloci szkoleni są tak, aby maksymalnie wykorzystać nawet słabsze możliwości swoich samolotów. Kluczem jest tutaj jak najdłuższe pozostawanie w ukryciu (loty na niskim pułapie, wykorzystywanie rzeźby terenu), aby móc zaatakować przeciwnika z zaskoczenia.

Iran nie ma zintegrowanej obrony powietrznej ani radarów, które zasięgiem pokrywałyby cały kraj. Postawił za to na utworzenie obrony punktowej najważniejszych strategicznie obszarów. W 2009 roku powstały oddzielne wojska obrony powietrznej skupiające zarówno jednostki regularne, jak i strażników rewolucji. Restrukturyzacja miała na celu usprawnienie i uelastycznienie obrony przeciwlotniczej. Szczególnie chodzi o ochronę obiektów związanych z irańskim programem atomowym. Iran ma raketowe systemy przeciwlotnicze głównie krótkiego i średniego zasięgu produkcji rosyjskiej (S-200, Pantsir-S1, 9K331 Tor-M1) lub rodzimej (Raad, Ya Zahra). W działaniach asymetrycznych najgroźniejszą bronią byłyby przenośne przeciwlotnicze zestawy



IRAN PODKREŚLA, ŻE JEGO DOKTRYNA WOJSKOWA MA CHARAKTER CZYSTO OBRONNY.

Irańska doktryna zakłada, że w przyszłych konfliktach słabsza strona będzie w stanie przetrwać konflikt z bardziej zaawansowanym technologicznie przeciwnikiem dzięki działaniom asymetrycznym. Prowadzone jednocześnie działania militarne, terrorystyczne, ekonomiczne i polityczne mają przekonać przeciwnika, że nie osiągnie on zamierzonych celów lub że ich osiągnięcie będzie zbyt kosztowne. Najważniejsze jest więc nie tyle pokonanie militarne wroga, ile raczej zniszczenie jego woli dalszego prowadzenia walki.

rakietowe (szwedzki RBS 70, rosyjskie 9K32/9K38 i irański Misagh-2), których Iran może mieć ponad tysiąc. Byłaby to podstawowa broń oddziałów strażników i basidżów do walki ze śmigłowcami i samolotami agresora.

SILA RAKIET

Użycie przez Irak rakiet balistycznych Scud przeciwko irańskim centróm przemysłowym i miastom zainicjowało rozpoczęcie w Iranie programu raketowego. Pierwsze takie rakiety Iran zdobył w 1985 roku z Libii, a kolejne z Korei Północnej. Od początku trafiły one do jednostek strażników rewolucji, a dziś znajdują się w wyposażeniu sił powietrzno-kosmicznych strażników rewolucji. Formacja ta ma pod swoją pieczęć również cały irański program raketowy.

Iran ma dziś największy arsenał rakiet balistycznych w regionie. Dysponuje głównie tymi krótkiego zasięgu (150–500 kilometrów) napędzanymi zarówno paliwem ciekłym, jak i stałym – Fateh-110, Shahab-1, Shahab-2, CSS-8, Qiam-1. Do rakiet średniego zasięgu należą napędzane paliwem ciekłym Shahab-3 (2000 kilometrów) oraz napędzane paliwem stałym: Ashura (2000 kilometrów) oraz Sejil (2000–2500 kilometrów).

W lutym 2009 roku Iran po raz pierwszy wystrzelił dwuczłonową orbitalną rakietę nośną (SLV) Safir, a rok później zdemontował znacznie większą SLV, nazwaną Simoragh. Obie konstrukcje mogą stać się podstawą do budowy przyszłej irańskiej międzykontynentalnej rakiety balistycznej (ICBM). We wrześniu 2012 roku Iran ogłosił plan wprowadzenia do uzbrojenia również rakiet typu cruise – Meshkat o zasięgu około 2000 kilometrów, które będą mogły być wystrzeliwane z lądu, powietrza i morza.

Rakiety balistyczne postrzegane są jako bardzo ważny czynnik odstraszający oraz komponent działań zaczepno-obronnych. Ich skuteczność jest jednak ograniczona do dużych celów. W sytuacji konfliktowej Iran może użyć ich przeciwko

miastom, portom, platformom wiertniczym, rafineriom, rurociągom oraz bazom wojskowym przeciwnika. Rakiety Cruise natomiast mogą zostać użyte do bardziej precyzyjnych ataków na oddziały wroga. Siły powietrzno-kosmiczne strażników rewolucji mają również samoloty bezzałogowe o zasięgu od 150 do 2000 kilometrów, a UAV takie jak Karrar czy Fotros mogą przenosić uzbrojenie.

OPERACJE SPECJALNE INACZEJ

Najbardziej tajemniczą jednostką strażników rewolucji jest tak zwany oddział Al-Kuds (oddział Jerozolima). Może liczyć od dwóch do 20 tysięcy żołnierzy. Jego zadaniem jest szerzenie rewolucji islamskiej i prowadzenie działań poza granicami kraju.

Al-Kuds to wyspecjalizowana jednostka zajmująca się nie tylko szkoleniem, finansowaniem, uzbrajaniem różnych islamskich bojówek i organizacji terrorystycznych (nie zawsze szyickich), lecz także szpiegostwem, wywiadem i przemytem. Agenci oddziału działają przy wielu irańskich ambasadach, instytucjach charytatywnych, religijnych i kulturalnych na całym świecie. Utrzymują społeczno-ekonomiczne stosunki z szyicką diasporą. Al-Kuds zbroją i szkolą Hezbollah, Hamas oraz Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny – Dowództwo Generalne. W Iraku wspierają różne szyckie organizacje terrorystyczne. Działają również na terenie Afganistanu oraz w Syrii. Uznaje się, że jest to najaktywniejsza i najbardziej destabilizująca sytuację na Bliskim Wschodzie organizacja irańska.

W razie jakiegokolwiek konfliktu Iran może użyć oddziału Al-Kuds do zainicjowania ataków terrorystycznych wymierzonych w kraj agresora, jego sojuszników, placówki zagraniczne, samoloty, statki, bazy czy wojska. Mógłby on również próbować, przy pomocy różnych organizacji i bojówek, destabilizować cały region Bliskiego Wschodu, aby w ten sposób wywrzeć presję na przeciwniku. ■

DEPARTAMENT WYCHOWANIA I PROMOCJI OBRONNOŚCI MON

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



6 grudnia 2013 r.

- 13.00** Otwarcie sesji. Powitanie gości i uczestników – płk Marek LISOWSKI – szef Oddziału Kultury i Oświaty Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON, dr Jan TARCZYŃSKI – dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
- 13.45–15.00** Rozstrzygnięcie konkursu literackiego. Ogłoszenie wyników, wręczenie nagród i wyróżnień oraz dyplomów – płk Jerzy GUTOWSKI – dyrektor Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON, Marek WAWRZKIEWICZ – przewodniczący jury, prezes Związku Literatów Polskich
- 16.00–18.00** Wykłady jury konkursu literackiego:
- Marek WAWRZKIEWICZ, *Poezja jako kamuflaż*
 - Ryszard ULICKI, *Pisarstwo – sztuka rzeźbienia w kamieniu słowa*
 - Wacław SADKOWSKI, *Przekład jako twórczość literacka*
- 19.30–20.30** Program słowno-muzyczny – prezentacja nagrodzonych utworów w wykonaniu Aldony Jankowskiej i Roberta Zapory

7 grudnia 2013 r.

- 9.00–11.30** Warsztaty literackie: Marek WAWRZKIEWICZ, Ryszard ULICKI, Wacław SADKOWSKI:
- spotkania indywidualne uczestników sesji z członkami jury konkursu
 - analiza tekstów nadesłanych na konkurs
- 11.30–12.00** Podsumowanie i zakończenie sesji – Jadwiga CHŁOPECKA – szef Wydziału Kultury Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON



Okręt japońskiej straży przybrzeżnej przepływa obok Uotsuri – największej z wysp archipelagu Senkaku.

JAPAN COAST GUARD

Archipelag niezgody

Czy spór o niewielkie bezludne wyspy na Morzu Wschodniochińskim przerodzi się w konflikt zbrojny między mocarstwami?

ADAM GWIAZDA

Japonia w 2012 roku znacznie zwiększyła wydatki wojskowe – do ponad 59 miliardów dolarów. Był to pierwszy od 11 lat tak duży wzrost środków przeznaczonych na rozbudowę Japońskich Sił Samoobrony, które stają się jedną z lepiej uzbrojonych armii w Azji Wschodniej i na Pacyfiku. Odbywa to się za wiedzą Stanów Zjednoczonych, które nie potrafią już zapewnić bezpieczeństwa swoim sojusznikom w tym regionie. Władze w Tokio uważają więc, że należy doprowadzić do zmiany konstytucji i rozbudować armię w taki sposób, aby nie tylko mogła skutecznie odeprzeć atak skierowany na terytorium swojego kraju, lecz także była w stanie udzielić pomocy sojusznikom.

GRA NERWÓW

W samej Japonii nie ma jednak zgodności poglądów w kwestii przekształcenia sił samoobrony w najbardziej no-

woczesną armię świata. Przeciwnicy tej koncepcji twierdzą, że zwiększenie nakładów na wojsko spowoduje ograniczenie inwestycji na cele gospodarcze i socjalne oraz przyczyni się do wzrostu napięcia w stosunkach z Chinami, Koreą Południową i Rosją. Jej zwolennicy natomiast wskazują na rosnące zagrożenie ze strony Chin i malejące możliwości skutecznej obrony Japonii przez sojusznika, czyli przez Stany Zjednoczone.

Zagrożenie przejawia się chociażby w coraz częstszych przypadkach naruszenia japońskiej przestrzeni powietrznej i wód terytorialnych przez chińskie samoloty i okręty. Tylko od kwietnia do czerwca 2013 roku siły powietrzne Japonii musiały interweniować 69 razy, aby „zachęcić” chińskie samoloty do zmiany kursu. W analogicznym okresie w 2012 roku takich przypadków było 15. A we wrześniu 2013 roku Japońskie Siły Samoobrony kilkakrotnie musiały interwenio-



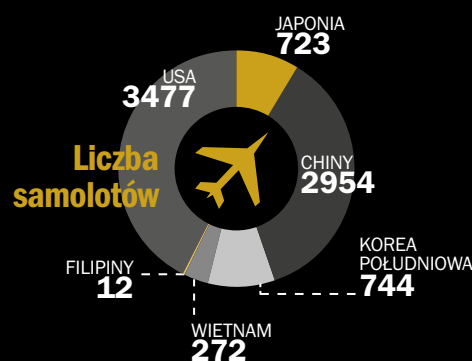
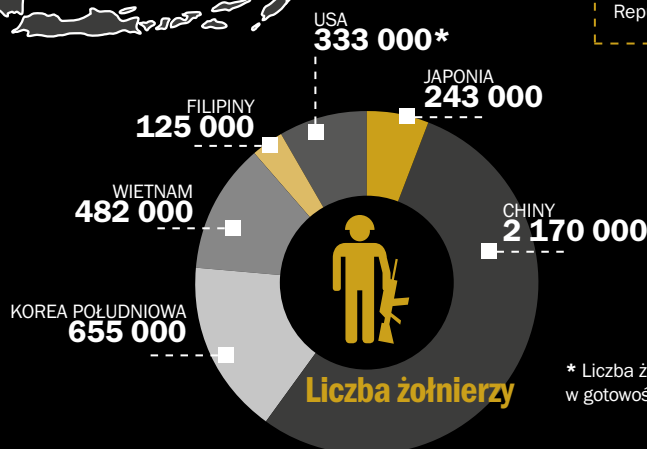


Senkaku czy Diaoyutai?

Przedmiotem sporu japońsko-chińskiego jest siedem niewielkich wysp o obszarze niepełna siedmiu kilometrów kwadratowych.

Wszystkie są niezamieszkane i oddlegle blisko dwa tysiące kilometrów od Japonii. Wyspy te odkryto na przełomie XV i XVI wieku i od tego czasu do 1895 roku znajdowały się one pod jurysdykcją chińską. Po przegranej wojnie z Japonią, na mocy traktatu z Shimonoseki z 1895 roku, zostały przekazane łącznie z Tajwanem i Pescadorami na rzecz Japonii. Z kolei po II wojnie światowej, na mocy ustaleń aliantów z Kairu w 1943 roku i Poczdamu w 1945 roku, Japonia straciła na rzecz Chin Tajwan i okoliczne wyspy (bez ścisłego określenia, o które chodzi). W 1949 roku Tajwan „oderwał” się od Chińskiej Republiki Ludowej i powstała tam

Republika Chińska. Wyspy Senkaku znalazły się zaś w strefie wpływów USA. W 1972 roku Amerykanie zwrócili Japonii okupowaną Okinawę i wyspy Senkaku, do których roszczą sobie prawa zarówno Chiny, jak i władze Tajwanu. Rząd Japonii argumentuje jednak, że tereny te stanowią integralną część archipelagu Riukiu i nigdy nie zostały skolonizowane. Władze w Pekinie nie zgadzają się z tą argumentacją i powołują się ciągle na ustalenia aliantów z Poczdamu. Po normalizacji stosunków w 1972 roku pomiędzy ChRL i Japonią rządy obu tych państw odsunęły spór „do rozwiązania przez przyszłe pokolenia”. Odkrycie na wodach przylegających do tych wysp złóż ropy naftowej i gazu spowodowało, że władze Chin postanowiły podjąć próbę odzyskania archipelagu.



W labiryncie interesów

Od dawna trwa też spór Chin z Japonią o bardzo niewielki i ledwie wystający z wody **atol Okinotorishima**, japońską wysepkę wysuniętą najdalej na południe. Jedyne praktyczne jej znaczenie polega na

tym, że umieszczono tam stację ostrzegającą przed tsunami, ale dzięki uznaniu tego obszaru za należący do Japonii państwo to może potraktować dodatkowe 150 tysięcy mil kwadratowych morza za swo-

ją strefę ekonomiczną. Nie podoba to się Chinom, których kutry nie mogą swobodnie łowić ryb wokół wyspy.

Od wielu lat trwa także spór Chin z Wietnamem o **Wyspy Paracel-**

skie. Prawo do nich rości sobie także Tajwan. Ten archipelag, liczący około 30 wysepek, zajęły w 1974 roku Chiny po wygranej bitwie z Wietnamczykami. Od tego czasu tereny te znajdują się pod chińską

wać, aby skłonić chińską flotyllę okrętów ochrony wybrzeża do odpłynięcia poza zasięg strefy ekonomicznej wokół wysp Senkaku. Takie incydenty przemawiają za szybką rozbudową armii. Ponadto Japonia chce zdobyć sojuszników w potencjalnym konflikcie z Chinami. Ostatnio wzmocniła współpracę z Indiami i Birmą oraz zabiega o przychylność Filipin, Indonezji i Malesji.

Rząd premiera Shinzō Abego stara się przekształcić Japońskie Siły Samoobrony w Kolektywne Siły Samoobrony. Chce, żeby japońscy żołnierze mogli dysponować bronią ofensywną i brać udział w manewrach razem ze swoimi so-

jusznikami nie tylko na terytorium Japonii. Dlatego obecne władze starają się doprowadzić do zmiany interpretacji artykułu 9 konstytucji, zakazującego Japonii posiadania broni ofensywnej. Na zmianę konstytucji potrzeba jednak co najmniej pięciu lat. Dlatego rząd Abego stara się obejść zapisy tego artykułu i coraz więcej środków przeznacza na nowoczesny sprzęt wojskowy.

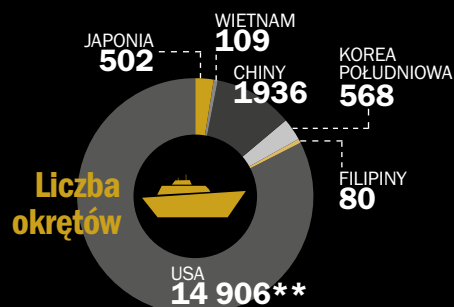
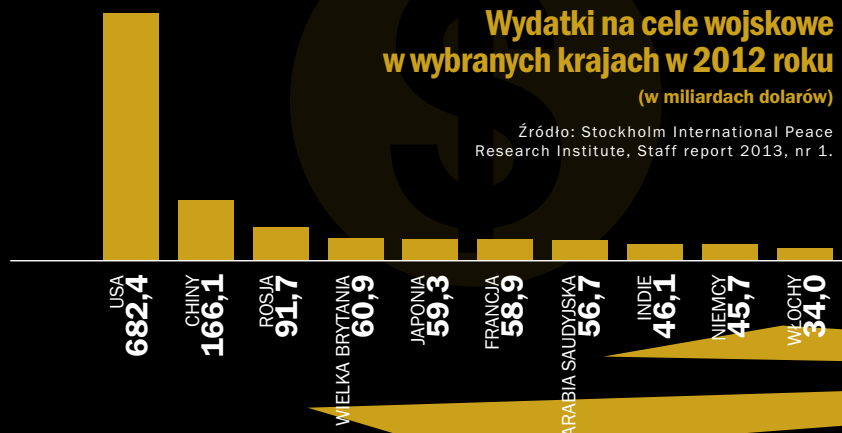
Latem 2013 roku japońskie ministerstwo obrony pokazało największy zbudowany po wojnie w Japonii okręt „Izumo”, który wyglądem przypomina lotniskowiec. Ponadto ujawniono plany uformowania korpusu piechoty morskiej wyposażo-

Japońskie siły samoobronny stają się jedną z lepiej uzbrojonych armii w regionie Azji Wschodniej i Pacyfiku

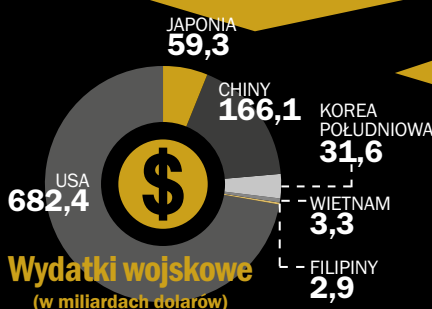
Wydatki na cele wojskowe w wybranych krajach w 2012 roku

(w miliardach dolarów)

Źródło: Stockholm International Peace Research Institute, Staff report 2013, nr 1.



** wszystkie okręty US Navy



Źródło: SIPRI, dane japońskiego ministerstwa obrony, Banku Światowego i Center for Strategic and International Studies

jurysdykcją, ale Wietnam nigdy nie uznał zwierzchnictwa Pekinu nad archipelagiem. Pewnym paradoksem jest to, że w wypadku niektórych Wysp Paracelskich władze Państwa Środka uważają za swoją

obszar nawet wysepki czasowo zaletowane przez morskie fale, choć w sporze o **Okinotorishime** same podnoszą argument, że taki ląd nie może być podstawą do wyznaczenia strefy ekonomicznej Japo-

nii. Labiryntem interesów aż sześciu państw jest z kolei **archipelag Spratly** na Morzu Południowochińskim. Ten zbiór aż 30 tysięcy raf i skał rozrzuconych na obszarze

wierzchnię czterech kilometrów kwadratowych. Na kilkunastu większych skrawkach swoje posterunki umieściły Chiny, Tajwan, Wietnam, Malesja i Filipiny, a pretensje do części obszaru zgłasza także Brunei. ■

nego w szybkie amfibie i łodzie motorowe, a także podjęto działania zmierzające do zakupu dronów.

SPORNE WYSPY

Chińczycy z dużą irytacją obserwują rozbudowę Japońskich Sił Samoobronny, tym bardziej że Tokio zastrzyżyło środki bezpieczeństwa wokół wysp Senkaku (zgodnie z chińskim nazewnictwem – Diaoyutai), które oni uważają za część swojego terytorium. Japończycy, którzy z kolei uznają je za swoją własność, podjęli takie działania po 10 września 2013 roku, kiedy osiem chińskich kutrów patrolowych wpłynęło na wody okalające

wyspy. Rząd Japonii wysłał w ten rejon kilka myśliwców i oświadczył, że wkrótce na pięć największych wysp tego niewielkiego archipelagu wyśle swoich urzędników. Ta ostatnia wypowiedź spotkała się z ostrą reakcją władz Chin, które uznały ją za prowokację.

Zaostrzenie sporu o archipelag Senkaku nastąpiło w połowie kwietnia 2012 roku, kiedy znany z nacjonalistycznych wypowiedzi gubernator prefektury Tokio Ishihara Shintaro zaapelował do władz w Tokio, aby wykupiły te wyspy od prywatnych inwestorów. Reprezentujący ich Kumioka Kurikara żądał za nie aż 500 milionów dolarów, ale ostatecznie władze prefektury →

WYSIŁKI ZMIERZAJĄCE DO UDOWODNIENIA JAPOŃSKOŚCI SENKAKU CZY CHIŃSKOŚCI DIAOYUTAI SĄ NICZYM INNYM JAK PRÓBĄ ROZCIĄGNIĘCIA WSPÓŁCZESNYCH IDEI PAŃSTWA NARODOWEGO NA MINIONE STULECIA

Tokio kupiły je 10 września 2012 roku za 22 miliony dolarów i od razu podarowały rządowi Japonii (nie mógł on z powodów prawnych kupić tych wysp bezpośrednio od prywatnych właścicieli). Transakcja ta doprowadziła do ochłodzenia stosunków politycznych między obu państwami. W Chinach doszło nawet do protestów przeciwko obecności w tym kraju firm japońskich. Demonstracje nie spowodowały jednak załamania się współpracy gospodarczej pomiędzy tymi największymi, po Stanach Zjednoczonych, gospodarkami światowymi.

STREFY WPLYWÓW

Przez całe stulecia bezludne wyspy archipelagu Senkaku, o łącznej powierzchni zaledwie siedmiu kilometrów kwadratowych, nie były nikomu potrzebne. Przyłączenie ich do Japonii w 1895 roku nie wywołało żadnej reakcji ze strony Chin i innych państw azjatyckich. W Japonii aż do początku lat siedemdziesiątych XX wieku o istnieniu Senkaku mało kto wiedział. Dopiero odkrycie w okolicach zasobów ropy naftowej i gazu ziemnego zwiększyło zainteresowanie archipelagiem władz zarówno Chin i Japonii, jak i Tajwanu.

Do połowy lat dziewięćdziesiątych nie odnotowano jednak poważniejszych incydentów na tym spornym archipelagu. Dopiero w 1996 roku, gdy grupa Japończyków postawiła latarnię morską na jednej z wysp, w rewanżu przyplłynęła na nią grupa mieszkańców Hongkongu, aby podkreślić chiński charakter tego miejsca. Odtąd coraz częściej dochodziło do tego rodzaju akcji. W 2004 roku Japończycy aresztowali siedmiu Chińczyków, którzy wylądowali na Uotsurijimie – głównej wyspie archipelagu, a rok później 50 tajwańskich kutrów znalazło się w jego pobliżu, żeby zmanifestować swój sprzeciw wobec rządów Tokio. We wrześniu 2010 roku zaś chiński trawler zderzył się z japońskim patrolowcem, a jego załoga została zatrzymana, co wywołało zamieszki w Chinach. W konsekwencji ograniczono japońską prezentację na światowej wystawie Expo, która odbywała się w Szanghaju. Ostatnie miesiące również obfitowały w podobne incydenty. W maju 2013 roku chińskie okręty podwodne za bardzo zbliżyły się do wód terytorialnych Japonii u wybrzeży Okinawy, a w połowie sierpnia chińska marynarka wojenna przeprowadziła niedaleko wysp Senkaku kilkudniowe manewry z użyciem ostrej amunicji.

PRZEDE WSZYSTKIM INTERESY

Chociaż władze Japonii i Chin szybko starały się wyciszyć ten spór, nie można wykluczyć ponownego nasilenia się konfliktu o archipelag Senkaku lub inne sporne wyspy położone na Morzu Południowochińskim. Chiny bowiem pretendują do roli już nie tyle regionalnego, ile światowego mocarstwa i rzucają wyzwanie oprócz Japonii także Stanom Zjednoczonym, które

od 1951 roku zobowiązały się do utrzymania pokoju w Cieśninie Tajwańskiej.

Władze Chin zakładają, że Amerykanie, którzy prawnie są zobligowani do militarnej pomocy Japonii w razie wojny, uczynią wszystko, by jej uniknąć. Można tak wnioskować na podstawie braku stanowczej odpowiedzi ze strony administracji Baracka Obamy na takie „zaczepekki” Chin jak incydenty na Senkaku. Władze w Pekinie na razie nie dążą do eskalacji konfliktu. Wprawdzie we wrześniu 2013 roku wysłały w rejon tych wysp statki patrolowe, ale nie były to okręty chińskiej marynarki wojennej, lecz jednej z agend podlegających ministerstwu zasobów naturalnych. Ta dość umiarkowana reakcja wynika z tego, że oba kraje są od siebie mocno uzależnione gospodarczo.

Chiny już przestały być najtańszym producentem na świecie i zdają sobie sprawę z tego, że w ich sąsiedztwie są kraje, które mogą przejąć sporo japońskich inwestycji. Nie podejmują więc na razie próby militarnego odbicia spornych wysp, ponieważ nie chcą zrażać do siebie potencjalnych sprzymierzeńców nieprzemysłowymi akcjami zbrojnymi. Władze Chin upatrują bowiem swojej szansy w pasywnej postawie administracji USA wobec sojuszników w tym regionie. Zakładają, że ci poczują się opuszczeni przez Amerykanów i tym samym będą mogli się znaleźć w sferze wpływów Państwa Środka. Tyle że nie tylko Japonia, lecz także pozostałe kraje azjatyckie z niepokojem obserwują szybką rozbudowę potencjału militarnego Chin. Budżet obronny tego kraju wynosił w 2002 roku tylko 20 miliardów dolarów, a w 2012 roku już ponad 166 miliardów. Żadne państwo na świecie nie zwiększyło w ciągu ostatnich 12 lat wydatków na cele wojskowe w takim stopniu jak Chiny.

Nie można więc wykluczyć ofensywnego użycia chińskich sił zbrojnych w mniej lub bardziej odległej przyszłości w celu opanowania Tajwanu czy przyłączenia do Chin spornych wysp.

Ten konflikt będzie bardzo trudny do rozwiązania. Zarówno Chiny, jak i Japonia nie mają dobrze uzasadnionych, historycznych praw do wysp. Wysiłki zmierzające do udowodnienia japońskości Senkaku czy chińskości Diaoyutai są niczym innym jak próbą rozciągnięcia współczesnych idei państwa narodowego na minione stulecia, szczególnie na XV–XVII wiek, kiedy posługiwano się innymi koncepcjami państwa.

Nasilenie sporu o archipelag nie rokuje utrzymania pokoju i stabilności w tym regionie. Ani Japonia, ani Chiny nie zaproponowały do tej pory żadnej kompromisowej propozycji rozwiązania tego problemu. Wręcz przeciwnie, Japonia zaostrza środki bezpieczeństwa wokół wysp, co może stać się przyczyną poważniejszego konfliktu z Chinami i w całym regionie Azji Wschodniej. ■

PROFESOR DOKTOR HABILITOWANY ADAM
GWIAZDA, EKONOMISTA I POLITOLOG, JEST
PRACOWNIKIEM NAUKOWYM UNIwersYTETU
KAZIMIERZA WIELKIEGO W BYDGOSZCZY.

ZAJMUJE SIĘ PROBLEMATYKĄ
MIĘDZYNARODOWYCH STOSUNKÓW
POLITYCZNYCH I GOSPODARCZYCH, POLITYKĄ
ZAGRANICZNĄ I BEZPIECZEŃSTWA USA, CHIN,
JAPONII, ROSJI I INDII ORAZ „NOWYMI”
WOJNAMI O ZASOBY SUROWCÓW, SŁODKIEJ
WODY I ŻYWNOŚCI.



Ciepłych
i pełnych radosnej nadziei
świąt
Narodzenia Pańskiego

życzy
zespół targów



MSPO 2014

XXII Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego

www.mspo.pl

**wojny
i pokoje**

XX WIEK

| II WOJNA ŚWIATOWA |

MANEWRY WOJENNE

Największy amant przedwojennej Polski
w czasie wojny walczył pod Monte Cassino.

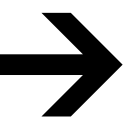


ANNA DĄBROWSKA

W KARIERZE
POMAGAŁY
MU **URODA**
AMANTA
I ZNAKOMITY
GŁOS

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE





MANEWRY WOJENNE

Aleksander Żabczyński, jeden z najpopularniejszych polskich aktorów dwudziestolecia międzywojennego, chciał zostać wojskowym, a nie artystą. Jego ojciec, Aleksander Daniel Żabczyński, był pułkownikiem armii rosyjskiej, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości – generałem dywizji polskiego wojska. Służył między innymi w carskim Lejb-Gwardyjskim Sankt-Petersburskim Pułku, a od 1918 roku w I Korpusie Polskim w Rosji. W czasie Bitwy Warszawskiej jako zastępca gubernatora miasta organizował wojskowe przeprawy przez Wisłę.

MUNDUR CZY KOSTIUM?

Młody Aleksander postanowił kontynuować rodzinne tradycje. Po maturze rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Artylerii w Poznaniu. Uczelnię ukończył z wyróżnieniem i trafił do Dywizjonu Szkolnego Artylerii Zenitowej w Warszawie. W marcu 1921 roku awansowano go na podporucznika, a wkrótce został zdemobilizowany jako oficer rezerwy. Jego dywizjon trzy lata później przeformowano w 1 Pułk Artylerii Przeciwlotniczej imienia Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

Za namową rodziny Żabczyński rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Wkrótce jednak odkrył swoją prawdziwą pasję – aktorstwo. „Każde przedstawienie było dla mnie objawieniem. Aktorów uważałem za ludzi z innej planety i kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z nimi, doprawdy nie wiedziałem, co mam mówić”, wyznał po latach. Uczęszczał do szkoły aktorskiej w Warszawie. Zadebiutował w 1922 roku w Teatrze Reduta jako Archanioł Gabriel w „Pastorałce”. Występował potem na scenach teatrów Polskiego i Warszawskiego, a także na deskach najpopularniejszych rozrywkowych teatrzyków Warszawy – Morskiego Oka i Cyrulika Warszawskiego.

Prawdziwą sławę przyniosły mu jednak filmowe role w komediach muzycznych i melodramatach. Pierwszy raz na srebrnym ekranie publiczność zobaczyła Żabczyńskiego w 1926 roku w filmie „Czerwony błazen”. Wkrótce stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych aktorów – grał w takich słynnych przedwojennych produkcjach, jak: „Manewry

miłosne”, „Ada! To nie wypada” czy „Zapomniana melodia”. W sumie wystąpił w dwudziestu sześciu filmach. Śpiewane przez niego przeboje: „Powróćmy jak za dawnych lat” czy „Nie kochać w taką noc, to grzech”, nuciła cała Polska. W karierze pomagały mu uroda amanta i znakomity głos.

ATAK NA WZGÓRZE

Gdy wybuchła wojna, aktor znów wrócił do roli oficera. Zmobilizowany w sierpniu 1939 roku jako porucznik 1 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej wziął udział w walkach obronnych. Po wkroczeniu do Polski wojsk radzieckich, 18 września wraz z tysiącami polskich żołnierzy przedostał się do Rumunii. „Potem zostałem internowany w obozie na Węgrzech i byłem jednym z organizatorów ucieczki do Francji”, opowiadał Żabczyński po wojnie w piśmie „Film”. „Nasz spisek wykryto, ale udało mi się zbiec tuż przed aresztowaniem”.

We Francji wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a po agresji Niemiec i klęsce Francuzów został ewakuowany do Wielkiej Brytanii. Stamtąd w 1942 roku wysłano go do Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie. „W okolicach Bagdadu przeżyłem najbardziej niesamowite upały, które dochodziły do 82 stopni. Po kolejnych przenosinach naszego obozu z Iraku do Palestyny dotarłem do Egiptu”, wspominał.

W końcu trafił do II Korpusu Polskiego, dowodzonego przez generała Władysława Andersa. Przeszedł z nim całą kampanię włoską, aż do zdobycia Bolonii. Brał także udział w zdobywaniu Monte Cassino, gdzie został ranny. Za zasługi wojenne otrzymał Krzyż Walecznych i awans do stopnia kapitana. Nie zapomniał też o dawnej pasji i w chwilach wolnych od służby bawił kolegów, występując w Teatrze Dramatycznym II Korpusu.

CZERWONE MAKI

Po kapitulacji III Rzeszy kapitana Żabczyńskiego skierowano do okupowanych Niemiec. Pracował w Salzburgu w Polskim Czerwonym Krzyżu, a później wraz z II Korpusem został przewieziony do Wielkiej Brytanii. „Oczywiście zajęcie



N A G

Od bohatera do konfidenta

BARDZO RÓŻNE BYŁY WOJENNE LOSY GWIAZD POLSKIEGO KINA.

Po wybuchu II wojny spora część aktorów pozostała w Warszawie. Należał do nich Józef Orwid, który zginął 13 sierpnia 1944 roku w powstaniu warszawskim. Śmierć nastąpiła w wyniku eksplozji niemieckiego czołgu pułapki. Cztery dni później zmarł Franciszek Brodniewicz. Aktor w czasie okupacji za-

stosował się do zakazu konspiracyjnego Związku Artystów Scen Polskich i nie występował w jawnych teatrach. Pracował jako kelner, a w mieszkaniu ukrywał Żydówkę Rachelę Adler, która dzięki niemu przeżyła wojnę. 17 sierpnia zmarł na zawał serca po wybuchu bomby na podwórzu jego kamienicy.



ALEKSANDER ŻABCZYŃSKI, GDY WYBUCHŁA WOJNA, WRÓCIŁ DO ROLI OFICERA

to traktowałem jako przejściowe i skorzystałem z pierwszej okazji, aby wrócić do kraju. Sześć lat tęsknoty za ojczyzną i za najbliższymi to bardzo dużo”, uważał i dlatego w 1947 roku, po demobilizacji zdecydował się wracać do Polski.

Niestety w ludowej ojczyźnie nie było miejsca dla przedwojennych aktorów, a on sam także nie chciał występować w socrealistycznych filmach. Powrócił natomiast na stołeczne sceny. Występował w teatrach Klasycznym, a potem Polskim. Wielokrotnie stawał przed mikrofonem Polskiego Radia. Pod koniec 1957 roku nagrał kilka piosenek: „Nikt mnie nie rozumie tak jak ty” czy „Całuję twoją dłoń, madame”. Pojawił się też w kilku pierwszych spektaklach telewizyjnych.

Jaki duży ślad odcisnęła na nim wojna, pokazuje historia z lat pięćdziesiątych. Poproszono Żabczyńskiego, jako jednego ze zdobywców klasztoru na Monte Cassino, aby wykonał na gali piosenkę „Czerwone maki”. Kiedy jednak aktor wszedł na scenę, nie był w stanie śpiewać. Orkiestra przestała grać, a Żabczyński powiedział: „Przepraszam państwa. Nie zaśpiewam. Mam ich wciąż przed oczami...” i zszedł ze sceny. Zmarł nagle na serce 31 maja 1958 roku. Spoczywa na cmentarzu wojskowym na Powązkach. ■

Na występy w jawnych teatrach zdecydowali się natomiast Adolf Dymsha i Kazimierz Junosza-Stępowski. Pierwszy z nich przeżył wojnę, a po niej sąd koleżeński ukarał go pięcioletnim zakazem występowania w stołecznych teatrach. Junosza-Stępowski został natomiast zastrzelony 5 lipca 1943 roku przez żołnierzy Armii Krajowej. Aktor próbował osłonić żonę, Jagę Juno – narkomankę i konfidentkę gestapo, na którą podziemny sąd wydał wyrok śmierci.

W stolicy została też Hanka Ordonówna. Jesienią 1939 roku została uwięziona

na Pawiaku, skąd wydostał ją mąż i sprowadził do Wilna. Aresztowana przez NKWD trafiła do łagru w Uzbekistanie. Po amnestii dla Polaków organizowała pomoc dla osieroconych dzieci i razem z nimi wyjechała do Libanu. Niestety, w czasie zesłania nastąpił nawrót choroby płuc. Aktorka zmarła na gruźlicę w Bejrucie w 1950 roku. Ordonkę zadenuncjował gestapo inny aktor – Igo Sym (na zdjęciu z Jadwigą Smosarską). W czasie okupacji podpisał on volkslistę i został niemieckim konfidentem. Za współpracę z okupantem wojskowy sąd podziemny

wydał na niego wyrok śmierci, który wykonano 7 marca 1941 roku.

W czasie wojny do Wielkiej Brytanii trafił Mieczysław Cybulski. Przez dwa lata dowodził tam plutonem samochodowym w 2 Batalionie Strzelców. Później pływał na statku „Batory”, wykorzystywanym do przewożenia wojska. Gorszy los spotkał Eugeniusza Bodo. W 1941 roku we Lwowie aresztowało go NKWD. Po dwóch latach więzienia został zesłany do łagru w obwodzie archangielskim. Zmarł tam 7 października 1943 roku z głodu i wycieńczenia. ■

RAJD KAJAKARZY

Niewielka grupa **brytyjskich komandosów**
w 1942 roku przeprowadziła rajd na port w Bordeaux
w okupowanej przez Niemców Francji.

TADEUSZ WRÓBEL



Jeszcze w 1940 roku brytyjski premier Winston Churchill postanowił, że zanim alianci będą zdolni rozpocząć inwazję, by wyzwolić Europę spod niemieckiej okupacji, należy prowadzić działania nękające i osłabiające III Rzeszę. I nie chodziło tylko o ruch oporu, lecz także o działania nowo utworzonych elitarnych jednostek specjalnych. Jednym z celów komandosów był okupowany francuski port Bordeaux.

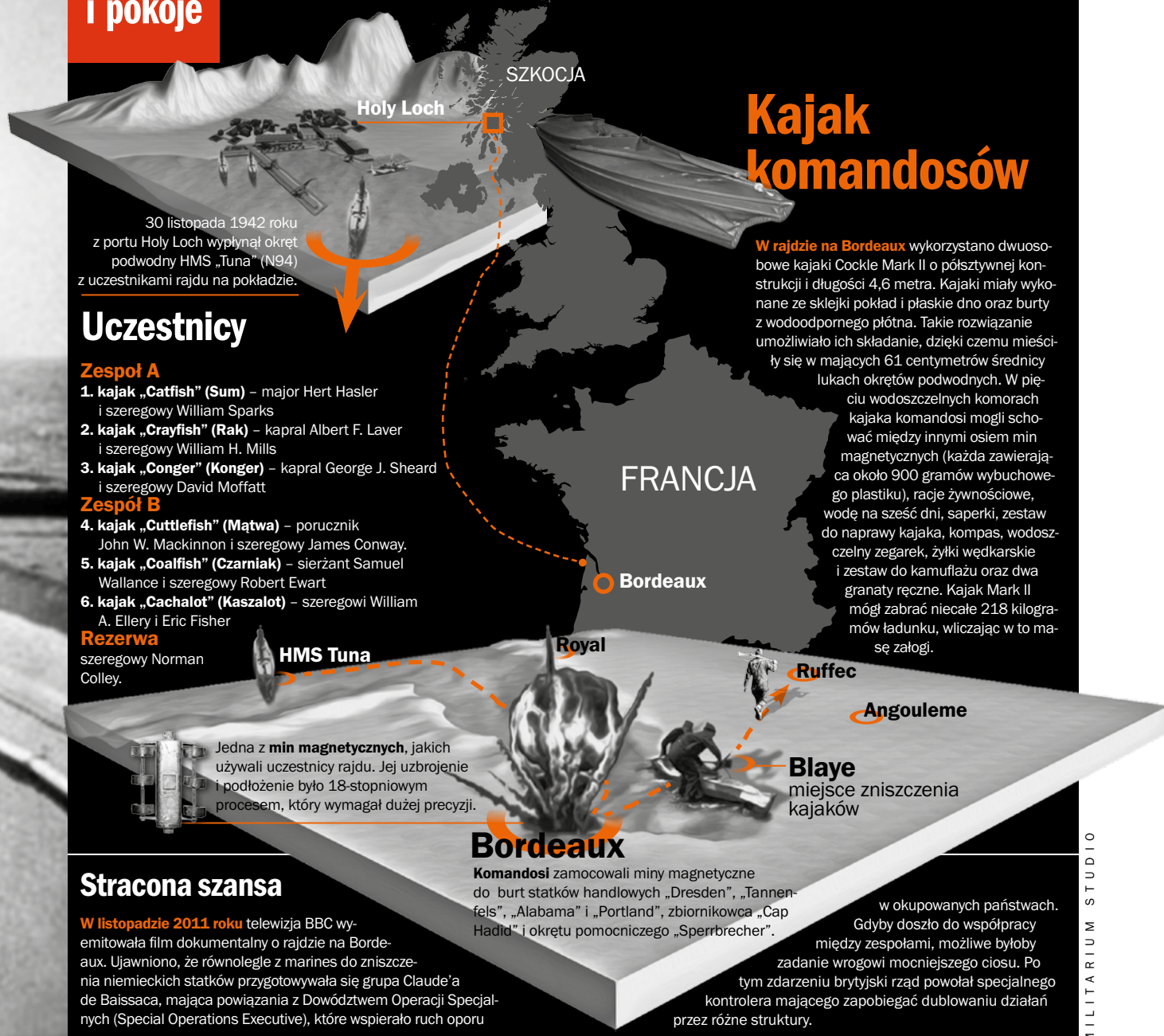
ŚMIAŁY PLAN

Alianci, podobnie jak w latach 1914–1918, po wybuchu II wojny światowej rozpoczęli morską blokadę Niemiec, żeby odciąć je od źródeł surowców strategicznych, niezbędnych do rozwoju gospodarki, takich jak kauczuk, wolfram, boksyty (zawierają glin), cyna, ropa naftowa, ruda żelaza, miazga drzewna, a nawet olej wielorybi. I chociaż niemieckim naukowcom udało się stworzyć substytuty niektórych z nich, część nadal trzeba było sprowadzać. Sytuacja Niemców pod tym względem uległa ogromnej poprawie po upadku Francji w czerwcu 1940

roku, ponieważ zdobyli porty mające wyjście na otwarty Atlantyk. Stanowiły one znakomite bazy do prowadzenia wojny podwodnej i przystań dla statków handlowych, które starały się przełamać brytyjską blokadę. Jednym z takich portów było Bordeaux, które co prawda jest oddalone od wybrzeża Zatoki Biskajskiej o 97 kilometrów, ale ma z nią dogodne połączenie poprzez Żyronde – szerokie, lejkowate ujście rzek Garonna i Dordogne.

Roundell Cecil Palmer (lord Selborne), minister gospodarki wojennej w rządzie Churchilla, w maju 1942 roku zasugerował, żeby zniszczyć statki znajdujące się w tym porcie. Szef brytyjskiej dyplomacji Anthony Eden sprzeciwił się jednak bombardowaniu, ponieważ przyniosłoby ono liczne ofiary wśród francuskiej ludności cywilnej. Brytyjczycy zaczęli szukać zatem innego sposobu ataku na Bordeaux.

Major Herbert Hasler we wrześniu 1942 roku przedstawił pułkownikowi Robertowi Neville'owi, odpowiedzialnemu za koordynację planowania w Dowództwie Operacji Połączonych



Kajak komandosów

W rajdzie na Bordeaux wykorzystano dwuosobowe kajaki Cockle Mark II o półsłupowej konstrukcji i długości 4,6 metra. Kajaki miały wykonane ze sklejki pokład i płaskie dno oraz burty z wodoodpornego płótna. Takie rozwiązanie umożliwiało ich składanie, dzięki czemu mieściły się w mających 61 centymetrów średnicy lukach okrętów podwodnych. W pięciu wodoszczelnych komorach kajaka komandosi mogli schować między innymi osiem min magnetycznych (każda zawierająca około 900 gramów wybuchowego plastiku), racje żywnościowe, wodę na sześć dni, saperki, zestaw do naprawy kajaka, kompas, wodoszczelny zegarek, żyłki wędkarskie i zestaw do kamuflażu oraz dwa granaty ręczne. Kajak Mark II mógł zabrać niecałe 218 kilogramów ładunku, wliczając w to masę załogi.

Uczestnicy

Zespół A

1. kajak „Catfish” (Sum) – major Hert Hasler i szeregowy William Sparks
2. kajak „Crayfish” (Rak) – kapral Albert F. Laver i szeregowy William H. Mills
3. kajak „Conger” (Konger) – kapral George J. Sheard i szeregowy David Moffatt

Zespół B

4. kajak „Cuttlefish” (Mątw) – porucznik John W. Mackinnon i szeregowy James Conway.
5. kajak „Coalfish” (Czarniak) – sierżant Samuel Wallance i szeregowy Robert Ewart
6. kajak „Cachalot” (Kaszałot) – szeregowi William A. Ellery i Eric Fisher

Rezerwa

szeregowy Norman Colley.

Jedną z min magnetycznych, jakich używali uczestnicy rajdu. Jej uzbrojenie i podłożenie było 18-stopniowym procesem, który wymagał dużej precyzji.

Stracona szansa

W listopadzie 2011 roku telewizja BBC wyemitowała film dokumentalny o rajdzie na Bordeaux. Ujawniono, że równoległe z marines do zniszczenia niemieckich statków przygotowywała się grupa Claude’a de Baissaca, mająca powiązania z Dowództwem Operacji Specjalnych (Special Operations Executive), które wspierało ruch oporu

Bordeaux

Komandosi zamocowali miny magnetyczne do burt statków handlowych „Dresden”, „Tannenfels”, „Alabama” i „Portland”, zbiornikowca „Cap Hadid” i okrętu pomocniczego „Sperrbrecher”.

w okupowanych państwach. Gdyby doszło do współpracy między zespołami, możliwe byłoby zadanie wrogowi mocniejszego ciosu. Po tym zdarzeniu brytyjski rząd powołał specjalnego kontrolera mającego zapobiegać dublowaniu działań przez różne struktury.

(Combined Operations Headquarters), plan śmiałej operacji pod kryptonimem „Frankton”. Oficer, który był dowódcą jednostki Royal Marines Boom Patrol Detachment (RMBPD), zaproponował, by w rajdzie na Bordeaux wzięło udział sześć osób w trzech kajakach Cockle Mk II. Po analizie wiceadmirał Louis Mountbatten, szef Dowództwa Operacji Połączonych, 13 października 1942 roku dał zgodę na tę akcję, ale podwoił liczbę jej uczestników. Komandosi z RMBPD już tydzień później zaczęli przygotowywać się do ataku – między innymi przeprowadzali symulowane rajdy na Deptford i pływali po lodowatych szkockich wodach w rejonie Holy Loch.

Komandosów podzielono na dwa sześciuosobowe zespoły. Oddziałem A dowodził sam major Hasler, który pierwotnie nie miał brać bezpośredniego udziału w misji bojowej. Dowódcą zespołu B został porucznik John W. Mackinnon. Zaplanowano, że żołnierze ze sprzętem zostaną przerzuceni okrętem podwodnym w pobliżu ujścia Żyromy. Później komandosi na kajakach popłynęli do portu, gdzie do burt znajdujących się tam statków

przyczepią miny magnetyczne, a po akcji przedostaną się drogą lądową przez okupowaną Francję do neutralnej Hiszpanii.

WIELKI PECH

Operacja „Frankton” rozpoczęła się 30 listopada 1942 roku. Z portu Holy Loch w Szkocji wypłynął okręt podwodny HMS „Tuna” (N94) z uczestnikami rajdu na pokładzie. W rejon ujścia Żyromy miał dotrzeć 6 grudnia 1942 roku, ale zła pogoda i konieczność omijania pól minowych spowodowała jednodniowe opóźnienie. To był początek złej passy. Kiedy bowiem na miejscu zaczęto wyciągać przez luk składane kajaki, kadłub jednego z nich został rozdarty. Osada „Cachalota” i rezerwowi marines musieli zatem pozostać na okręcie. Pozostałe pięć kajaków spuszczone na wodę wieczorem 7 grudnia 1942 roku. Pech jednak nie opuszczał brytyjskich wojskowych. Przez silny wiatr już tej nocy utraciono dwa następne kajaki. Załogę „Cuttlefish” udało się doholować na brzeg, ale marines z „Congera” zmarli z wyziębienia.





**Major Herbert Hasler,
twórca RMBPD**

ROYAL MARINES BOOM PATROL DETACHMENT POWSTAŁ 6 LIPCA 1942 ROKU I STACJONOWAŁ W FORCIE LUMPS NA WYSPIE PORTSEA.

Twórcą i dowódcą jednostki był major Herbert „Blondie” Hasler. RMBPD utworzono po rajdach włoskich komandosów przeciwko flocie brytyjskiej 25 marca 1941 roku w Zatoce Souda koło Krety i 26 lipca 1941 roku w porcie La Valetta na Malcie. W tych akcjach wykorzystano motorowe łodzie z kilkusetkilogramowymi ładunkami wybuchowymi. Brytyjczycy chcieli stworzyć jednostkę działającą w podobny sposób. Major Hasler wybrał do RMBPD grupę żołnierzy z pomocniczego batalionu piechoty morskiej w Portsmouth, a oficerów ściągnął z Royal Marine Small Arms School w Gosforth. RMBPD składał się z dwóch sekcji – jedna miała szybkie łodzie motorowe boom patrol boat, a druga jednoosobowe kajaki z motorem, które mogły pływać w zanurzeniu. Po rajdzie na Bordeaux Royal Marines Boom Patrol Detachment rozrósł się, ale kolejne misje planowane w 1943 roku nie doszły do skutku. W 1944 roku działali za to na Morzu Egejskim.

Oslabiony o połowę zespół Haslera kontynuował misję. Komandosom udało się uniknąć wykrycia przez niemieckie patrolowce strzegące ujścia Żyromy i pod osłoną nocy dotrzeć w rejon St Vivien du Médoc. O świcie koło latarni Pointe de Grave Niemcy schwytali załogę „Coalfish”. Tym samym siły brytyjskiego zespołu zostały zredukowane do jednej trzeciej. Pozostali żołnierze kontynuowali operację, ale z powodu trudnych warunków do Bordeaux dotarli później, niż planowali. Na miejscu major Hasler postanowił, że jego kajak („Catfish”) wpłynie do doków od strony zachodniej, a drugi („Crayfish”) od wschodniej. Atak rozpoczął się 11 grudnia 1942 roku o godzinie 21.00.

Hasler ze swoim szeregowym Williamem Sparksem przyczepili miny magnetyczne do czterech jednostek, w tym okrętu pomocniczego. Osada drugiego kajaka natomiast początkowo miała problemy ze znalezieniem celów. Ostatecznie skierowała się ku statkom kotwiczącym w rejonie miejscowości Bassens i przyczepiła osiem min pod dwie jednostki, pięć pod duży statek handlowy i trzy pod mały liniowiec.

WYSOKA CENA

Po akcji obie załogi spotkały się koło niewielkiej wysepki, natychmiast ruszyły dalej, żeby jak najszybciej odpłynąć od Bordeaux, zanim eksplodują podłożone miny. Po dotarciu na brzeg w rejonie Saint-Ganès-de Blaye komandosi zniszczyli kajaki i rozdzielili się – każda para na własną rękę miała przedziierać się do Hiszpanii, ale wcześniej zaplanowano spotkanie w miejscowości Ruffec.

Niemcy 10 grudnia 1942 roku pochwaliли się, że dwa dni wcześniej wykryli i zniszczyli oddział sabotażystów u ujścia Żyromy. I faktycznie 8 grudnia schwytano sierżanta Samuela Wallece’a i szeregowego Roberta Ewarta. Obaj zostali rozstrzelani w nocy z 11 na 12 grudnia przez pluton egzekucyjny Kriegsmarine w żwirowni w lesie na północ od Bordeaux albo w Château Magnol, albo w Blanquefort. Ówczesny dowódca niemieckiej marynarki wojennej admirał Erich Reader w swym wojennym dzienniku napisał, że była to „nowość w świetle prawa międzynarodowego”, bo Brytyjczycy mieli na sobie mundury. Marines byli ofiarami tajnego zbrodnictwa rozkazu, wydanego 18 października 1942 roku przez Adolfa Hitlera, znanego jako Kommandobefehl. Przywódca III Rzeszy nakazał w nim natychmiastową likwidację schwytanych żołnierzy alianckich

wojsk specjalnych. W ręce Niemców wpadli też 14 grudnia Albert Laver i William Mills z „Crayfish”, podobnie jak porucznik John Mackinnon i szeregowy James Conway, których kajak zatonął już pierwszej nocy rajdu. Zostali rozstrzelani 23 czerwca 1943 roku w Paryżu.

Szczęście sprzyjało natomiast majorowi Haslerowi i szeregowemu Sparksowi. Kiedy 18 grudnia dotarli do Ruffec, na północ od Angoulême, w hotelowej restauracji udało się im nawiązać kontakt z członkinią francuskiego ruchu oporu. Konspiratorzy po sprawdzeniu, czy nie mają do czynienia z niemieckimi prowokatorami, umieścili ich na leżącej na uboczu farmie Armand Dubreuil’a, członka siatki pomagającej uciekinierom. Brytyjczycy ukrywali się tam przez sześć tygodni, a następnie byli przerzuceni na pogranicze z Hiszpanią. Zostali przeprowadzeni przez Pireneje, a później otrzymali pomoc współpracującą z aliantami siatki byłych republikanów. Dzięki nim trafili do brytyjskiego konsulatu w Barcelonie. 1 kwietnia 1943 roku komandosi dotarli do Gibraltaru, a stamtąd każdy z nich oddzielnie udał się do Wielkiej Brytanii. Ostatnią przygodę Sparks przeżył na rodzinnej ziemi. Został zatrzymany przez żandarmię wojskową, która nie była w stanie potwierdzić jego tożsamości. Wszystko jednak zakończyło się szczęśliwie.

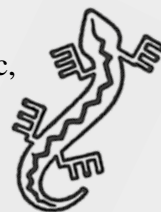
Dowództwo brytyjskie długo nic nie wiedziało o efektach rajdu i losach jego uczestników. Dlatego w styczniu 1943 roku uznano ich za zaginionych. Pierwsze informacje o przebiegu misji dotarły do Londynu dopiero pod koniec lutego. Pomimo 80 procent strat (nie wliczając załogi „Cachalot”) Winston Churchill twierdził, że atak na port w Bordeaux skrócił wojnę o sześć miesięcy. Wiceadmirał Mountbatten mówił natomiast: „Spośród wielu rajdów przeprowadzonych przez ludzi z Dowództwa Operacji Połączonych żaden nie był bardziej odważny i pomysłowy niż operacja «Frankton»”.

Podłożone przez komandosów miny wybuchły rankiem 12 grudnia 1942 roku. Niemcy przyznali się, że zostało uszkodzonych pięć jednostek. Nie wykluczone, że nic nie wspomnieli o szóstej, w której szkody były największe. Ludzie Haslera wykonali zatem plan minimalny, który zakładał atak na 6–12 statków. Według źródeł niemieckich pięć jednostek szybko wróciło do służby. Ocena efektów rajdu przez Churchilla nie ograniczała się do zaatakowanych jednostek. Po tej akcji Niemcy musieli wzmocnić obronę francuskiego wybrzeża, a to zadanie odciągnęło tysiące żołnierzy od innych teatrów działań. ■



Z jaszczurką na ramieniu

Brygada Świętokrzyska, jeden z największych polskich oddziałów partyzanckich, w 1945 roku przeszła z Polski, przez Czechy, do Niemiec, gdzie jej jednostki zostały przekształcone w polskie kompanie wartownicze przy 3 Armii Amerykańskiej.



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

W sierpniu 1944 roku Naczelne Dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych powołało Brygadę Świętokrzyską. W jej skład weszło wiele małych oddziałów, które nie podporządkowały się rozkazowi scalenia z Armią Krajową. Dowódcą został pułkownik Antoni Szacki, pseudonim „Bohun”. Brygada działała głównie na Kielecczyźnie i jej żołnierze wyznawali filozofię dwóch wrogów: walczyli z partyzantami Armii Ludowej i żołnierzami sowieckimi zrzucającymi na teren Polski oraz z Niemcami.

ZDRAJCY CZY PATRIOCI

Losy Brygady Świętokrzyskiej opisał Jan Żaryn w książce „Taniec na linie nad przepaścią. Organizacja Polska na wychodźstwie i jej łączność z krajem w latach 1945–1955”. Do jej

lektury zachęciła mnie reklama mówiąca, że Brygada Świętokrzyska to pierwsza polska formacja wojskowa, która zbratała się z Amerykanami, zanim Polska weszła do NATO.

Propaganda Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przedstawiała żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej jako kolaborantów, a dziś tak zwane środowiska patriotyczne widzą w nich patriotów walczących z komunistami. Sprzeczne opinie na jej temat można także znaleźć na portalach społecznościowych. Według jednej, „Narodowe Siły Zbrojne to bandyci i kolaboranci, współpracownicy gestapo, którzy mordowali partyzantów Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich, Armii Krajowej oraz chłopów”. Według innej, „brygada była jedyną formacją trzeźwo oceniającą zdradzieckie zamiary bolszewików wobec Polski”.

W zrozumieniu gry, jaką podczas marszu na Zachód podjęło dowództwo brygady, nie pomogła mi też książka Elżbiety Cherezińskiej „Legion”. Autorka pomieszała bowiem postaci fikcyjne z prawdziwymi, trudno więc mi było oddzielić wizję literacką od prawdy historycznej (recenzja tej książki na stronie 126). Podobnie jak autorkę „Legionu”, zaciekało mnie jednak, jak udało się brygadzie przejść przez tereny zajęte przez Niemców i dotrzeć do armii generała George’a Pattona.

MARSZ NA ZACHÓD

Gdy do Polski zbliżał się front wschodni, żołnierze Brygady Świętokrzyskiej przygotowywali się do wymarszu na Zachód – chcieli dotrzeć do generała Władysława Andersa. Ofensywa sowiecka rozpoczęła się 13 stycznia 1945 roku i tego dnia brygada ruszyła w kierunku Śląska.

Jeden z jej żołnierzy, Stefan Władysław „Lech”, zanotował w dzienniku: „Ruszamy w stronę Żarnowca prowadzeni przez oficera niemieckiego. Dziwne się to wydaje, że my wczoraj walczyliśmy z całą zawziętością przeciwko tym samym, którzy teraz nam pomagają i ułatwiają przejść umocnienia”. Podczas marszu Niemcy wspomagali brygadę dostawami żywności, a później także uzbrojenia. Kilka razy zapewnili też jej żołnierzom zakwaterowanie, a chorych lub rannych przyjmowali do niemieckich szpitali.

Uzyskanie zgody Niemców na marsz na Zachód wymagało pewnych ustępstw, zawierania porozumień z lokalnymi dowódcami, a także zgody na przerzucenie przez Niemców wybranych żołnierzy brygady na tereny Polski zajęte przez Armię Czerwoną. Od lutego do kwietnia 1945 roku na spadochronach zrzucono cztery grupy kurierów. Miały one dotrzeć do przywódców Narodowych Sił Zbrojnych. Broń, dokumenty i radiostacje dostarczali Niemcy. Jan Żaryn przyznaje, że był to najbardziej skuteczny przykład współpracy z Niemcami.

PIĘKNA KARTA

W czasie marszu na Zachód brygada zapisała także jedną z piękniejszych kart swej historii. Antoni Szacki „Bohun” wspominał: „Przejście przez czeskie góry Sudety było jednym z najcięższych zadań, które wykonywaliśmy w posuwaniu się na Zachód. Wysokie góry, głębokie śniegi i strome drogi utrudniały i opóźniały przemarsz. Pomimo tych przeszkód żołnierz, choć głodny, w zniszczonym, podartym ubraniu, prawie u kresu wytrzymałości fizycznej, pokonywał wszystko z głęboką wiarą w lepszą przyszłość”.

Na początku maja 1945 roku brygada dotarła w okolice obozu koncentracyjnego w czeskim Holiszowie. Zaatakowała go i 5 maja wyzwoliła około tysiąca kobiet polskich, żydowskich i francuskich, których Niemcy nie zdążyli zamordować. Wzięto do niewoli około 200 gestapowców. W Holiszowie do dziś stoi pomnik ku czci żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej. W okolicznościowym rozkazie pułkownik „Bohun” napisał: „Sztandary nasze powiewają obok zwycięskich barw amerykańskich, obok proporców wyzwolonego narodu czeskiego”.

6 maja do Holiszowa dotarły wojska 3 Armii Amerykańskiej generała George’a Smitha Pattona. Początkowo Amerykanie zażądali rozbrojenia polskich żołnierzy, ale po rozmowach w kwaterze głównej 3 Armii uznali brygadę za oddział aliancki. „Do czasu nawiązania łączności z naszym Naczelnym Wodzem i Rządem jesteśmy gośćmi jednocześnie armii amerykańskiej i narodu czeskiego jako gospodarza tej ziemi”, pisał



NOSILI HEŁMY Z ORZEŁKIEM I BIAŁO-CZERWONĄ TARCZĘ Z NAPISEM „POLAND”



Przegląd kompanii wartowniczej, Heilbron 1947 r.

w rozkazie z 8 maja 1945 roku pułkownik „Bohun”. Do brygady dołączali uwolnieni więźniowie obozów koncentracyjnych oraz uczestnicy powstania warszawskiego zwolnieni z obozów jenieckich lub pracy.

Historia formacji nie zakończyła się jednak w chwili spotkania ludzi „Bohuna” z wojskiem generała Pattona ani nawet w momencie zakończenia II wojny światowej. Na dalszych losach jej żołnierzy zaważył fakt, że formacja była oddziałem Narodowych Sił Zbrojnych, niescalonym z Armią Krajową.

W Czechach brygada pozostała do 6 sierpnia 1945 roku. Żołnierze byli rozlokowani w strefie amerykańskiej, na terenach zajętych w 1938 roku przez Niemców. Opiekowali się polskimi uchodźcami, którzy znaleźli się na ziemiach nadzorowanych przez wojska USA. W kolejnych miesiącach zmieniły się jednak relacje żołnierzy z amerykańskim sojusznikiem. Jak uważa Żaryn, stało się to „za sprawą ofensywy propagandy komunistycznej”. Żołnierzom zarzucano kolaborację z Niemcami, sympatie faszystowskie i antysemityzm. Amerykanie nie zamierzali jednak wycofać brygady do swojej strefy w Niemczech z powodu panującej tam biedy. Nie byli także zainteresowani włączeniem jej do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech, o co się starał generał Anders.

KOMENTARZ

DAMIAN MARKOWSKI



TRAGICZNA FORMACJA

Publicysta Kazimierz Wóycicki mówi o książce Jana Żaryna: „Stara się przedstawić NSZ jako najbardziej antykomunistyczną formację polskiego podziemia, a później emigracji. Ma ona niemal być pomostem między przeszłością a teraźniejszością, a działacze NZS przenikliwymi diagnostykami polityki światowej, którzy najwcześniej i najlepiej rozpoznali przyszłość. Żaryn nie dostrzega tragedii opisywanej przez siebie formacji. Jej jednowymiarowy antykomunizm zdaje się być nie tyle wynikiem konsekwencji, co brakiem zdolności spostrzegania bardziej złożonych procesów politycznych i społecznych. Skazywał ich też na swoistą bierność i marginalizację, mimo niewątpliwego patriotyzmu i poświęcenia”.

Historia Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych wyłamuje się ze schematycznego pojęcia o działalności polskich oddziałów partyzanckich z okresu II wojny światowej. Duża partyzancka jednostka, walcząca z sowiecką agenturą i oddziałami dywersyjnymi NKGB/NKWD, jak również (w mniejszym stopniu) z wojskami niemieckimi, kolaboranckimi i administracją okupacyjną, ma zarówno gorących krytyków, jak i apologetów. Lansowana przez dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych koncepcja walki z dwoma wrogami rzeczywiście doczekała się realizacji w kraju i podczas marszu na Zachód, zakończonego spektakularnym, jakby się wydawało, sukcesem propagandowym. Dość stwierdzić, że w szerszej wizji długofalowych kontaktów z Niemcami, w tym z gestapo i SS, wspomniana walka „na dwa fronty” przybierała charakter mniej lub bardziej wyraźnego opowiedzenia się po stronie niemieckiego okupanta, chociaż z czysto taktycznych i zrozumiałych z perspektywy dowództwa brygady pobudek, podyktowanych uzasadnioną troską o ochronę swoich struktur przed rozpracowaniem przez sowiecką agenturę.

Historia brygady stoi bowiem w ostrej opozycji z jednej strony w odniesieniu do wizji walki rodzimych komunistów i lewicowców z Armią Ludową oraz części Batalionów Chłopskich, realizujących interesy obcego Rzeczypospolitej mocarstwa, z drugiej zaś – wobec postawy dowództwa Armii Krajowej, zdecydowanego na konsekwentną realizację planu „Burza” pomimo wcześniejszych przykrych doświadczeń z Sowietami z Wilna i Lwowa w lipcu 1944 roku.

Bez wątpienia żołnierze Brygady Świętokrzyskiej uznawali, że służą Polsce, a obawa dowództwa jednostki o jej los po wkroczeniu Sowietów również była uzasadniona. Wybrano drogę bardzo niepopularną, ale pozwalającą ocalić wielu „leśnych” od niechybnej śmierci w obławach NKWD i KBW oraz w komunistycznych więzieniach po „wyzwoleniu” dokonanych przez jednego z okupantów. Decyzja, której żołnierze brygady zawdzięczali ocalenie, przyniosła im również niechęć ze strony głównej siły niepodległościowej Polskiego Państwa Podziemnego – Armii Krajowej, której żołnierze masowo ginęli w powstaniu warszawskim, a później w katowniach bezpieki i na „nieludzkiej ziemi”. Ocalenie życia zostało okupione ceną posądzeń o służenie Niemcom i o funkcjonowanie na zasadzie „armii partyjnej”. Nie można jednak odmówić komendzie NSZ, że wybrała po prostu swoją własną drogę do wolności, w nadziei, że na Zachodzie brygada wejdzie w skład wojsk polskich, które przyniosą Polsce wolność. III wojna światowa, rozumiana jako starcie „sił wolności” z komunizmem, była w ówczesnej opinii jak najbardziej prawdopodobna i oczekiwana. W tej mierze należy też rozpatrywać zasadę: „przydadcie się ojczyźnie żywi”.

Damian Markowski jest historykiem
Rady Pamięci Walk i Męczeństwa.

„Wtedy spadła na nich nowa plaga z innej strony”, pisał o brygadowcach Melchior Wańkowicz. „Londyn miał z nimi porachunki jeszcze z czasów Armii Krajowej. Jego oficerowie łącznicy wiele wysiłku włożyli w to, aby Amerykanom tłumaczyć, że ci chłopcy, którzy płakali, oddając z tak pomysłowym i krwawym wysiłkiem ciulaną broń – to nie żołnierze, tylko «displaced persons», jakieś cywilne plewy zagnane przemocą, wichrem wojny do Niemiec. Trudno było wyjść cało z tych połączonych ataków Warszawy, Rosji i Londynu, Amerykanie jednak czuli, że te ataki popychają ich do czegoś nieuczciwego. Odebrali broń, odebrali statut żołnierski, ale brygady nie wydały, jej żołnierzy nie rozproszyli po obozach cywilnych”.

6 sierpnia brygada opuściła Czechy (na mocy porozumienia z administracją czeską i Amerykanami) i ruszyła do Bawarii. Po dwóch dniach marszu dotarła do Coburga, gdzie oddział został rozbrojony.

DALSZE LOSY

Amerykanie włączyli żołnierzy brygady do swych kompanii wartowniczych w Bawarii. Prezydent Harry Truman odmówił spełnienia żądania Stalina, by wydać ich jako niemieckich kolaborantów.

W drugą rocznicę powstania Brygady Świętokrzyskiej 11 sierpnia 1946 roku pułkownik „Bohun” przemawiał do żołnierzy: „Pełniąc wartowniczą służbę pod opieką władz amerykańskich, musimy sobie dobrze zdawać sprawę z tego, że jest to stan przejściowy, który da nam możliwość przetrwania do czasu powrotu do Wolnej Wielkiej Niepodległej Polski”.

W 1947 roku Amerykanie zaczęli rozwiązywać oddziały wartownicze i zastępować je niemieckimi. Kompetencje władz okupacyjnych przekazywali niemieckiej administracji. Byli wartownicy po latach wspominali: „Zdaliśmy sobie sprawę, że pobyt naszej emigracji politycznej w Niemczech nie miał już sensu – ówczesna organizacja koła samopomocy byłych żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej zorganizowała przerzut ludzi do Francji”. W marcu 1949 roku ambasador Polski we Francji Jerzy Putrament donosił: „Z terenu Niemiec napływają stale niewielkie grupy sprowadzane przez ONR, które są rozmieszczane w przemyśle stalowym. W ostatnim czasie przybyło 70 ludzi z Brygady Świętokrzyskiej na czele z «Bohunem»”. W latach 1949–1955 coraz więcej brygadowców opuszczało Francję. Wyjeżdżali głównie do Stanów Zjednoczonych. „Okolo 1955 roku całe przedsięwzięcie zostało zakończone”, podsumował jeden z jej żołnierzy Jerzy O. Hłakowicz.

Po raz pierwszy w dziejach Ojczyzny naszej padła na naród plama skrytobójstwa, popełnionego ręką zbrodniczą na uświęconej osobie Głowy Państwa. Wczoraj w południe 16 grudnia 1922 roku w Warszawie w czasie uroczystego otwarcia salonu dorocznego w gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych dokonano zamachu na Prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza”, informowała „Polska Zbrojna” 17 listopada 1922 roku.

TRZY STRZAŁY

Jak relacjonowała gazeta, poprzedniego dnia niedługo po godzinie dwunastej samochód z prezydentem zjechał przed gmach Zachęty. Na schodach gościa witał hrabia Stefan Przeździecki, szef protokołu dyplomatycznego, a publiczność zgromadzona



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zabójstwo prezydenta

Niepoczytalna ręka dokonała ohydnych mordu na osobie najwyższego dostojnika Rzeczypospolitej.

ANNA DĄBROWSKA

w westybule wiwatowała na cześć Narutowicza. „Kiedy prezydent znajdował się w pierwszej sali na pierwszym piętrze budynku, podszedł do niego z boku malarz Eligjusz Niewiadomski i dał z bliskości trzy strzały z rewolweru. Wszystkie trzy kule trafiły, jedna prze-

szła przez wątrobę, dwie około serca. Wezwany lekarz stwierdził wewnętrzny krwotok, zatrzymanie serca i zgon”, podawał wojskowy dziennik.

„Polska Zbrojna” informowała też, że mordercę aresztowano. „Zabójca, którym jest malarz znany jako niepoczytal-

ny szaleniec powiązany z endecją, podał się bez walki i bez oporu oddał hiszpański rewolwer, z którego strzelał. Twierdzi, że działał z własnej inicjatywy, a jako powód swojej zbrodni wskazał ratowanie Polski przed zalewem bolszewizmu”, pisało.

MPITAVAL

Sprawa oficerskiego honoru

Porucznik rzucił Janowi Zielińskiemu rękawice i wyzwał go na pojedynek.

Na balu noworocznym porucznik Władysław Stefanowicz z 33 Pułku Piechoty z Łomży bawił się znakomicie w towarzystwie dwóch swoich sióstr i kolegów z pułku. Do czasu, aż niejaki Jan Zieliński, tutejszy agronom, będąc na rauszu po

kilku toastach, odezwał się niewłaściwym słowem do młodszej siostry oficera. Ten zażądał od Zielińskiego przeprosin. Zamiast nich został uderzony po twarzy i nazwany tchórzliwym oficerem. Wtedy porucznik rzucił mu rękawice i wyzwał na poje-

dynek, czego świadkami byli wszyscy obecni na sali.

Niestety honorowi oficera nie stało się zadość, ponieważ po wytrzeźwieniu Zieliński nie kwapił się do stanięcia z nim w szranki. „Będąc trzykrotnie wezwany na pojedynek, za każdym razem nie stawiał się na miejscu starcia”, relacjonował dziennikarz „Polski Zbrojnej”.

Oficerski sąd honorowy groził porucznikowi degradacją. „Sprawa wymaga przelewu krwi i wobec niedojścia do pojedynku oficer nie może być uważany za zrehabilitowanego. Nie po to walczyli oficerowie na froncie o niepodle-

W godzinę po zbrodni przybyło lan-
do i szwadron przyboczny szwoleż-
rów. Ciało zamordowanego prezyden-
ta, który swój urząd sprawował tylko
pięć dni, spowito w sztandar narodowy
i przewieziono do Belwederu z hono-
rami wojskowymi. „Wobec tej strasz-
nej zbrodni zgroza i oburzenie przejęły
całe społeczeństwo. Na wszystkich
gmachach rządowych powiewają
sztandary państwowe na znak żałoby
opuszczone do połowy masztu. Zarzą-
dzono zamknięcie widowisk, lokali
publicznych, a na gmachach rzado-
wych i miejskich zawieszono czarne
chorągwie”.

Minister spraw wojskowych generał
dywizji Kazimierz Sosnkowski wydał
odezwę do wojska. „W tej tragicznej
chwili armja pamięta, gdzie jest jej ho-
nor i obowiązek. Gdy Ojczyźnie grozi
anarchia, a wróg czyha na moment jej
słabości, armja zewrze tem silniej swe
szeregi, zachowując spokój, opanowa-
ne nerwy, żelazną dyscyplinę i pełny
posłuch dla władzy ustanowionych pra-
wami narodu. Ojczyzna może być spo-
kojna, dopóki wojsko zachowa nieska-
zitelą duszę i nietkniętą moralność”,
zapewniał. Dodał też, że armia chyli
czoła przed zwłokami Pierwszego
Obywatela i nieskazitelnego człowieka,
który poległ jak żołnierz, na naj-
wyższym posterunku państwa.

BRATOBÓJCZE WALKI

Dwa dni później, 19 grudnia, kon-
dukt żałobny przejechał ulicami War-
szawy z Belwederu do Zamku Królew-
skiego. Na ulicach żegnał prezydenta
tłum, a trumnie towarzyszył szwadron
1 Pułku Szwoleżerów, bataliony pie-

choty i artylerii. W zamku warszawiacy
oddali hołd zamordowanemu Pierwsze-
mu Polakowi, a przy jego trumnie war-
tę honorową zaciągnęli oficerowie.
22 grudnia pochowano prezydenta
w krypcie katedry świętego Jana.

Jednocześnie marszałek sejmu Ma-
ciej Rataj, który zastępował prezyden-
ta, powołał generała dywizji Władysła-
wa Sikorskiego, szefa Sztabu General-
nego, na prezesa Rady Ministrów.
„Obejmuje jako karny żołnierz ster
rządów w chwili najcięższej, jaką
przeżywało państwo nasze od chwili
swojego zmartwychwstania. Groza na-
jazdu bolszewickiego błędnie wobec
politycznego mordu, jakiego ofiarą
padł pierwszy prezydent Rzeczypos-
politej, wobec walk bratobójczych
oraz wobec zamachów na porządek
prawny i majestat Rzeczypospolitej.
Zbrodnicze działania występnych fa-
natyków okryły nas niesławą, rozsa-
dzając siły wewnątrz państwa i zwięk-
szając jego niebezpieczeństwo”, napi-
sał świeżo wybrany premier.

Wzywał, aby mimo zrozumiałego
oburzenia, z jakim reaguje społeczeń-
stwo w odpowiedzi na mord prezyden-
ta, zapanował bezwzględny spokój.
„Żądam od Was, Polacy, w tej ciężkiej
chwili poszanowania prawa i posłuchu
władzom”. Ostrzegł także, że samosa-
dy będą ukrócone z całą stanowczością.
„Rząd spełni swój obowiązek. Winny
skrytobójczego mordu spotka się z za-
służoną i prawem przewidzianą karą”,
obiecał. I dotrzymał słowa. Sąd Okrę-
gowy w Warszawie 30 grudnia tego ro-
ku skazał Eligiusza Niewiadomskiego
na karę śmierci. Wyrok wykonano mie-
siąc później na Cytadeli. ■

głość Polski, aby potem ich po twarzy
bili”, tłumaczyli oficerowie. Sprawa za-
targu honorowego i grożące konse-
kwencje doprowadziły porucznika do
rozpaczy. „Nosił się nawet z zamiarem
pozbawiania się życia, bo innego wyj-
ścia z sytuacji nie widział”, pisało.

Pewnego lutowego wieczoru oficer
nie poszedł na zabawę do kasyna, gdyż
z powodu swej sprawy honorowej uwa-
żał się za niepożądanego w gronie kole-
gów. Chciał spędzić czas w samotności
i błakał się po ulicach Łomży. Nagle
zobaczył Zielińskiego. Krzyknął i się-
gnął odruchowo po rewolwer. Strzelił

dwukrotnie i Zieliński zaczął uciekać.
Jednak po chwili odwrócił się, a oficer
odniósł wrażenie, że chce się na niego
rzucić. Ze strachu przed atakiem strzelił
trzeci raz i Zieliński upadł, doznając
lekkiego zranienia głowy.

Oficer oskarżony o próbę zabójstwa
stanął przed Wojskowym Sądem Okrę-
gowym w Warszawie. Obrońcy podkre-
ślali, że nie ma danych, iż oskarżony
krytycznego wieczoru nosił się z za-
miarem zgładzenia Zielińskiego. Sam
oficer usprawiedliwiał się, że nie miał
zamiaru zabicia i jeżeli strzelał, to tylko
pod wpływem nerwów podrażnionych



POLSKA ZBROJNA
27 GRUDNIA 1934
ROKU

KAPITAN PIOTR SZYMAŃSKI, KIEROWNIK WYDZIAŁU BEZPIECZEŃSTWA W KOMENDZIE MIASTA WARSZAWY:

Wobec grożącej krajowi,
a w pierwszej linii
Warszawie powodzi, którą
może wywołać wylew Wisły, władze
wojskowe przygotowały się do wzięcia
udziału w ewentualnej akcji ratowni-
czej. W razie potrzeby będzie zmobiliz-
owany Kościuszkowski Obóz Szkolny
Saperów, którego komendant obejmie
kierownictwo akcją. Na miejscu
katastrofy będzie tudzież baon
chemiczny, który użyty będzie ja-
ko patrol minerskie dla wywoła-
nia wybuchów na zatorach. }

Ogłoszenia retro:

Tańców
lekcje pod kierowni-
ctwem Zofii Piłarskiej-Dró-
beczkiej **Sienna 5.**
Nauka w kompletach
lub oddzielnie. 2699

widokiem człowieka, przez którego tak
dużo cierpiał.

Wezwani na rzeczoznawców lekarze
orzekli, że porucznik w trakcie zdarze-
nia znajdował się w stanie zamroczenia
świadomości. Jak tłumaczyli, kiedy ofi-
cer niespodziewanie spostrzegł Zieliń-
skiego, znalazł się w stanie tak silnego
afektu psychicznego, że emocje zyskały
przewagę nad intelektem. Sędziowie
uwolnili go od oskarżenia usiłowania
zabójstwa, a sąd honorowy orzekł, że
oficer obronił swój honor, raniąc opo-
nenta, i całkowicie zrehabilitował po-
rucznika. ■

SR-71 – najszybszy samolot w historii pilotowany przez człowieka.

ROBERT CZULDA

CZARNY

DLUGOŚĆ: 32,7 METRA

Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku szybki rozwój rakiet przeciwlotniczych sprawił, że samolot rozpoznawczy U-2 Dragon Lady nie mógł być całkowicie bezpieczny nad terytorium wroga. CIA zaczęło wówczas szukać rozwiązania tego problemu. Z pomocą przyszedł koncern Lockheed, który w 1959 roku otrzymał kontrakt na opracowanie nowoczesnego, odrzutowego samolotu szpiegowskiego. Firma powierzyła to zadanie zespołowi inżynierskiemu pod kierownictwem Kelly'ego Johnsona – wówczas już legendy Lockheeda, współtwórcy takich samolotów, jak transportowy Model 18 Lodestar, bombowo-patrolowy Ventura, myśliwski P-38 Lightning, a także niezwykle, jak na ówczesne czasy, rewolucyjny P-80 Shooting Star (pierwszy w amerykańskim lotnictwie odrzutowiec produkcji seryjnej), U-2 Dragon Lady i przechwytyjący F-104 Starfighter. Słuszność tej decyzji potwierdziła się kilka miesięcy później, kiedy nad Związkiem Sowieckim zestrzelono U-2, a pilot dostał się do niewoli.

PIERWSZE KROKI

Prace przebiegały niezwykle szybko. Eksperti potrzebowali tylko 26 miesięcy, by opracować samolot od podstaw. Prototyp, oznaczony jako A-12, został ukończony zimą 1961 roku, a rok później odbył się pierwszy lot. Miejscem testu była słynna baza lotnicza w Strefie 51 w stanie Nevada. By zachować próby w ta-

jemnicy, samolot nie mógł odlecieć z pasa startowego znajdującego się na terenie zakładów produkcyjnych i trzeba go było przewieźć w inne miejsce drogą lądową, na specjalnej naczepie. Przetransportowanie szczelnie zakrytego ładunku wymagało usunięcia z trasy przejazdu niektórych znaków drogowych i drzew. W Strefie 51 wydłużono pas startowy i dobudowano hangary. Operatorzy pobliskich radarów wojskowych dostali rozkaz, by nie podnosić alarmu w razie wykrycia niezidentyfikowanego i niezwykle szybkiego obiektu. Porozumiano się też z Federalną Administracją Lotnictwa (Federal Aviation Administration) w kwestii powiększenia strefy zakazu lotów dla samolotów cywilnych wokół bazy.

Testy zakończyły się pomyślnie i przed końcem roku CIA odebrała pierwsze maszyny. Łącznie zbudowano 15 odrzutowców oznaczonych jako A-12. Z powodzeniem wykonywały misje nad Koreą Północną oraz Indochinami, aż do wycofania ze służby po koniec lat sześćdziesiątych. Tymczasem pracowano nad nową, nieco większą i cięższą od A-12 konstrukcją, czyli

WAŻ CZY PTAK? SR-71 NAZYWANO HABU, CO WIĄŻE SIĘ Z PRZYBYCIEM SAMOŁOTU NA OKINAWĘ.

Gdy niezwykłą konstrukcję zobaczyli Japończycy, zaczęli mówić o nim właśnie Habu (nazwa występującego na wyspie jadowitego węża). Załogom przypadło to do gustu i tak już zostało, aczkolwiek powszechnie SR-71 znany jest raczej jako Blackbird, czyli czarny ptak, co stanowi nawiązanie do koloru odrzutowca. Czarna farba nie była przypadkowa – zastosowano ją, ponieważ najlepiej odbijała ciepło. Zawarty w niej specjalny pigment pochłaniał fale radarowe, przez co SR-71 był mniej widzialny dla przeciwnika. Do paliwa dodawano substancje na bazie cezu, by ograniczyć wykrywalność resztek paliwa w smudze kondensacyjnej.

ŁOWCA

LOCKHEED MARTIN



SR-71 Blackbird, której istnienie oficjalnie w 1964 roku potwierdził prezydent Lyndon Johnson.

TECHNICZNE CUDO

Dla konstruktorów opracowanie SR-71 było niezwykle trudnym zadaniem. Nowy samolot miał latać na dużo wyższym pułapie i szybciej niż wcześniejsze konstrukcje. Każdy jego element musiał więc zostać opracowany od podstaw. Dotyczyło to chociażby kadłuba, który, wzięwszy pod uwagę prędkości przekraczające trzykrotnie prędkość dźwięku, nie mógł powstać z powszechnie wówczas wykorzystywanego aluminium. Pierwotnie rozważano zastosowanie stali nierdzewnej, ale ostatecznie zdecydowano się na testowany w latach pięćdziesiątych tytan. Amerykanie wówczas nie mieli jednak wystarczających rezerw tego surowca. Największe były w... Związku Sowieckim.

Moskwa, nie podejrzewając, do czego tytan zostanie wykorzystany, sprzedała go jednak CIA – amerykańscy agenci wykorzystali do transakcji podstawione firmy.

Kolejnym wyzwaniem, przed jakim stanęli konstruktorzy, były ekstremalne temperatury. Podczas pierwszych prób stopiły się tytanowe elementy skrzydeł podgrzane do temperatury zbliżonej do tej, która występuje przy trzykrotnej prędkości dźwięku (średnio od 150 stopni Celsjusza w rejonie tylnej części płatowca do nawet 500 na krawędziach natarcia i w zbiornikach paliwa). Ten sam problem dotyczył silników, które z jednej strony musiały wytrzymywać nawet minus 45 stopni Celsjusza, a z drugiej bezproblemowo pracować przy plus 700 stopniach Celsjusza. Ostatecznie zastosowano silnik o napędzie hybrydowym – przy prędkościach poddźwiękowych i niewielkich nadźwiękowych pracował jak zwykły silnik turboodrzutowy,





PRAWDOPODOBNIENIE SR-71 BĘDZIE MIAŁ NASTĘPCĘ. KONCERN LOCKHEED MARTIN PRZYGOTOWAŁ JUŻ WSTĘPNY PROJEKT KONCEPCYJNY SR-72.

Nowa maszyna ma być bezzałogowa i ponaddźwiękowa. Jej przeznaczenie pozostałoby niezmiennie – wykonywać zadania rozpoznawcze nad terytorium wroga na wysokim pułapie i przy dużych prędkościach, aby uniknąć obrony powietrznej, w tym samolotów przechwytyjących piątej generacji.

Twórca SR-71, czyli Skunk Works, planuje, że SR-72 będzie rozwijał zawrotną prędkość sześciu machów. Nowoczesny i niezwykle wydajny silnik strumieniowy ma stworzyć firma Aerojet Rocketdyne, która do tej pory budowała silniki do pojazdów kosmicznych. Demonstrator technologii w nieznanym jeszcze skali ma pojawić się w 2018 roku, a cztery lata później rozpoczęłyby się testy w powietrzu.

powyżej dwóch machów zamieniał się zaś w silnik strumieniowy. Specjalnego systemu ochrony przed niekorzystnymi temperaturami wymagała również pokładowa kamera o 48-calowym zbliżeniu (SR-71 mógł sfotografować 15-centymetrowe przedmioty na ziemi z wysokości 26 tysięcy metrów). Została ona wyposażona w system chłodzenia i ogrzewania. Gdy SR-71 operował na wysokim pułapie, wtedy włączał się ten pierwszy, a gdy samolot obniżał wysokość, konieczne stawało się ogrzewanie aparatu.

Maszyna nie zapewniała załodze większego komfortu, chociaż na wniosek pilotów zamontowano w niej prosty system pozwalający im zalać podstawowe potrzeby fizjologiczne. Najbardziej doskwierała im jednak wysoka temperatura, gdy prędkość zbliżała się do trzech machów. Piloci wspominali, że już po kilkunastu sekundach przednia szyba była tak gorąca, że nie dało się jej dotknąć. Miało to jednak swoje plusy. Podczas wielogodzinnych lotów ciepło to można było wykorzystać do podgrzewania posiłków. Załogi przyjmowały je poprzez znajdujący się w dolnej części hełmu specjalny otwór, pozwalający wlewać napoje i wsuwać znajdujące się w podłużnych pojemnikach pokarmy stałe – od makaronu, poprzez wołowinę, na deserach kończąc.

Ogromny problem mieli piloci z ochroną oczu. Przez wiele godzin lotu musieli nosić specjalnie przylegającą do twarzy maskę, która ogrzewała i dostarczała tlen. Sprawiało to, że szybko dochodziło do wysuszenia spojówek. Z czasem załogi nauczyły się sztucznie wywoływać łzy, by zwalczyć nieprzyjemne pieczenie. Ponadto, gdy tylko było to możliwe, starano się zamykać oczy. Nikt jednak nie narzekał, bo służba na SR-71 stanowiła powód do dumy. Każdy pilot został starannie wybrany pod kątem zdrowia fizycznego i psychicznego – musiał przejść specjalistyczne badania lekarskie podobne do tych, którym poddawano astronautów w NASA.

BEZ PAZURÓW

Samolot nie został uzbrojony, ponieważ nie było takiej potrzeby. SR-71 charakteryzował się niezwykle wysoką prędkością przelotową, wynoszącą ponad trzy machy. Gdy dodać do tego

imponujący pułap, do 25 kilometrów (dla porównania – wielozadaniowy F-16 i bombowiec B-2 wznosił się raptem na 15 kilometrów, a sowiecki MiG-25 na około 23), to jest oczywiste, że praktycznie nie istniała możliwość przechwycenia tego samolotu w locie. W kierunku SR-71 Korea Północna wystrzeliwała rakiety SA-2, a Libia SA-5, ale bez powodzenia. Według inżyniera Johnsona, w stronę SR-71 wystrzelono przez całą jego służbę łącznie tysiąc rakiet, ale za każdym razem bez powodzenia. Mimo to do działań w szczególnie nieprzyjnym środowisku, specjalnie dla CIA, opracowano wariant samolotu M-21, który przenosił dwa bezzałogowe drony rozpoznawcze D-21 do wykonania zdjęć lotniczych (powstały dwie takie konstrukcje).

POGROMCA REKORDÓW

SR-71 zasłynął jako samolot bijący rekordy. W 1974 roku major James V. Sullivan w ciągu zaledwie godziny i 55 minut przebył drogę z Nowego Jorku do Londynu. Rekord byłby bardziej spektakularny, gdyby nie konieczność tankowania w locie. W drodze powrotnej ustanowiono kolejny. Kapitan Harold B. Adams potrzebował trzech godzin i 47 minut, żeby odbyć podróż z Londynu do Los Angeles. W lipcu 1976 roku pilotowany przez kapitana Eldona W. Joersza SR-76, lecąc na wysokości niemal 26 tysięcy metrów, osiągnął rekordową prędkość 3509 kilometrów na godzinę. Ten imponujący wynik pobito dopiero w 2004 roku, kiedy to prędkość należącego do NASA bezzałogowego samolotu eksperymentalnego X-43A z silnikiem rakietowym wyniosła 10 461 kilometrów na godzinę.

Nawet największa kariera kiedyś się jednak kończy. U schyłku lat osiemdziesiątych Amerykanie wykorzystywali operacyjnie już tylko dziewięć samolotów SR-71. Z powodu rosnących kosztów utrzymania i coraz większych zdolności fotograficznych satelitów w 1990 roku podjęto decyzję o rezygnacji z tych maszyn. W 1994 roku Kongres jednak tymczasowo przywrócił je do służby – ostatecznie wojsko otrzymało dwa SR-71, które z powodzeniem wykorzystywano przez kolejne cztery lata. Wówczas ta niezwykła maszyna jeszcze raz odeszła na emeryturę – już ostatecznie. ■



Ryszard Nawrocki, dowódca strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza „Kiry” (1954–1955) – jeszcze jako plutonowy



Żołnierze
3 Brygady
Wojsk
Ochrony
Pogranicza

Podporucznik
Ryszard Nawrocki
na szlaku
przygranicznym
33 Batalionu WOP
„Czarny Dunajec”
(1955–1956)



Dowódca drużyny na strażnicy WOP „Kiry” kapral Stefan Węgrzyn
(z lewej) i podporucznik Ryszard Nawrocki

*„Czytelnicy „Polski Zbrojnej”
przyłączyli się do naszej akcji
ratowania od zapomnienia historii
rodzinnych dotyczących tradycji
wojskowych. Do redakcji
napływają zdjęcia, dokumenty,
pamiątki.*



| LOTNICTWO |

HISTORIA MALOWANE

Portrety pilotów na myśliwcach, kobra na transportowym Herculesie lub orka zdobiąca śmigłowiec Mi-14. Dzięki oryginalnemu malowaniu wojskowe maszyny zyskują indywidualność.



PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDECK

WŁODZIMIERZ BARAŃ



→ HISTORIA MALOWANE

Odpowiednie malowanie samolotów miało służyć maskowaniu. Kamuflaż stosowany był głównie po to, by optycznie zniekształcić sylwetkę maszyny i wtopić ją w kolory tła. Dlatego z jednej strony pojawiły się barwy odpowiadające odcieniom nieba, z drugiej – kolorom powierzchni ziemi. Po co jednak na wojskowych statkach powietrznych umieszczane są osobiste adnotacje, sentencje i portrety kochanek? Odpowiedzi szukać należy w ludzkiej psychice. Dowódcy pozwalali podwładnym oznaczać samoloty według własnego uznania. Dzięki osobistym symbolom lotnicy przywiązywali się do maszyn i bardziej o nie dbali.

Początki barw ochronnych w lotnictwie sięgają I wojny światowej. „Najpierw dominowały naturalne kolory materiałów. Najczęściej były to więc barwy płótna, drewna i sklejek”, wyjaśnia Marek Radomski z Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Materiały lakierowano i impregnowano na różne sposoby, co z kolei

sprawiło, że samoloty były najczęściej w odcieniach od jasnokremowych po ciemnobrązowe. Elementy metalowe pozostawiano w naturalnym kolorze, czasami polerowano je na gładko lub malowano na szaro. Szybko jednak zorientowano się, że lakierowana jasna powierzchnia samolotu błyszczy w słońcu i zdradza jego obecność.

„Zaczęto zatem kombinować, jak ukryć samolot na tle nieba i ziemi”, opowiada Marek Radomski. „Každy kraj robił to na swój sposób. W Anglii zaczęto dodawać do bezbarwnych lakierów czarny pigment. W efekcie na górnych powierzchniach samolotu pojawiały się odcienie oliwkowo-zielone. Najbardziej oryginalne koncepcje zrodziły się w Niemczech i Austrii”.

Typy kamuflażu były rozmaite. Niemcy pokrywali górne powierzchnie maszyn różnymi odcieniami barw ziemi, a na płótnie robili nadruk w nieregularne wielokąty (w czterech lub pięciu kolorach), co przypominało nieco dzieła

NA DZIEWIĘDZIESIĘCIOLECIE 23 BAZY LOTNICTWA
TAKTYCZNEGO W MIŃSKU MAZOWIECKIM TAMTEJSZY
MIG-29 ZOSTAŁ ODZDOBIONY OGROMNĄ
ODZNAKĄ KOŚCIUSZKOWSKĄ



Na MiG-ach z Mińska
Mazowieckiego można
zobaczyć wizerunki pułkownika
Wojciecha Kołaczkowskiego,
podpułkownika Zdzisława
Krasnodębskiego,
podpułkownika Mariana
Pisarka, majora Zdzisława
Henneberga i porucznika
Mirosława Fericia.

impresjonistyczne. Austriacy stosowali podobną metodę, uzupełniając powierzchnie sklejkowe malowanymi, identycznymi jak na płótnie plamkami.

„Artystycznych sposobów malowania było wiele. Zdarzało się nawet, że płótna zdobiły pokręcone kwieciste wzory w kolorach ziemi lub na zielonym tle rysowano drobne sprężynki. Typowy kamuflaż, składający się z dużych plam w kolorach ziemi, jako pierwsi zaczęli jednak stosować Francuzi”, dodaje ekspert z Muzeum Lotnictwa Polskiego. Marek Radomski zwraca uwagę na niemieckie lotnictwo, gdzie niezwykle oryginalne były malowania tego typu. W kamuflażu obok zieleni i brązu pojawił się wrzos i fiolet, a niektóre samoloty już

w jednostkach pokrywane były często jaskrawymi kolorami, żeby wyróżnić maszyny asów. Najbardziej znanym przykładem jest całkowicie czerwone malowanie samolotu niemieckiego asa myśliwskiego Manfreda von Richthofena, nazywanego Czerwonym Baronem.

W czasie I wojny na samolotach poza kamuflażem obowiązkowo pojawiły się także znaki rozpoznawcze, ułatwiające rozróżnienie maszyn własnych i przeciwnika. Jeden rzut oka musiał wystarczyć,

to odcienie brązów i zieleni, nad morzem kolory szaro-zielone i szaro-niebieskie, w Afryce i na południu Europy zielenie, brązy i odcienie piasku. To jednak nie wszystko, malowano bowiem również spód samolotu. Pojawiły się zatem maszyny z „brzuchami” niebieskawymi, seledynowoszarymi lub lazurowymi.

„Różne układy plam zachowały się także po II wojnie światowej i teraz się do nich wraca. Pojawiła się również tendencja do ochrony samolotu przed radarami. Maszyny pozostawały w barwie metalu lub były malowane na białe. Dzisiaj bardzo często pokrywane są odcieniami szarości, malowane farbą mającą właściwości pochłaniania fal radarowych”, podkreśla specjalista z krakowskiego muzeum.

A jak dziś wyglądają kamuflaże polskich samolotów i śmigłowców? Ekspert z muzeum twierdzi, że w polskim lotnictwie jest zbyt duża różnorodność. W wielu wypadkach zastosowane barwy kłócą się z zasadami maskowania. Są samoloty w plamy w odcieniach szarości (MiG-29, F-16 i nowe egzemplarze C-295M), ale są również w odcieniach zieleni, żółci i brązu (M-28), jednolicie szare (C-130 Hercules) i zielone (Mi-2, Mi-17). Sposoby malowania wynikają z różnych zadań poszczególnych rodzajów lotnictwa.

OBRAZY NA STATECZNIKU

Ciekawy pomysł malowania samolotów od półtora roku można zaobserwować w 23 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. Idea związana jest z okazjonalnym pomalowa-

PIERWSZA BYŁA SOWA

15 Samodzielną Eskadrę Lotnictwa Rozpoznawczego istniała do 1988 roku. Jej godło malowane na samolotach powstało w 1983 roku. Opracował je i wykonał technik klucza eksploatacji samolotów SBLim-2A młodszy chorąży Ryszard Szymła wraz z chorążym Grzegorzem Sztermelem. Była na nim sowa, której wzór Szymła zaczerpnął z bajki dla dzieci „Sowa złotooka”. Zamiast gałęzi, na której siedział ptak, narysowano jednak kotwicę. Pierwszym samolotem, który otrzymał nowe godło, była Iskra numer 1623.

BARTOSZ BERA

by żołnierze nie strzelali do swoich. Francuzi, a za nimi Anglicy, Włosi, Belgowie, Amerykanie i Rosjanie malowali trójkolorowe kokardy w barwach narodowych. W lotnictwie Austro-Węgier i Niemiec stosowano równoramienny krzyż, który w pierwszym przypadku pozostał przez całą wojnę taki sam, a w drugim zmieniał swój kształt.

Pokrywanie samolotów kamuflażem w okresie międzywojennym zarzucono. Maszyny były srebrzyste lub w jasnych kolorach, jednolicie oliwkowe lub brązowe. W polskim lotnictwie przełom stanowił okres poprzedzający wybuch II wojny. Wówczas po raz pierwszy pojawił się trójkolorowy kamuflaż – oliwkowo-żółtawo-zielony. Barwy nanoszone były symetrycznie na lewej i prawej stronie samolotów.

Wraz z wybuchem II wojny światowej znów powszechnie zaczęto stosować kolory ochronne. Dostosowywano je do barw ziemi charakterystycznych dla określonego teatru działań. Nad Europą były

niem jednego z MiG-29. Na dziewięćdziesięciolecie jednostki myśliwiec został ozdobiony ogromną odznaką kościuszkowską, na którą składają się skrzyżowane kosy na tle białoczerwonych pasów. Taki samolot prezentowany był na wielu imprezach lotniczych na świecie. Barwny znak przyciągał zawsze uwagę widzów i komentatorów, którzy zainspirowani jego symboliką poszukiwali informacji o historii polskiego lotnictwa.

Pilotom z 23 Bazy, która od ponad 20 lat kultywuje tradycje eskadr kościuszkowskich, bardzo spodobała się inicjatywa malowania samolotów. „Zaczęli nas dopytywać, czy można zrobić coś jeszcze, by mińskie myśliwce dodatkowo czymś się wyróżniały. Wtedy wpadliśmy na pomysł umieszczania na samolocie wizerunku któregoś z zasłużonych dla Polski pilotów wojskowych”, mówi Wojtek Matusiak z Fundacji Historycznej Lotnictwa Polskiego. Wybór padł na podpułkownika pilota Mariana Pisarka. Jego portret namalowany został na myśliwcu o numerze bocznym 56 w 2012 roku, kiedy przypadła 100. rocznica urodzin i zarazem 70-lecie śmierci tego słynnego pilota Dywizjonu 303.

Tak powstał projekt „Kosynierzy Warszawscy”. Za zgodą Dowództwa Sił Powietrznych fundacja ozdobiła niemal wszystkie →



mińskie samoloty (do 10 listopada 2013 roku jeszcze trzy egzemplarze czekały na malowanie). MiG-i otrzymały okolicznościowe zdobienia – portrety pilotów i odznakę kościuszkowską.

„Konieczna była zgoda DSP, bo choć regulamin nie zabrania malowania samolotów, użyte kolory powinny być zgodne z wojskowym kamuflażem. Dlatego wszystkie portrety utrzymane są w odcieniach szarości”, tłumaczy Robert Gretzyngier z fundacji, prowadzący prace malarskie.

Wizerunki pilotów, którzy ozdabiają pionowe stateczniki myśliwców, nie są przypadkowe, a jak przyznają pomysłodawcy, wybór postaci nie był łatwy.

„Bohaterów polskiego nieba jest wielu, a my musieliśmy wybrać zaledwie 16 osób. Szukaliśmy więc takich motywów,

które wiązałyby pilotów z mińską eskadrą”, wyjaśnia Robert Gretzyngier. „W efekcie wybraliśmy najbardziej wybitnych lotników, którzy w szeregach eskadr kościuszkowskich 7. i 111. lub Dywizjonu 303 walczyli na różnych frontach o niepodległość Polski”.

Dlatego też na MiG-ach z Mińska Mazowieckiego można zobaczyć na przykład wizerunki pułkownika Wojciecha Kołaczewskiego, podpułkownika Zdzisława Krasnodębskiego, podpułkownika Mariana Pisarka, majora Zdzisława Henneberga i porucznika Mirosława Fericia. Do grona uhonorowanych w ten sposób lotników dołączyli też Amerykanie, którzy współpracowali z Polakami podczas wojny o granice Rzeczypospolitej w 1919 roku: major Cedric Fauntleroy, dowódca eska-



**BARWNE, OKOLICZNOŚCIOWE
MALOWANIA SAMOLOTÓW BOJOWYCH
WIĄŻĄ SIĘ NAJCZĘŚCIEJ Z POKAZAMI,
ZŁOTAMI LUB OBCHODAMI ŚWIĄT
JEDNOSTEK LOTNICZYCH**



Nazywanie samolotów i malowanie na nich rysunków to w lotnictwie żadna nowość. Taka tendencja przyjęła się zwłaszcza u Niemców w czasie I wojny światowej i u Amerykanów w okresie II wojny.

dry kościuszkowskiej w latach 1919–1920, i Merian Cooper, pilot tej eskadry.

„Miński” sposób ozdabiania samolotów jest kosztowny i dość skomplikowany. Wiąże się bowiem z pracochłonną procedurą nanoszenia specjalnych farb na powierzchnię maszyny. „Namalowanie pierwszego portretu zajęło nam osiem godzin. Ostatniego już cztery godziny”, przyznaje Robert Gretzyngier. Członkowie fundacji korzystają z własnych projektów, a do pracy używają specjalnych farb (do ciężkiego sprzętu) i szablonów. Materiały pozyskują od kilku zaprzyjaźnionych firm.

Wizerunki asów lotnictwa przykuwają uwagę. „Odwiedza nas sporo osób. To dla nich lekcja żywej historii, mająca przypominać o kościuszkowskich korzeniach jednostki i zachować pamięć

o najlepszych pilotach. Teraz to także wyróżnik naszej jednostki”, mówi major Mirosław Guziel, rzecznik prasowy 23 Bazy.

Prezes fundacji Piotr Hodyra dodaje, że teraz każdy samolot to historia jednego z lotników tworzących dzieje polskich skrzydeł. „Warto popularyzować historię, z której możemy być dumni, zwłaszcza że z kanonu lektur szkolnych wycofano «Dziwizjon 303», na którym wychowała się cała rzesza miłośników lotnictwa takich jak my”.

KOBIETA NA HERCULESIE

MiG-i to jednak niejedynie samoloty ozdobione okolicznościowym malowaniem. Na taki sam pomysł wpadli także lotnicy z Powidza, gdzie stacjonują między innymi największe pol- ➔



BARTOSZ BERA

Malowane na śmigłowcach i na samolotach odrzutowych wielkie oczy poza wartościami estetycznymi mają zastosowanie praktyczne. Podobno metodę tę stosowali jako pierwsi Rosjanie. Wielkie oczy miały odstraszać ptaki.

SZACHOWNICE W POWIETRZU

Lotnicze szachownice kiedyś były umieszczane po obu stronach statecznika pionowego (w wypadku podwójnego usterzenia pionowego tylko na zewnętrznych powierzchniach stateczników pionowych) oraz na dolnych powierzchniach lewego i prawego płata skrzydła (w dwupłatach tylko na dolnych powierzchniach lewego i prawego dolnego płata skrzydła). Od lutego 2012 roku obowiązują znowelizowane przepisy dotyczące używania znaków Sił Zbrojnych RP z 2009 roku, w tym szachownic na statkach powietrznych. Teraz malowane są także na górnych powierzchniach skrzydeł wojskowych samolotów.

WOJENNE KAMUFLAŻE

Podczas zimnej wojny maszyny amerykańskie zazwyczaj malowano w odcieniu szarości, podczas gdy radzieckie bardzo często miały kolorowy kamuflaż. Wynikało to z innego podejścia do ich obsługi. Samoloty amerykańskie były trzymane w klimatyzowanych hangarach, a radzieckie stały pod gołym niebem, potrzebny był im więc kamuflaż ukrywający je na tle drzew, trawy czy ziemi.

skie transportowce C-130 Hercules. W 2011 roku służący w eskadrze technicznej w 33 Bazie Lotnictwa Transportowego starszy chorąży sztabowy Henryk Oleszczuk zaprojektował godło osobiste dla pierwszego dostarczonego do Polski Herculesa o numerze bocznym 1501.

„Samolot długo stał w hangarze i ciągle coś przy nim robiliśmy. Przekornie więc nazwaliśmy go królową hangaru. W nawiązaniu do przezwiska, na boku samolotu pojawił się też rysunek kobiety z napisem «Queen»», tłumaczy podoficer. Na Herculesie znalazł się jeszcze wizerunek drugiej kobiety, co wiąże się z inną historią. „W barwach USAF latał nim amerykański technik pokładowy. Sportretowana na samolocie kobieta i imię «Charlene» to także pamiątka dla żołnierza i jego ukochanej», mówi żołnierz z Powidza.

Starszy chorąży sztabowy Oleszczuk wymyślił malowanie tego pierwszego godła. Zajął się też projektowaniem i przygotowaniem szablonów oraz nanoszeniem kolejnych znaków. Jak to robi? „Szablon z folii samoprzylepnej przyklejany jest do kadłuba samolotu i wtedy czarną szybko schnącą farbą, matową, maluje się godło. Nasza grafika ma wysokość około 50 centymetrów», tłumaczy podoficer.

Następny w kolejności godło otrzymał Hercules z numerem 1502. Jego kadłub zdobi rysunek koby. „Symbol węża na tym samolocie jest na cześć technika, który pracował przy nim w amerykańskich siłach powietrznych. Często, gdy podchodził do samolotu, przecierał okulary, w efekcie czego zyskał przydomek «Kobra»», wspomina starszy chorąży sztabowy Oleszczuk.

Hercules 1508 to jedyny wypożyczony egzemplarz, który otrzymał godło osobiste. „To stara maszyna, często niedomagająca. Najpierw dorobiła się przezwiska «Czesio». Potem, zainspirowany postacią z serialu «Włatcy móch», ozdobiłem ją sylwetką człowieka połamania», mówi Oleszczuk. Bez godła wciąż zostają dwa transportowce o numerach 1505 i 1503. „Ciągle nie możemy wymyślić niczego dobrego», dodaje technik. Na razie chorąży Oleszczuk zajmuje się śmigłowcami Mi-17, którym na wzór W-3 Sokół chce namalować oczy.

Technikom i pilotom taki sposób ozdabiania maszyn przypadł do gustu. „Przyjęło się, że gdy mówimy o samolotach, to nie używamy numerów, tylko je nazywamy”.

Nazywanie samolotów, zapisywanie dedykacji i sentencji na skrzydłach lub kadłubie to w lotnictwie jednak żadna no-

wość. „Taka tendencja przyjęła się zwłaszcza u Niemców w czasie I wojny światowej i u Amerykanów w czasie II. Wiele samolotów ozdabianych było portretami ukochanych kobiet lub nazywanych ich imionami. Dzisiaj barwne, ilościowe malowania maszyn bojowych wiążą się najczęściej z pokazami, zlotami lub z obchodami świąt jednostek lotniczych”, dodaje Marek Radomski z Muzeum Lotnictwa Polskiego.

ORKA I TYGRYS

Podobnie było podczas 50. jubileuszu lotnictwa Marynarki Wojennej. We wrześniu 2012 roku w Darłowie z tej okazji ozdobiono śmigłowca Mi-14PL 1001 z Grupy Lotniczej 44 Bazy Lotnictwa Morskiego. Nowe malowanie wiroplatu zaprojektował komandor podporucznik Zdzisław Szawłowski. W historii jednostki to drugi śmigłowiec zwalczania okrętów podwodnych z wymalowaną orką. Poprzednia pojawiła się w sierpniu 2002 roku na śmigłowcu z numerem 1012. Maszyna latała w tym kamuflażu do kwietnia 2008 roku, kiedy trafiła do Wojskowych Zakładów Lotniczych w Łodzi na remont oraz modernizację do wersji Mi-14PL/R.

Okazjonalnym malowaniem śmigłowca piloci uczcili też przypadające w 2013 roku dziesięciolecie lotnictwa pokładowego. Maszyna Marynarki Wojennej SH-2G została ozdobiona wizerunkiem morskiego smoka. Projekt zaakceptował dowódca Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej, a wykonała go Trójmiejska Grupa Reklamowa – namalowała morskiego smoka na lewej burcie jednej z maszyn.

Nie zawsze jednak samoloty zdobi się za pomocą farby i pędzla – czasami grafiki są na maszynę naklejane. Tego typu okolicznościowych wizerunków doczekały się polskie Jastrzębie. Piloci z 6 Eskadry Lotniczej, która w logo ma czerwonego tygrysa, ogłosili nawet konkurs na ozdobienie dwóch wielozadaniowych samolotów F-16. Okazją były czerwcowe ćwiczenia taktyczne NATO „Tiger Meet” w Norwegii. Biorące udział w zlocie eskadry tradycyjnie już ozdabiają maszyny „tygrysimi” akcentami. Zwycięski projekt warszawiaka Oskara Gawłowskiego, oko tygrysa kolorystycznie nawiązujące do białoczerwonej szachownicy, nie był typowym malowaniem. Statecznik pionowy samolotu oraz komplet zbiorników konforemnych zostały bowiem oklejone specjalną lotniczą folią. ■



Krzyż na sztandarze

21 Brygada Strzelców Podhalańskich przejęła tradycje Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich spod Narwiku.

Kulminacją uroczystości było przypięcie Orderu Wojennego Virtuti Militari, który Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich otrzymała za kampanię norweską i walki pod Narwikiem w 1940 roku, do płata sztandaru 21 Brygady. „To najwyższe wyróżnienie dla naszych żołnierzy”, podkreślił pułkownik Wojciech Kucharski, dowódca przemyskiej jednostki. Formowanie Samodzielnej Brygady Strzelców

Podhalańskich zaczęło się 9 lutego 1940 roku na terenie Francji. Dowódcą został generał brygady Zygmunt Szyszko-Bohusz. Jednostka walczyła pod Narwikiem, gdzie razem z wojskami alianckimi 28 maja 1940 roku zdobyła miasto. Za tę kampanię naczelny wódz generał Władysław Sikorski odznaczył sztandar brygady Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. A D ■

Broń z drukarki

Powstał pierwszy metalowy pistolet wykonany w technologii 3D.

Amerkańska firma Solid Concepts zaprezentowała kopię samopowtarzalnego pistoletu M1911, zaprojektowanego przez Johna Browninga w 1911 roku, a wykonaną metodą bezpośredniego laserowego spiekania metali (direct metal laser sintering, DMLS). Polega ona na drukowaniu z wykorzystaniem proszków twardszych metali (stali nierdzewnej i stopów niklowo-chromowych). Nakładane są one warstwa po warstwie, następnie spiekane za pomocą lasera o dużej mocy we wcześniej zaprojektowany kształt. Pierwszy na świecie pistolet wykonany z użyciem drukarki 3D – Liberator – zaprezentowano ponad pół roku temu. Prawie cały, z wyjątkiem iglicy, powstał z tworzyw sztucznych. Okazał się nietrwały i zdolny do oddania jedynie kilku strzałów. Jak podaje portal geekweek.pl, metalowa broń jest odporniejsza. Z testowego egzemplarza wystrzelono, bez żadnej awarii, ponad 50 pocisków. A D ■



Karty historii

Wybrano tegorocznych laureatów konkursu na książkę historyczną roku.

Śpośród 20 pozycji nominowanych do przyznawanej już po raz szósty nagrody imienia Oskara Haleckiego wybrano zwycięzców w dwóch kategoriach: najlepsza książka naukowa poświęcona dziejom Polski i Polaków w XX wieku oraz najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku. Jury pod przewodnictwem profesora Piotra Franaszka w pierwszej kategorii wyróżniło pracę

Patryka Pleskota „Kłopotliwa panna S. Postawy polityczne Zachodu wobec Solidarności na tle stosunków z PRL 1980–1989”. Jako najlepszą książkę popularnonaukową uhonorowało pracę Marka Żebrowskiego „Jerzy Giedroyc. Życie przed «Kulturą»”. Konkursowi towarzyszyło głosowanie internetowe, w którym wzięło udział prawie 10,5 tysiąca czytelników. Nagrodzili oni w pierwszej kategorii Sławomira Cenc-

kiewicza, Adama Chmieleckiego, Janusza Kowalskiego i Annę K. Piekarską za publikację „Lech Kaczyński. Biografia polityczna 1949–2005”, a w drugiej Marka A. Koprowskiego za „Wołyń, epopeja polskich losów 1939–2013” (cała seria o Wołyniu jest objęta patronatem „Polski Zbrojnej”). Jury przyznało też wyróżnienie specjalne za książkę „Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956”, przygotowaną pod redakcją Tomasza Łabuszewskiego. Organizatorami konkursu są Telewizja Polska, Polskie Radio i Instytut Pamięci Narodowej. A D ■

**E K S T R E M A L N E
K U L I N A R I A**

Łopian po japońsku

100 gramów korzenia łopianu, dwie marchewki,
50 gramów schabu, łyżka oleju, łyżka sosu sojowego,
dwucentymetrowy kawałek imbiru, łyżka cukru.



Ł A T W E

Korzeń łopianu umyć, Koskrobać i pokroić w zapalkę. Moczyć przez noc w zimnej wodzie z odrobiną octu. Wysuszyć. Obrąć marchewki i pokroić tak samo jak łopian. Obrąć imbir i drobno posiekać. Na rozgrzanym oleju podsmażyć imbir, dodać warzywa i pokrojoną w drobne kawałki wieprzowinę. Smażyć do miękkości, dodać sos sojowy i cukier, smażyć jeszcze przez dwie minuty. Podawać na ciepło.

Łopian rośnie powszechnie w całej Polsce. Jego jadalne korzenie mają brązową skórkę, biały miąższ i słodkawym smaku. Młode rośliny można jeść na surowo, starsze muszą być gotowane, smażone lub marynowane. Korzenie można zbierać wiosną przed kwitnieniem albo późną jesienią. Najlepiej wykopywać rośliny średniej wielkości, ponieważ korzenie większych okazów są łykowate. Łopian jest bardzo popularny w Japonii, gdzie uprawia się go jako warzywo. A N N

Pancerne wody

Muzealnicy szukali w jeziorze zatopionego czołgu.

Mieszkańcy Bobolic poinformowali Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu o pojeździe pancernym spoczywającym od czasów II wojny w pobliskim jeziorze. Pracownicy muzeum przy wsparciu ochotni-

czej straży pożarnej postanowili zwerifikować tę informację. Podwodny rekonesans jednak niewiele dał z powodu słabej przejrzystości wody. Muzealnicy chcą wrócić zimą i zbadać teren za pomocą magnetometru, który wskaże ewentualne miejsca zatopienia wraku. A D



Ssaki w schronach

Fortyfikacje Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego to największe w Polsce zimowisko nietoperzy.

Znajdujące się w województwie lubuskim poniemieckie podziemne umocnienia z powodu panującej tam stałej temperatury i wilgotności stwa-

rzają nietoperzom idealne warunki do hibernacji. W poprzednim sezonie w obiektach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego zimowało ponad 37 ty-

Dżem z głogu

Kilogram owoców głogu, woda,
trzy szklanki cukru.



T R U D N E

Głóg drylujemy, Grozbijamy tłuczkiem, zalewamy szklanką wody i gotujemy do czasu, aż owoce będą się rozpadać. Przecieramy masę przez sito, dodajemy cukier i gotujemy, ciągle mieszając, aż się rozpuści. Potem jeszcze chwilę podgotowujemy i przekładamy gorący dżem do wyparzonych słoików. Dobrze je zakręcamy i odstawiamy do góry dnem do wystygnięcia. Z takiego dżemu po dodaniu bulionu lub wywaru z mięsa, odrobiny czerwonego wina, kilku goździków i soli można zrobić świetny sos do pieczonej wołowiny.

Cierniste krzewy głogów rosną w Polsce dziko w zaroślach, na zrębach lasów. Sadzone są też jako rośliny ozdobne w ogrodach i parkach. Czerwone owoce zbiera się po pierwszych przymrozkach. Głóg jest bogaty w witaminy B, C, fosfor, żelazo i potas. Działa leczniczo w zaburzeniach rytmu serca. A D

sięcy nietoperzy dziesięciu gatunków. W tym roku pierwsze ssaki już rozpoczęły tam hibernację.

Międzyrzecki Rejon Umocniony to system fortyfikacji zbudowanych przez Niemców tuż przed II wojną światową i w jej trakcie. Sieć podziemnych schronów, korytarzy, sal i tuneli ma ponad 30 kilometrów. Jak podaje portal wojско-polskie.pl, pod względem liczności nietoperzy podziemia te są pierwszym w Polsce i ósmym w Unii Europejskiej miejscem zimowania tych ssaków. A D

Tropem 1 Armii

W województwie zachodniopomorskim powstanie szlak muzeów wojskowych.

W skład nowej trasy, wiodącej szlakiem 1 Armii Wojska Polskiego, walczącej na Pomorzu Zachodnim na początku 1945 roku, wejdą między innymi Muzeum Walk o Wał Pomorski w Mirosławcu, Muzeum Pamiątek 1 Armii Wojska Polskiego w Starych Łysogórkach, Muzeum Wojsk Inżynieryjnych 1 Armii Wojska Polskiego w Gozdowicach, Muzeum Ziemi Wałeckiej i Muzeum Wału Pomorskiego w Wałczu, Muzeum Techniki Wojskowej Tytan w Malechowie, Muzeum Wału Pomorskiego w Szczecinku. Instytucją koordy-

nującą ten projekt będzie Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. Jeszcze w 2013 roku ukaże się przewodnik po zachodniopomorskich muzeach wojskowych. Sam szlak zostanie wytyczony i oznakowany w 2014 roku. Głównym celem utworzenia sieci muzeów jest włączenie do wspólnej oferty edukacyjno-turystycznej wszystkich placówek i miejsc pamięci związanych z historią Pomorza Zachodniego oraz przypomnienie walk o Wał Pomorski, zdobycia Twierdzy Kołobrzeg i powrotu Polski nad Bałtyk. A D



Amerykańska duma

Polski oficer dziękował rodzicom amerykańskiego sierżanta za obronę bazy w Ghazni.

Sierżant sztabowy Michael H. Ollis zginął 28 sierpnia podczas obrony przed rebeliantami bazy „White Eagle” w Ghazni. W listopadzie jego rodzina odebrała odznaczenia przyznane przez polskiego prezydenta i szefa resortu obrony – Gwiazdę Afganistanu oraz Złoty Medal Wojska Polskiego. W uroczystości w Nowym Jorku uczestniczył podporucznik Karol Cierpica, dowódca plutonu szturmowego w 18 Batalionie Powietrzno-Desantowym. „Walczyliśmy z sierżantem ramieniem w ramię, ochraniając się wzajemnie. Kiedy jeden z terrorystów zdetonował ładunek, Amerykanin stał bliżej i został śmiertelnie ranny”, opowiadał polski oficer w wywiadzie dla portalu polska-zbrojna.pl. A D

Kolekcjoner

W Monachium istnieje prywatna kolekcja obrazów zagrabionych przez władze III Rzeszy.



W Monachium istnieje prywatna kolekcja obrazów zagrabionych przez władze III Rzeszy. Właścicielem unikatowych zbiorów, zawierających

dzieła Picassa, Chagalla czy Matisse’a, o wartości około miliarda euro, jest Cornelius Gurlitt. Odziedziczył obrazy po ojcu, historyku sztuki, który na polecenie władz III Rzeszy sprzedawał skonfiskowane i zrabowane przez władze dzieła. Kolekcja, licząca ponad 1400 obrazów, została zabezpieczona przez policję. Jak podaje tygodnik „Focus”, sąd nakłania Gurlitta do dobrowolnego oddania obrazów, a w zamian obiecuje zawieszenie śledztwa. Właściciel nie chce jednak zwrócić kolekcji z własnej woli. A D

Minister obrony narodowej ogłasza

II KONKURS

NA NAJLEPSZĄ PRACĘ NAUKOWĄ I BADAWCZĄ
Z OBSZARU OBRONNOŚCI

pod patronatem honorowym prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Bronisława Komorowskiego

Wnioski konkursowe, według wzorów
zawartych w regulaminie,
należy kierować na adres:

**Departament Nauki i Szkolnictwa
Wojskowego MON, Al. Niepodległości 218,
00-911 Warszawa**

do 15 stycznia 2014 roku.

Szczegóły dotyczące konkursu znajdują się na stronach internetowych:

■ www.dniw.mon.gov.pl ■ www.mon.gov.pl/dokumenty ■ www.wojsko-polskie.pl/konkursy
■ www.ncbir.pl/programy-i-projekty---obronnosc-bezpieczenstwo/aktualnosc/art,2391,konkurs-na-najlepsza-prace-naukowa-i-badawcza-z-obszaru-obronnosc.html

SZTORM NA RINGU

Podporucznik marynarki **Piotr Hallmann** dowodzi plutonem w wejherowskim Centrum Wsparcia Teleinformatycznego i Dowodzenia Marynarki Wojennej. Jednocześnie jest gwiazdą mieszanych sztuk walki.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Nie mam pojęcia, jak Piotr Hallmann przeżył to kopnięcie, ale – do diabła – to cudowny powrót!”, zachwycił się Shaun Al-Shatti. Podobnych komentarzy na Twitterze było znacznie więcej. 4 września 2013 roku w Belo Horizonte Hallmann stoczył pierwszą walkę w turnieju federacji UFC. Dla zawodników uprawiających mieszane sztuki walki (Mixed Martial Arts, MMA) to absolutny top. To tak, jakby piłkarz trafił do składu FC Barcelona, koszykarz zaczął grać w NBA, hokeista przywdział barwy jednej z ekip zawodowej ligi NHL. Zadanie ekstremalnie trudne. Hala wypełniona po brzegi, a naprzeciw

niesiony dopingiem gospodarzy faworyzowany Francisco Trinaldo. Hallmann w jakiś nieprawdopodobny sposób jednak wygrał. I to przed czasem. Z miejsca stał się bohaterem.

Dalej jednak nie było już tak różowo. Pod koniec października w serwisach agencyjnych znów pojawiło się zdjęcie Hallmanna. Na ogromnym zbliżeniu widać poobijaną twarz i ledwo tłący się na niej uśmiech. Kilkanaście minut wcześniej, na ośmiokątym ringu w Manchesterze Polak bezdyskusyjnie poległ w walce z Alem Iaquintą. „Piotrek popełnił błąd w sztuce i został za to surowo skarcony”, podkreśla Grzegorz Jakubowski, trener Hallmanna z klubu Mighty Bulls Gdynia.



NA ZAWODOWYM RINGU STOCZYŁ 16 WALK, Z KTÓRYCH WYGRAŁ AŻ 14



SENDSPACE (4)

„Życie jednak toczy się dalej, a on na pewno się pozbiera. Jest twardy”.

DWIE MIŁOŚCI

Piotra Hallmanna ostatnio można było zobaczyć jednak w zupełnie innym wcieleniu. Pod koniec września w studiu telewizji TVN zasiadł w granatowym mundurze podporucznika Marynarki Wojennej. „Jesteś chyba najlepiej walczącym marynarzem w Polsce?”, dopytywał dziennikarz prowadzący wywiad. „Chyba można tak powiedzieć”, odpowiedział z uśmiechem Hallmann.

Sport i armia to jego dwie pasje, niemal od zawsze. Jako młody chłopak trenował piłkę nożną, karate, capoeirę. Ciągłe jednak szukał czegoś innego, dyscypliny, w której czułby się naprawdę dobrze. Znalazł ją, kiedy miał 15 lat. „Poszedłem wówczas na trening mieszanych sztuk walki i niemal od razu poczułem, że to jest właśnie to”, wspomina.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęła w nim też dojrzywać myśl, że zostanie żołnierzem: „Miałem kolegów, którzy wstąpili do Akademii Marynarki Wojennej i bardzo ją chwalili. A mnie interesowała armia. W dodatku pochodzę z Gdyni. Pomyślałem więc, że spróbuję”. Potem były →



Nie tylko dla zawodowców

WŚRÓD NIEKTÓRYCH ZAWODNIKÓW PANUJE OPINIA,
ŻE „WOJOWNIK” MMA POWINIEN BYĆ JAK WIKING
– „WCHODZIĆ NA RING, GWAŁCIĆ, MORDOWAĆ I PALIĆ”
– WTEDY ODNIESIE SUKCES W TEJ DYSCYPLINIE.

Mixed Martial Arts (MMA) są sportem walki, który ma zasady, reguły oraz kategorie wagowe. Pojedynek odbywa się na ringu lub w „klatce”. Dozwolone są ciosy, rzuty, dźwignie, duszenia, kopnięcia i walka w parterze. Zabrania się zaś wsadzania palców lub podbródka w oczy, usta i nos, gryzienia przeciwnika, uderzania w krtań, kręgosłup, nie można też stosować dźwigni na palce. O wyniku starcia decydują nokaut, poddanie się zawodnika lub poddanie zawodnika przez sędziego, gdy nie jest on zdolny do dalszej walki.

Fighter MMA powinien być przede wszystkim wszechstronny – umieć elastycznie wykorzystać całe spektrum swoich możliwości. Gładko przechodzić do walki zarówno w stojce, jak i w parterze oraz zwarciu. Niezbędne są także odpowiednia motywacja, ambicja oraz „twardy charakter”. Przydają się też: kondycja, szybkość, refleks, spostrzegawczość i siła. Treningi wymagają dużej dyscypliny i ciężkiej pracy, ale za to są bardzo zróżnicowane – nie ma w nich miejsca na rutynę.

W wielu opiniach pojedynki MMA jawią się jako bardziej brutalne i krwawe niż starcia w boksie czy kick boxingu, lecz mimo to dyscyplina ta jest bezpieczniejsza. Możliwość zakończenia walki przez nokaut albo poddanie się (których jest zdecydowanie więcej), zmniejszają liczbę niebezpiecznych ciosów, które otrzymuje się w głowę (to nie boks, gdzie można ich zainkasować około 100 lub 200). Na poziomie amatorskim MMA są sportem dla każdego, bez względu na wiek i płeć. P K



Podporucznik Piotr Hallmann pracuje nad swoją sprawnością codziennie. Bieganie, siłownia, technika ćwiczona poprzez setki uderzeń w trzymane przez trenera tarcze.

pięcioletnie studia, praktyki, wyjścia w morze, promocja na stopień oficerski, wreszcie pierwszy przydział. Podporucznik marynarki Piotr Hallmann trafił do Centrum Wsparcia Teleinformatycznego i Dowodzenia MW w Wejherowie. Placówka ta zabezpiecza działania marynarki zarówno na morzu, jak i na lądzie. Odpowiada na przykład za łączność między dowództwem a okrętami, które wykonują zadania w różnych częściach świata. Wspólnie ze Strażą Graniczną prowadzi też stały monitoring polskiego wybrzeża i czuwa nad bezpieczeństwem żegluga w tym rejonie.

Podporucznik Hallmann dowodzi w centrum plutonem. „Służę u nas od początku maja, więc tak naprawdę dopiero się poznajemy”, zaznacza komandor porucznik Rafał Szczepański, komendant Ośrodka Dowodzenia Bojowego, który jest częścią wejherowskiego centrum. Do tej pory Hallmann zaliczył jeden wyjazd na poligon, zajmuje się też szkoleniem swoich podwładnych. Jednocześnie cały czas trenuje.

ORGANIZACJA PLUS UPÓR

Podporucznik Hallmann pracuje nad swoją sprawnością codziennie. Bieganie, siłownia, technika ćwiczona poprzez setki uderzeń w trzymane przez trenera tarcze. Przed pojedynkiem dochodzą do tego jeszcze sparringi. „Takie treningi mogą sprowadzać się do kilku minut intensywnej pracy. Mogą też przerodzić się w półtoragodzinną harów-

kę”, przyznaje Jakubowski. Jedno jest pewne: aby godzić ze sobą sport na takim poziomie i zawodową służbę wojskową, trzeba być wyjątkowo upartym i zorganizowanym. No i mieć wsparcie przełożonych.

Tymczasem Hallmann konsekwentnie pnie się w górę. Ma już na koncie dwa pasy mistrzowskie w wadze lekkiej (federacje CG i WFC). Na zawodowym ringu stoczył 16 walk, z których wygrał aż 14. „Ale bardziej niż swój debiut pamiętam pierwszą walkę amatorską. Stres był wtedy dużo większy”, przyznaje Hallmann.

Jego trener wypowiada się o swoim podopiecznym w samych superlatywach: „Piotrek jest silny i odważny. Nie boi się wymiany ciosów. I ma jedną niesamowitą cechę: nigdy się nie załamuje, prze do przodu, prosto do obranego celu. A talent? W tej dyscyplinie należy raczej mówić o bardzo ciężkiej pracy. Niejeden zawodnik już zmarnował wielki talent”.

Komandor porucznik Szczepański przyznaje, że koledzy służący w Wejherowie kibicują Hallmannowi. Śledzą jego walki i karierę. „Reprezentuje przecież także Marynarkę Wojenną”, podkreśla. Na razie jednak Hallmann ma czas, by odpocząć, pozbierać się po walce w Manchesterze. „Czekamy na kolejne propozycje. Wkrótce znów przystąpimy do intensywnej pracy”, zapowiada Jakubowski i dodaje: „Piotr ma 26 lat. To wiek, w którym w tym sporcie można osiągnąć największą”.

KALENDARZE 2014

**RABAT
20%**

TEWO WOJSKOWY
format 140x195 mm
objętość 400 stron, oprawa twarda
cena det. 18 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 14,40 zł
(w tym 23% VAT)



Nowość



TEPOL
format 110x165 mm
objętość 288 stron, oprawa twarda
cena det. 14,90 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 11,92 zł (w tym 23% VAT)



TEWO
format 140x195 mm
objętość 368 stron
cena det. 18 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 14,40 zł
(w tym 23% VAT)

MANAGER
format A4
objętość 128 stron, oprawa twarda
cena det. 36 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 28,80 zł
(w tym 23% VAT)



AGENDA
format 165x235 mm
objętość 368 stron, oprawa twarda
cena det. 39 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 31,20 zł
(w tym 23% VAT)



TWÓJ TYDZIEŃ
format A5 (pionowy)
objętość 56 strony, oprawa miękka
cena det. 6,50 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 5,20 zł (w tym 23% VAT)



MANAGER
format B5
objętość 128 stron,
oprawa twarda
cena det. 25 zł
(w tym 23% VAT)
cena z rabatem 20 zł
(w tym 23% VAT)



TWÓJ TYDZIEŃ
format 1/2 A4 (poziom)
objętość 56 strony,
oprawa miękka
cena det. 7,80 zł (w tym 23% VAT)
cena z rabatem 6,24 zł (w tym 23% VAT)

Pełna oferta kalendarzy na 2014 rok – strona: www.kalendarze.bellona.pl

ZAMÓWIENIE KALENDARZY

Imię i nazwisko (firma, jeśli dotyczy)

Adres

- ☐ Firma jest płatnikiem VAT. Upoważniam Bellonę SA do wystawienia faktury VAT bez podpisu odbiorcy.
- ☐ Nie jestem płatnikiem VAT. Upoważniam Bellonę SA do wystawienia faktury VAT bez podpisu odbiorcy.
- ☐ Wyrażam zgodę na umieszczenie moich danych osobowych w bazie danych BELLONY SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Bema 87, 01-233 Warszawa oraz korzystania z nich i przetwarzania w celach marketingowych i promocyjnych. Podanie przeze mnie danych jest dobrowolne i przysługuje mi prawo wglądu do nich oraz ich poprawianie. BELLONA zapewnia ochronę danych osobowych zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z dnia 29 sierpnia 1997 r. (Dz.U. nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

Szczegółowych informacji udziela

Dział Handlu Bellony: ul. Bema 87, 01-233 Warszawa

Zamówienia indywidualne: handel@bellona.pl, tel. 22 45 70 306,

22 45 70 378, fax 22 652 27 01

Zamówienia hurtowe: kalendarze@bellona.pl, tel. 22 45 70 449, 22 45 70 450,
fax 22 620 42 71, 22 652 27 65

Kalendarz	Liczba egz.

NIP Zamawiającego Data i podpis

Przy większych zamówieniach możliwość negocjacji rabatu.



ANDRZEJ KALINOWSKI

Węgierscy odkrywcy

W miejscowości Bácsbokod odnaleziono szczątki samolotu, który w 1944 roku został zestrzelony przez Niemców, kiedy leciał z bronią dla warszawskich powstańców.

ANDRZEJ KALINOWSKI, KÁROLY MAGÓ

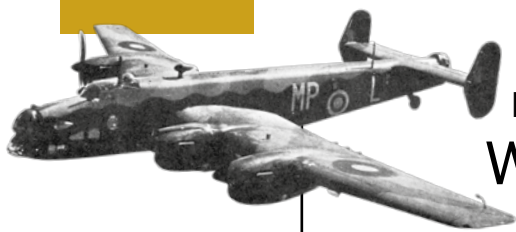
Sobota, 26 sierpnia. Czwarty tydzień powstania warszawskiego. Stare Miasto wciąż jest celem niemieckich ataków z ziemi i powietrza. Około 5.00 kończy się trwająca od poprzedniego dnia ewakuacja władz wojskowych. Powstańcy trzymają pozycje między innymi w Banku Polskim i na części ulicy Długiej. Bronią również Pałac Blanka, ruin ratusza i barykad na ulicach: Miodowej, Podwalu, Piwnej, Świętojańskiej, Kanonii, Brzozowej, Bolesć i Rybaki. Gmach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych początkowo zostaje częściowo opanowany przez wroga, ale wieczorem oddziały Zośka i Czata zajmują niższe piętra tego budynku. Ciężkie straty ponosi Armia Ludowa. W wyniku bombardowania wali się kamienica przy ulicy Freta, w której przebywa w tym czasie sztab warszawskiej AL. W dzienniku

bojowym niemieckiej 9 Armii zapisano: „Powstańcy w Warszawie w dalszym ciągu rozbudowują swoje pozycje i bronią ich zaciekle. Zwężenie kotła na Starym Mieście postępuje”.

Tego samego dnia późnym popołudniem z lotniska Campo Casale koło Brindisi we Włoszech startuje do swego 12. lotu bojowego Halifax oznaczony jako JD 362, o znaku rejestracyjnym GR-E, z polskiej 1586 Eskadry do Zadań Specjalnych. Jego załoga ma wykonać zrzut broni i amunicji dla powstańców w obleganym przez Niemców centrum walczącej Warszawy.

KATASTROFA HALIFAXA

Gdy samolot z pomocą dla powstańców leciał nad terytorium Węgier, zaatakował go Messerschmitt 110 G-4 pilotowany przez kapitana Wilhelma Johnena z niemieckiej grupy my-



LOTNICZE WSPARCIE

W depeszy Naczelnego Wodza do dowódcy Armii Krajowej z 28 sierpnia 1944 na temat zrzutów nad powstańczą Warszawą czytamy: „(...) samolotów startowało 160. Wedle meldunków zadanie wykonało 78. Zginęło samolotów i załóg 27. Zrzutów na Warszawę meldowano 34, pokwitowanych przez Was 25. Zrzutów na lasy podwarszawskie meldowanych 37, pokwitowanych przez Was 25”.

PECHOWA ZAŁOGA

W zestrzelonym samolocie śmierć poniosła cała siedmioosobowa załoga: dowódca – podporucznik nawigator Stefan Gabriel Kleniewski (31 lat), strzelec pokładowy – kapral Edward Jodis (23 lata), pilot – kapral Jan Radwan-Kuźelewski (25 lat), strzelec pokładowy – kapral Tadeusz Ogrodnik (26 lat), bombardier – porucznik Kazimierz Stanisław Sorówka (25 lat), radiotelegrafista – kapral Karol Wałaszek (20 lat), mechanik pokładowy – sierżant Leon Zygmunt Witkowski (29 lat).

śliwców nocnych (8/NJG.6). Uszkodzony Halifax rozbił się w okolicy miejscowości Bácsbokod na terenie Węgier. Wybuch był tak wielki, że jego siła rozrzucała po okolicy fragmenty maszyny, broń oraz rozszarpane ciała załogi. Według świadków zdarzenia części samolotu płonęły jeszcze przez dwa dni.

Tę katastrofę opisano w raporcie węgierskiej żandarmerii królewskiej: „Na skraju miejscowości Bácsbokod (województwo Bács-Bodrog) runął na ziemię czterosilnikowy samolot angielski. Załoga zginęła, spaliła się. W zgłiszczach znaleziono: dwie legitymacje osobiste, dwie mapy Europy, 251 lirów”.

Informacje na ten temat znalazły się również w notatce wojewody Bács-Bodrog, którą tenże skierował 5 listopada 1945 roku do ministra spraw wewnętrznych: „Melduję, że na skraju miejscowości Bácsbokod, przy osadzie Mihályja Scháffera, w sierpniu 1944 roku w walce powietrznej zestrzelono samolot produkcji angielskiej lub amerykańskiej. W samolocie mogło być 6–7 osób, ale dokładnie nie można tego określić, ponieważ wybuch rozerwał załogę na drobne części. Części zwłok władze gminy pochowały w jednej trumnie na cmentarzu komunalnym. Dokumenty tożsamości przejął dowódca stacjonującej tam jednostki SS, dr Márton Zöldi”.

Jedna trzecia mieszkańców Bácsbokod miała niemieckie pochodzenie, 716 osób było w Volksbund i SS. Jeden z członków tej społeczności, doktor Márton Zöldi, zajął się tą katastrofą, choć nie miał do tego uprawnień. Lokalni żandarmi pozwolili na to, bo nie chcieli sprzeciwiać się dowódcy oddziału SS.

NA TROPIE ZAGADKI

Początkowo mieszkańcy zamierzali pochować poległych na miejscowym cmentarzu. Na polecenie doktora Zöldiego szczątki zwłok wrzucono jednak do leju powstałego w wyniku upadku samolotu oraz do rowu melioracyjnego (świadczy o tym brak jakiegokolwiek wpisu na temat ceremonii do cywilnych oraz kościelnych ksiąg wieczystych). Kawałki maszyny zostały rozebrane przez ludzi, chociaż powinny trafić do Instytutu Doświadczalnego Lotnictwa. W 1946 roku komisja brytyjska miała zająć się sprawą katastrofy w Bácsbokod, ale nie doprowadziła nawet do ustalenia miejsca upadku samolotu.

Latem 2009 roku grupa poszukiwaczy wraków, którą kierował Gábor Galambos, wróciła do tej sprawy sprzed lat. Na podstawie wypowiedzi świadków oraz dzięki ówczesnym mapom udało się zlokalizować gospodarstwo Scháffera. Po wielokrotnych wizjach lokalnych i poszukiwaniach specjalistyczną aparaturą określono prawdopodobne miejsce upadku samolotu.

József Ispánovity, świadek zdarzenia, który w 1944 roku miał 16 lat i był członkiem młodzieżowego ugrupowania paramilitarnego Levente, powiedział, że ich grupa została skierowana do strzeżenia szczątków samolotu, które paliły się przez dwa dni. Wspominał, że widział wiele zniekształconych pistoletów maszynowych i części broni.

Członkowie Węgierskiego Towarzystwa Poszukiwaczy Wraków Lotniczych, 86 Bazy Śmigłowców Armii Węgierskiej oraz grupy poszukiwaczy wraków najpierw zajęli się przeszukaniem rowu melioracyjnego, chociaż z powodu wysokiego poziomu wód gruntowych prace można było rozpocząć dopiero jesienią 2011 roku. Następnie 8 października 2012 roku zaczęto przeszukiwać przypuszczalne miejsce upadku maszyny. Znalaziono fragmenty samolotu. Niektóre kawałki były tak skorodowane, że rozpadały się i nie można ich było wyjąć z ziemi w całości. Te w lepszym stanie były zaś osmalone i stopione, co świadczy o tym, że tak jak zeznali naoczni świadkowie, wrak po runięciu na ziemię się palił. W jego części znaleziono ludzkie kości, a także but jednego z członków załogi, guzik od kurtki oraz fabryczną tablicę znamionową samolotu.

Kawałki maszyny poszukiwacze przekazali Muzeum Lotnictwa Węgierskiego w Szolnoku, a znalezienie szczątków ludzkich zgłosili na komendzie policji w mieście Baja. Lekarz dyżurny stwierdził, że są to kości osób mających więcej niż 20 lat, co później potwierdził ekspert sądowy doktor Lóránt Magyar z Uniwersytetu Medycznego imienia Semmelweissa w Budapeszcie. Określił on również przybliżony wiek ofiar oraz prawdopodobne okoliczności i przyczyny śmierci.

Na cmentarzu lotników alianckich w Solymár koło Budapesztu wśród 37 polskich mogił znajdują się symboliczne miejsca spoczynku członków załogi Halifaxa. Tam, gdzie widnieje nazwisko dowódcy samolotu, 20 września 2013 roku złożono szczątki lotników. W uroczystości wzięli udział między innymi przedstawiciele Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Budapeszcie, Sił Powietrznych RP i władz węgierskich. ■

ANDRZEJ KALINOWSKI JEST KONSULEM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W BUDAPESZCIE.

CHORAŻY KÁROLY MAGÓ SŁUŻY W SIŁACH
POWIETRZNYCH WĘGIER I JEDNOCZEŚNIE JEST
SEKRETARZEM WĘGERSKIEGO TOWARZYSTWA
POSZUKIWACZY WRÁKÓW LOTNICZYCH.

| POŻEGNANIA |

Panu płk. rez.
Wiesławowi Woźniakowi
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu płk. rez.
Andrzejowi Wasilewskiemu
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teścia
składają szef, kadra i pracownicy Zarządu Planowania
Operacyjnego – P3 Sztabu Generalnego WP.

Panu st. sierż.
Jarosławowi Oleksińskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
Tomasza Oleksińskiego
składają dowódca i żołnierze
1 Batalionu Zmechanizowanego z 2 Brygady
Zmechanizowanej Legionów
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Złocięcu.

Pani ppłk mgr farm.
Joannie Ziarkiewicz
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca
składają koleżanki i koledzy z Oddziału Logistyki
Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia.

Panu mł. chor. **Piotrowi Nowińskiemu**
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki
składają koledzy ze Służby Dyżurnej Sekretariatu
MON i Sekcji Służb Pułku Ochrony.

Wyrazy szczerego współczucia
i głębokiego żalu
Rodzinie i Najbliższym
w trudnych chwilach po śmierci
ppłk. Krzysztofa Bucholskiego,
szefa Wydziału Informatyki Oddziału Dowodzenia
i Łączności G-6 Dowództwa 2 Korpusu Zmechanizowanego
– komponentu lądowego w Krakowie,
składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu.

Koledze
Maciejowi Bucholskiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy
35 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Rząsce.

Z głębokim żalem i napełnieni smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszej Koleżanki
Elżbiety Domagała,
wieloletniego pracownika wojska.
Szczere kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia,
łącząc się w ból
z Rodziną Zmarłej,
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy wojska
31 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Zgierz.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość,
że 19 października 2013 r. odszedł od nas
płk Grzegorz Nicke.
Wszystkim bliskim oraz znajomym
składamy wyrazy głębokiego współczucia
i szczerego żalu.
Koledzy z 1. plutonu 82. promocji absolwentów
Wyższej Szkoły Oficerskiej im. Gen. J. Bema
w Toruniu.

| POŻEGNANIA |

Pani ppor. mgr Alicji Kempisty

oraz Jej Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Męża

składają komendant, żołnierze i pracownicy 109 Szpitala
Wojskowego z Przychodnią SP ZOZ w Szczecinie.

Panu ppłk.
Arkadiuszowi Stępniewiczowi

oraz Jego Rodzinie

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Matki

przekazują rektor-komendant,
kadra i pracownicy Akademii Obrony Narodowej.

„Czas jest najlepszym lekarstwem na smutek,
a wspomnień nikt nam nie odbierze,
zawsze będą z nami”.

Dziekanowi Wydziału Lotnictwa

Panu płk. dr. inż.

Wojciechowi Kotlarzowi

wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

Siostry

składają rektor-komendant, Senat
i społeczność akademicka
Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych
w Dęblinie.

Pani Ewie Bucholskiej
oraz Rodzinie

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Męża

składają żołnierze i pracownicy Zespołu Wsparcia
Teleinformatycznego
2 Korpusu Zmechanizowanego w Krakowie.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

pułkownika Zdzisława Kostrzewy,

byłego szefa WOPL Krakowskiego Okręgu
Wojskowego.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

składają dowódca, kadra zawodowa i pracownicy
2 Korpusu Zmechanizowanego – komponentu lądowego
w Krakowie.

Rodzinie i Najbliższym

wyrazy szczerego współczucia i żalu
w trudnych chwilach po śmierci

kpt. Grzegorza Nicke

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii.

Z głębokim żalem żegnamy naszego kolegę

**podpułkownika Krzysztofa
Bucholskiego,**

szefa Wydziału Informatyki Oddziału Dowodzenia
i Łączności (G-6).

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

oraz wsparcia w trudnych chwilach
składają dowódca, kadra zawodowa i pracownicy
2 Korpusu Zmechanizowanego – komponentu lądowego
w Krakowie.

Pani ppor. Alicji Kempisty,

koleżance ze 109 Szpitala Wojskowego z Przychodnią
w Szczecinie, wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Męża

składają kadra kierownicza,
żołnierze zawodowi i pracownicy
Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia.

Panu mjr. Markowi Pawłowskiemu

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

POŻEGNANIA

Dowódcy 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego

gen. bryg. pil.

Włodzimierzowi Usarkowi

wyrazy głębokiego żalu i smutku
z powodu śmierci

Mamy

składają dowództwo 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego,
kadra i pracownicy wojska.

Kol. Marianowi Stasiukowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Rodzinie, komendantowi, żołnierzom
oraz pracownikom

Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia
im. Gen. J. Bema w Toruniu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu straty żołnierza, kolegi

płk. Grzegorza Nicke

składają dowódca oraz całe środowisko
Jednostki Wojskowej Komandosów.

Ze smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ppłk. w st. spocz. Stanisława Soski,

żołnierza Wojska Polskiego
oraz pracownika wojska 12 Terenowego
Oddziału Lotniskowego w Warszawie.

Wyrazy szczerego współczucia

Rodzinie i Najbliższym

składają kierownictwo, kadra zawodowa
i pracownicy wojska
12 Terenowego Oddziału Lotniskowego.

Pani Liliannie Mysłək

oraz Jej Rodzinie

wyrazy żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
Resortowego Centrum Zarządzania Sieciami i Usługami
Teleinformatycznymi.

Panu kpt. mar. Bartoszowi Wójcikowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca i kadra 13 Dywizjonu Trałowców.

Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Zdzisława Okrzei

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

wyrazy głębokiego żalu oraz szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy Inspektoratu MON
ds. Bezpieczeństwa Lotów.

Pani Małgorzacie Augustynowicz

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Gen. bryg. pil.
Włodzimierzowi Usarkowi,

dowódcy 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego,
z powodu śmierci

Mamy

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
składają dowódca Sił Powietrznych
gen. broni. pil. Lech Majewski
wraz z żołnierzami i pracownikami Sił Powietrznych.

| POŻEGNANIA |

**Panu gen. bryg. pil.
Włodzimierzowi Usarkowi,**

dowódcy Garnizonu Poznań, wyrazy szczerego współczucia
i szczerę kondolencje w trudnych chwilach
po śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy wojska
Komendy Garnizonu Poznań.

Ks. prał. dr. płk. Tadeuszowi Bieńkowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
41 Bazy Lotnictwa Szkolnego.

**Dowódcy 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego
gen. bryg. pil. Włodzimierzowi Usarkowi**

wyrazy głębokiego żalu i serdecznego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy wojska 31 Bazy Lotnictwa
Taktycznego Poznań-Krzesiny.

**Gen. bryg. pil.
Włodzimierzowi Usarkowi,**
dowódcy 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego,
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
41 Bazy Lotnictwa Szkolnego.

**Panu pułkownikowi
Mirośławowi Jaroszewskiemu,**
prezesowi Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie,
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Brata

składają sędziowie i pracownicy Wojskowego Sądu
Okręgowego w Warszawie.

Prezesowi Wojskowego Sądu Okręgowego
w Warszawie

**pułkownikowi
Mirośławowi Jaroszewskiemu**

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Brata

składają kadra kierowniczą, sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Garnizonowego w Lublinie.

**Panu majorowi Dariuszowi Giza
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy współczucia i żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Panu mł. chor. Arturowi Trzebnemu
wyrazy szczerego współczucia oraz głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają szef, kadra i pracownicy Inspektoratu MON
do spraw Bezpieczeństwa Lotów.

**Paniom Ewie Kuśmierowskiej
oraz Agacie Chodyra**
wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Męża i Ojca

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

**Księdzu kapelanowi
płk. rez. dr. Tadeuszowi Bieńkowi**
Jego Rodzinie, Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają rektor-komendant, senat, kadra, pracownicy,
podchorążowie i studenci Wyższej Szkoły Oficerskiej
Sił Powietrznych.



Z A M K I

WAROWNIA PEŁNA TAJEMNIC

Indiańska księżniczka, złoto Inków i tajemny tunel pod Dunajcem – wszystko to znajdziemy w dawnym obronnym zamku Tropsztyn.

W drugiej połowie XVIII wieku pochodzący z polsko-węgierskiego rodu Sebastian Berzewicz, właściciel zamku Tropsztyn koło Czchowa oraz warowni w Niedzicy, wyjechał szukać szczęścia i pieniędzy w Peru. Poślubił tam inkaską księżniczkę, a ich córka Umina po latach wyszła za mąż za Andreasa, jedynego męskiego potomka królewskiej linii Inków i bratanka wodza Tupaca Amaru.

W tym czasie w Peru trwało powstanie przeciwko Hiszpanom. Po jego stłumieniu Hiszpanie krwawo rozprawiali się ze wszystkimi potomkami królewskiego rodu. Ocalała garstka Inków wraz z Sebastianem, Uminą, jej mężem i małym synkiem przedostała się do Europy, wioząc ze sobą skrzynie pełne złota. Niestety szpiedzy odnaleźli ich w Wenecji, gdzie zamordowali Andreasa. Reszcie udało się przedostać do Niedzicy, ale tu

też dotarł hiszpański wysłannik, który zasztytował księżniczkę. Wtedy Sebastian postanowił ukryć swojego wnuka Antoniego w wielodzietnej rodzinie Wacława Benesza, która go adoptowała.

Dwa wieki później Andrzej Benesz, późniejszy wicemarszałek sejmu, odkrył, że jest potomkiem rodu Amaru. W 1946 roku za zgodą władz na zamku w Niedzicy odnalazł, dzięki rodzinnym dokumentom, zwój pisma węzełkowego kipu.

K S I A Ż K A

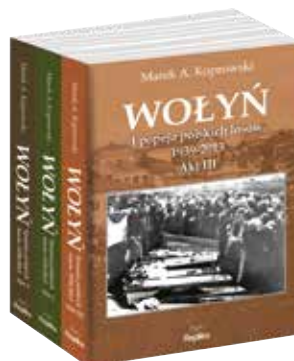
Wołyńskie wspomnienia

Śpieszmy się zachować pamięć o czasach, które nigdy nie powinny się powtórzyć.

To już kolejna, trzecia odsłona tragedii społeczeństwa z Wołynia – gdzie nie ma już Rzeczypospolitej, a ludność narodowości polskiej poddana była jednej z najgorszych eksterminacji narodowościowych XX wieku. Ci, którzy uniknęli „wołyńskiej rzezi”, w wyniku intryg aliantów musieli opuścić na zawsze swój raj z dzieciństwa, ponieważ

znalazł się on poza granicami historycznej ojczyzny. Dwie poprzednie pozycje Marka Koprowskiego „Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013”, które znalazły uznanie wśród czytelników, zostały nominowa-

ne do nagrody imienia Oskara Haleckiego na Książkę Historyczną Roku. Część trzecia jest poświęcona ostatniej walce żyjących jeszcze świadków i uczestników tamtych dramatycznych wydarzeń – jest nią bój o zachowanie pamięci i uwiecznienie relacji osób, które nieubłaganie odchodzą z tego świata na wieczną wartę. Z ośmiu wspomnień zamieszczonych w trzeciej części „Wołynia” dwóch autorów nie dożyło jej publikacji.





Vademecum

Wytryszczka leży w gminie Czchów w województwie małopolskim przy drodze z Brzeska do Nowego Sącza. Zamek, stojący przy głównym trakcie, trudno przeoczyć. Samochód można zostawić na pobliskim parkingu. Warownia otwarta jest dla zwiedzających w lipcu i sierpniu – w tygodniu od 9.00 do 17.00, w weekendy do 19.00. Bilet kosztuje 5 złotych. Można zwiedzić lochy, część oddanych już sal i wdrapać się na wieżę, skąd roztacza się piękny widok na dolinę Dunajca i Beskid Sądecki. Do obejrzenia jest też film opowiadający o losach właściciela zamku Sebastiana Berzewiczego i legendzie dotyczącej skarbu Inków. Na zamku znajdują się też kawiarenka i sklep z pamiątkami. Z noclegiem w Wytryszczce nie ma problemu, są tutaj hotele, gospodarstwa agroturystyczne i zajazdy.

Podobno wskazuje ono drogę do indiańskich skarbów. Niestety dotąd nikomu nie udało się go odczytać. Według legendy skarb po śmierci księżniczki został ukryty w zamku Tropsztyn w podziemnym tunelu wykutym pod Dunajcem. Andrzej Benesz rozpoczął poszukiwania, a w 1970 roku przejął nawet ruiny zamku, ale niczego nie znalazł. Sześć lat później jego pasję rozwikłania tajemnicy przerwała tragiczna śmierć w wypadku samochodowym.

Zamek Tropsztyn, w którym Andrzej Benesz szukał skarbu, leży w Wytryszczce na stromym wzgórzu na zachodnim brzegu Dunajca, a dokładniej nad Jeziorem Czchowskim. Wzniesli go w XIII wieku przedstawiciele rodu Gierałtów-Ośmiorogów do ochrony Bramy Sądeckiej, przez którą wiodł wodny i lądowy szlak handlowy w kierunku Węgier. Pierwotnie warownia składała się z kamiennego muru obronnego wyposażonego w strzelnicę i ganki straży oraz drewnianych budynków.

Następni właściciele, Chebdownie, wzniesli około roku 1390 pierwszy dwukondygnacyjny budynek mieszkalny oraz wysoką kwadratową wieżę w północno-zachodnim narożniku. Potem zamek przechodził z rąk do rąk, a w 1574 roku zasiedlili go zbójnicy, którzy grabili płynące Dunajcem tratwy kupieckie. Aby ukrócić ten proceder, właściciele sąsiadującego Rożnowa napadli na warownię, zabijając rozbójników i jednocześnie rujnując budowlę. Od tamtego czasu stała opuszczona.

W ostatnich latach XX wieku zamek przeszedł w ręce prywatne i dziś jest rekonstruowany przez Fundację Odbudowy Zamku Tropsztyn. Badania archeologiczne pozwoliły wytyczyć bryłę warowni. Odbudowywana jest ona od podstaw z częściowym wykorzystaniem pierwotnych murów, z których zachowały się niewielkie fragmenty. Właściciele chcą urządzić tutaj w przyszłości między innymi muzeum kultury inkaskiej. ■

ANNA DĄBROWSKA

J A R M A R K

Mikołajkowy kram

Warowni Jomsborg Święty Mikołaj zawita już 7 grudnia. Atrakcją historycznego jarmarku świątecznego będą nie tylko mikołajkowe prezenty, lecz także pokazy walk i dawnych rzemiosł. Gospodarzami Warowni Jomsborg (ulica Wybrzeże Gdyńskie w Warszawie) są Fundacja Historyczna i drużyna pasjonatów średniowiecza, znana jako Drużyna Jomborczyków lub Jomsborg Vikings Hird – wikingowie Mieszka I i Bolesława Chrobrego. ■

Bohaterowie Marka Koprowskiego wprowadzają czytelników w świat, w którym doświadczyli okrucieństwa ze strony nazistów, Sowieców, nacjonalistów ukraińskich i w końcu polskiej władzy komunistycznej. To poruszająca książka. Osoby opowiadające o Wołyniu sprzed lat nie wystrzegają się emocji, które – jak sami podkreślają – będą im towarzyszyć do końca dni ziemskiego życia; i jest to atut tej książki, bo emocje dodają jej barwy. ■

JAKUB NAWROCKI

Marek Koprowski, „Wołyń. Epopeja polskich losów 1939–2013. Akt III”, Replika, 2013

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

zaprasza do



WOJSKOWEJ BIBLIOTEKI CYFROWEJ
ZBROJOWNIA



FILM

Świat po apokalipsie

„Powstanie warszawskie” to pierwszy na świecie film fabularny zmontowany w całości z materiałów dokumentalnych.

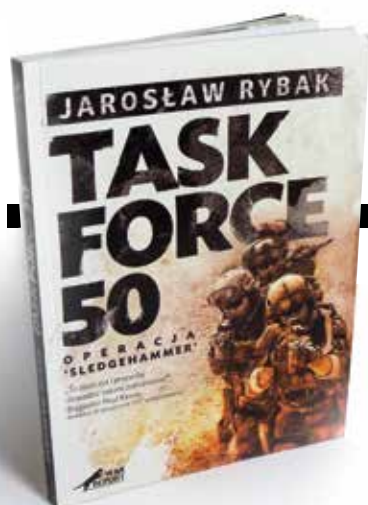
Z ponad sześciu godzin oryginalnych kronik powstał pierwszy na świecie dramat wojenny non-fiction. Opowiada historię powstania warszawskiego oczami dwóch młodych braci, realizatorów powstańczych kronik filmowych, którzy wykonywali rozkazy dla Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej. Są bezpośrednimi świadkami walki po-



wstańczej i marzą o sfilmowaniu prawdziwej wojny. Początkowo jednak dokumentują życie cywilne powstańczej stolicy. Takich materiałów oczekuje od nich dowódca, powierzając im zadanie przygotowania kroniki, która ma być wyświetlona w kinie „Palladium”. Poszukując odpowiednich ujęć, bracia wchodzą coraz bardziej w samo powstanie. W końcu udaje im się dołączyć do jednego z oddziałów, z którym idą na akcję. Mogą wreszcie nakręcić prawdziwą wojnę, tyle że ta okazuje się potworna. Ci młodzi ludzie orientują się, że przyszło im uczestniczyć w czymś przekraczającym ich najśmielsze wyobrażenia – świat, w którym się znaleźli, to świat po apokalipsie. Uświada-

miają sobie, że ich rolą jest jej udokumentowanie i ocalenie za wszelką cenę taśmy z materiałem...

Po prawie 70 latach reżyser Jerzy Komasa z tych unikatowych kadrów z przeszłości postanowił zrobić film fabularny. Żeby ta historia w pełni odzwierciedlała rzeczywistość, trzeba jednak zidentyfikować ludzi, których dwóch braci uwieczniło na taśmie filmowej. Udało się już odnaleźć 50 bohaterów filmu, ale większość z nich jest nieznana. Twórcy zachęcają zatem, żeby włączyć się do akcji „Rozpoznaj”, polegającej na identyfikacji postaci uwiecznionych na kronikach filmowych. Więcej na ten temat na stronie powstaniewarszawskiefilm.pl. MPF ■



KSIĄŻKA

Jeden organizm

Od kilkunastu lat podpatruje polskich komandosów z Lublińca. Towarzyszy im w koszarach, na poligonach i na misjach.

Dzięki temu, że zdobył zaufanie tych żołnierzy, może pokazać nam ich od nieco innej strony, niż zazwyczaj robią to media. Wydawać by się mogło, że po dziesiątkach reportaży (między innymi w „Polsce Zbrojnej” i „Żołnierzu Polskim”) i kilku książkach o specjalsach Jarosław Rybak wyczerpał już tę tematykę. Nic bardziej mylnego. „Task Force-50. Operacja Sledgehammer” to bowiem relacja z wydarzeń, o których do tej pory mało kto wiedział. Informacja o niezwykle trudnej akcji odbicia zakładników w Afganistanie co prawda pojawiła się w międzynarodowych agencjach już kilka godzin po tych wydarzeniach, ale nikt nie wspominał, że to sukces Polaków. W naszym

kraju natomiast operacja „Sledgehammer” przeszła bez echa.

Rybak tym razem nie skoncentrował się tylko na specyfice Jednostki Wojskowej Komandosów, lecz pokazał chłopaków z Task Force-50, wystawionego przez nią do działań w Afganistanie. Przede wszystkim jednak pokazał kulisy operacji, którą Biuro Bezpieczeństwa Narodowego umieściło na trzecim miejscu w zestawieniu dziesięciu wydarzeń, które miały wpływ na bezpieczeństwo Polski w 2012 roku.

Komandosi niewiele mówią o emocjach, jakie im towarzyszyły podczas szturmowania na budynek, w którym talibowie uzbrojeni w pasy szahida więzili

zakładników. Bardzo dokładnie, krok po kroku opisują oni swoje działania. Podczas tej lektury ma się wrażenie, że ten znakomicie wyszkolony i zgrany zespół działa jak automat. Kiedy zaczyna się akcja, kilku żołnierzy niejako scala się w jeden organizm. Wówczas nie ma miejsca na improwizację. Oni po prostu wybierają jeden z wielu przetrenowanych scenariuszy i go realizują. Co ciekawe, komandosi analizują nie tylko swoje posunięcia, lecz także oceniają taktykę przeciwników. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Jarosław Rybak, „Task Force-50. Operacja Sledgehammer”, War Report, 2013



MUZEUM MIEJSKIE WROCŁAWIA

WYSTAWA

Akcja w arsenale

Wrocławski Arsenał Miejski jako jedyny w Europie nadal pełni swoją pierwotną funkcję – przechowuje broń. Jego mroczne sale kryją perły średniowiecznej sztuki płatnerskiej i kowalskiej prezentowane na wystawie stałej „Broń dawna”, która dzięki dofinansowaniu przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego zyskała ostatnio nowy wygląd. Można na niej obejrzeć oręż i zabytki o tematyce militarnej od czasów epoki kamiennej aż po XIX wiek. Otwiera ją fragment średniowiecznego krzyża pokutnego z wyobrażeniem kordu, jednosiecznej broni popularnej pod koniec XV wieku i w początkach XVI. Uwagę zwracają zabytki epoki brązu, w tym miecze i groty strzał, a także eksponaty z czasów rzymskich. Jednym z najcenniejszych zabytków są rękawice XVI-wiecznej zbroi, które mogły należeć do Juliusza I, księcia Braunschweigu-

-Lüneburga-Wolfenbüttelu, lub jego ojca Henryka II, oraz hiszpańska szpada wykonana w Toledo przez miecznika Francisco Ruiza.

Uzupełnieniem zaprezentowanej broni pochodzącej z zachodniego i wschodniego kręgu kulturowego są zdjęcia najwybitniejszego dzieła płatnerskiego, jakie kiedykolwiek było w posiadaniu śląskiej klienteli. To tak zwana zbroja legnicka należąca do Fryderyka II, księcia legnickiego, brzeskiego i wołowskiego. Jej autorstwo przypisuje się dwóm najwybitniejszym płatnerzom z XVI wieku: Kolmanowi Helmschmidowi z Augsburga i Konradowi Seusenhoferowi z Innsbrucku. Interesujące są również wykonane przez Hansa Burgkmaira starszego grafiki przedstawiające XVI-wieczne turnieje. MM

Muzeum Miejskie Wrocławia, Arsenał Miejski, ul. Cieszyńskiego 9

WYSTAWA

Sprawiedliwi

Szesnastu bohaterów wystawy różni bardzo wiele: pochodzenie, wykształcenie, religia, światopogląd, poziom zamożności, status społeczny. Łączy ich to, że w latach 1939–1945 pomagali, ryzykując życie swoje i swojej rodziny, bezinteresownie, z różnych

pobudek. Czynnikiem konsolidującym te osoby było przyznanie im przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie medalu Sprawiedliwi wśród Narodów Świata.

„Krakowscy sprawiedliwi. Motywy, postawy, przesłanie”, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Fabryka Schindlera, ulica Lipowa 4

KSIĄŻKA

Prezydencki bilans

Obama kieruje dobrze interesami narodowymi, ale nie ma na swoim koncie istotnych dokonań.

Wkrótkim czasie po ukazaniu się książki Zbigniewa Brzezińskiego „Strategiczna wizja” do polskiego czytelnika trafia bardzo interesująca publikacja, zawierająca ocenę polityki zagranicznej USA w pierwszych trzech latach rządów prezydenta Baracka Obamy. „Popularność Obamy to wypadkowa porażki polityki zagranicznej George’a W. Busha”, trafnie zauważa we wstępie do polskiego wydania książki Marcin Zaborowski, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Według niego sukcesy Obamy to zakończenie wojny w Iraku, podpisanie nowego układu START z Rosją czy eliminacja Osamy bin Ladena.

Za najważniejszy problem w amerykańskiej polityce zagranicznej zostały uznane stosunki amerykańsko-chińskie. Obama dość szybko odkrył i uznał, że rozwiązywanie najważniejszych spraw na świecie wymaga współpracy z Chinami. Przełomem i sukcesem okazał się natomiast tak zwany reset w stosunkach z Rosją. Aby zdobyć przychylność Rosji, Obama wprawdzie odstąpił od zainstalowania tarczy antyrakietowej w Polsce, ale podpisał nowy układ START.

Według autorów, Obama kieruje dość dobrze interesami narodowymi, ale nie ma na swoim koncie istotnych dokonań. Jest bowiem duża przepaść między głoszonymi przez niego wizjami a faktycznym prowadzeniem polityki zagranicznej.

JACEK POTOCKI

Martin S. Indyk,
Kenneth G. Lieberthal,
Michael E. O’Hanion,
„Zmieniając historię.
Polityka zagraniczna
Baracka Obamy”,
Polski Instytut Spraw
Międzynarodowych,
2013



KSIĄŻKA

Myszy czołgistki

Jesús Hernández w swojej książce przedstawia mało znane epizody z II wojny światowej. Opisuje między innymi bardzo zabawne, a czasami wręcz niewiarygodne sytuacje z tamtego okresu. I tak na przykład w Niemczech kaczka precyzyjnie ostrzegała mieszkańców przed zbliżającym się bombardowaniem. Francuscy jeńcy wojenni z kolei, żeby zabić nudę, stworzyli miniaturowe czołgi, które poruszały się dzięki umieszczonym w środku myszom. Dowiadujemy się również, że

nazwa pizzy carbonara wywodzi się z kampanii na Półwyspie Apenińskim. Takie ciekawostki, wzbogacone smaczkami z życia głównych graczy na arenie drugowojennej, sprawiają, że książkę czyta się jednym tchem. Mało kto bowiem wie, że Hitler uwielbiał oglądać filmy rodem z Hollywood i gardził niemiecką kinematografią, a i teza o jego abstynencji też daleka jest od prawdy...

JAKUB NAWROCKI

Jesús Hernández, „Zaskakujące historie z drugiej wojny światowej”, Bellona, 2010



KSIĄŻKA

Kopenhaskie zbrodnie

Wojna na Bałkanach stworzyła wiele bestii.
Niektóre z nich ukryły się w Kopenhadze.

Po raz kolejny Kopenhaga, za sprawą poczytnej autorki kryminałów Sary Bładel, staje się miejscem przerażającej zbrodni. Tym razem ofiarą jest młoda prostytutka, prawdopodobnie pochodząca z Europy Wschodniej. Asystent kryminalna Louise Rick wraz z zespołem policjantów z wydziału zabójstw komendy miejskiej rozpoczyna śledztwo. Trop prowadzi do dwóch Albańczyków podejrzewanych o handel kobietami. Wkrótce okazuje się jednak, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż wydawało się na początku, a śledztwo szybko przekracza poza granice Danii. W czasie, gdy policjanci usiłują ustalić tożsamość zamordowanej dziewczyny, do jednego z miejskich kościołów ktoś podrzuca noworodka. Nikt nie wie, czy coś łączy te dwie sprawy, a wraz z postępem dochodzenia morderstwo prostytutki wydaje się coraz bardziej tajemnicze.

Asystent kryminalna Louise Rick to bohaterka cyklu powieści Sary Bładel. Pierwsza część, „Handlarz śmiercią”, w Danii sprzedała się w ponad 200 tysiącach egzemplarzy i została przetłumaczona na kilka języków. W czwartej,

„Pożegnanie wolności”, Louise i jej koledzy z wydziału zabójstw nie tylko muszą się zmagać z międzynarodową grupą przestępczą, lecz także radzić sobie z cięciami etatowymi w kopenhaskiej policji, co znacznie ogranicza detektywom możliwości działania. W dodatku w sprawę zamieszana jest przyjaciółka Rick, dziennikarka działu kryminalnego dziennika „Morgenavisen”.

Sara Bładel zgrabnie łączy wątki kryminalne i społeczne, osadzając je w kontekście wojny na Bałkanach. „Pożegnanie wolności” to może nieefektywne, ale na pewno klasyczny kryminał. Akcja toczy się szybko, wciąż dochodzą nowe tropy, tak że, czytając, nie można się znudzić. Są sfrustrowani policjanci, niebezpieczni międzynarodowi przestępcy i niewinne ofiary. Może się jednak okazać, że nie wszyscy są tacy, za jakich chcą być uznawani, a zakończenie nie jest takie oczywiste. Przed nami długie, zimowe wieczory i „Pożegnanie wolności” z pewnością ociepli kilka z nich.

JOANNA ROCHOWICZ

Sara Bładel, „Pożegnanie wolności”, Prószyński i S-ka, 2013

KSIĄŻKA



Bohaterowie, ale...

Jeden z bohaterów książki Elżbiety Cherezińskiej „Legion” trafnie określił chaos, jaki panował w polskim podziemiu w czasie II wojny światowej: „...powinienem chyba wziąć korepetycje z tajnych organizacji wojskowych oraz tego, kto z kim i gdzie, a kto przeciw komu. Trudno się połapać”. I faktycznie ta powieść, opisująca historię Brygady Świętokrzyskiej od jej prapoczątków, wprawdzie odzwierciedla skomplikowane relacje między rządem londyńskim a politycznymi spadkobiercami przedwojennej Polski, którzy próbowali zorganizować zbrojne podziemie w okupowanym kraju, ale... jest to obraz uproszczony i jednostronny, nakreślony głównie z perspektywy organizacji prawicowych. W te polityczno-wojskowe rozgrywki historii zwykłych ludzi, którym przyszło żyć pod jarzmem niemieckim i sowieckim, są wplecione tak umiejętnie, że książkę Cherezińskiej czyta się jednym tchem, ale... niektórzy jej bohaterowie są trochę jakby wyjęci z naszych czasów. Ze względu na mnogość wątków i postaci na początku lektury pomocne są notki o bohaterach, czasie i miejscu akcji, pewnego rodzaju didaskalia, ale... w miarę zagłębiania się w fabułę irytują i wręcz przeszkadzają one w lekturze. Ten zabieg autorki oraz wartkie dialogi sprawiają, że powieść jest niemal gotowym scenariuszem filmu. Jak widać, „Legion” ma wiele braków – napisany został pod pewną tezę, jest czarno-biały, a miejscami wręcz infantylny, ale... z całą pewnością warto tę książkę przeczytać.

ANETA WIŚNIEWSKA

Elżbieta Cherezińska, „Legion”, Znak, 2013



Studium fanatyzmu

Psychologiczny thriller opowiada o opętanej paranoją żołnierzu.

MATERIAŁY PRASOWE

ANNA DĄBROWSKA

To opowieść o tym, że od szlachetnych idei, patriotyzmu i religijności do fanatyzmu dzieli człowieka tylko jeden krok”, tłumaczył na konferencji prasowej na festiwalu filmowym w Gdyni Tadeusz Król, reżyser filmu „Ostatnie piętro”.

Scenariusz powstał na podstawie opowiadania Witolda Beresia, którego zainspirowały autentyczne wydarzenia w Polsce sprzed kilku lat. Mieszkający w niewielkiej miejscowości żołnierz zamknął się z rodziną w mieszkaniu, a potem popełnił samobójstwo. Akcja „Ostatniego piętra” także rozgrywa się w małym polskim miasteczku. Kapitan Adam Derczyński (w tej roli Janusz Chabior) wie tam szczęśliwe życie z żoną (Joanna Orleańska) i trójką dzieci. Swoich kilkuletnich synów i nastoletnią córkę uczy patriotyzmu i posłuszeństwa. Dla oficera bowiem słowa: Bóg, honor, ojczyzna, uczciwość i wierność, nie są frazesami, lecz sensem życia.

W swoich poglądach i przywiązaniu do tradycyjnych wartości jest radykalny, a do tego surowy i pedantyczny. „Jego patriotyzm jest toporny”, wyjaśniał w Gdyni Janusz Chabior. „Wszystko, co polskie, jest dobre, a Żydzi, pedały i czarni stanowią potencjalne zagrożenie”.

Spokojne życie rodziny zmienia się, kiedy kapitan wpada na trop afery finansowej w swojej jednostce. Odpowiedzialni za nieprawidłowości przełożeni, w obawie przed ujawnieniem przekrętów, planują przenieść oficera do innej jednostki. Kapitan sądzi, że jest na tropie antypolskiego spisku. W tym przekonaniu utwierdza go nieudana próba poinformowania przełożonych o nadużyciach.

Jednocześnie do miasteczka powraca dawna miłość jego żony. Z dnia na dzień poukładany świat Derczyńskiego rozpa-

da się jak domek z kart. Kolejne domysły doprowadzają go do paranoi, a jego konserwatywno-narodowe poglądy ujawniają się ze zdwojoną siłą. Wówczas film zamienia się z lekkiej, obyczajowej komedii w psychologiczny thriller.

„Dla głównego bohatera to rodzina jest najważniejsza, dlatego gdy dochodzi do ekstremalnej – jego zdaniem – sytuacji, postanawia jej bronić za wszelką cenę”, tłumaczył reżyser. Kapitan wprowadza w domu wojskowy dryl. Zmusza najbliższych do ćwiczeń na wypadek ataku gazowego. Wyrzuca też telewizor, bo media zatruwają umysł. Ratunku upatruje w izolacji od świata. Stopniowo ogranicza rodzinie swobodę – dzieciom zabrania chodzić do szkoły, a żonie na zakupy. W końcu, pragnąc chronić najbliższych, robi z nich zakładników – barykaduje się z nimi w służbowym mieszkaniu na ostatnim piętrze wieżowca. Rozpoczyna się rodzinny dramat...

Film jest, jak tłumaczył reżyser, historią szaleństwa. Obserwujemy eskalację obsesji bohatera, która wyrasta z pozytywnego poglądu na świat, przybierającego jednak karykaturalną formę. Choć intencje kapitana są dobre, jego działania wiodą do katastrofy. „Chcemy pokazać, że każda skrajna i radykalna postawa może doprowadzić do tragedii”, dodawał Tadeusz Król. „Niech film będzie przestrogą dla ludzi, którzy zatracili się w swoich ideałach i uważają, że ich poglądy są jedyne i najważniejsze”.

„Ostatnie piętro”, reżyseria i scenariusz Tadeusz Król, zdjęcia Tomasz Augustynek. Występują: Janusz Chabior, znany z filmu „Drogówka” i „Różyczka”, Joanna Orleańska („Zwerbowana miłość” i „Pregi”), Przemysław Bluszczyński („Jesteś Bogiem”), Marek Kalita („Sęp”). Produkcja Sowa Film, koprodukcja Telewizja Polska i FDR Studio.

| KRZESINY

Egzamin na piątkę

W 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego odbył się kurs szkoleniowo-metodyczny „Złot 2013”, podczas którego sprawdzianowi zostali poddani dowódcy eskadr, baz i skrzydeł lotnictwa wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Egzamin w powietrzu wszyscy zaliczyli na ocenę bardzo dobrą, w części teoretycznej oprócz piątek było kilka czwórek. ANN

PIOTR ŁYSAKOWSKI

W STOLICY NIE ZABRAKŁO
ATRAKCCI Z OKAZJI
ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI

| WARSZAWA

Radosne świętowanie

Jak co roku, głównym punktem warszawskich obchodów 11 listopada była uroczysta zmiana warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Uświetniły ją salut armatni, wojskowa defilada oraz występ Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Potem ulicami miasta przeszedł marsz pod hasłem „Razem dla Niepodległej”, który poprowadził prezydent Bronisław Komorowski. W uroczystych obchodach uczestniczyło ponad 150 rekonstruktorów w strojach historycznych, a główną atrakcją był blisko stuletni czołg Renault FT-17 sprowadzony z Afganistanu. AD

KONRAD KACZMARZ / D G W



RAFAL MNIEDŁO / 11 LDKPANC (3)



ŻAGAŃ

Pali się

Procedury postępowania na wypadek pożaru trenowali żołnierze i pracownicy wojska w 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej. Ich szkolenie obserwowały dzieci ze szkoły podstawowej. Mogły nawet ugasić pożar specjalnie przygotowanego pojemnika z płonąca substancją. A N N



IGDYNIA

Polska gola

W piłkarskim meczu rozegranym między reprezentacją Marynarki Wojennej a włoskimi marynarzami z niszczyciela ITS „Caio Duilio” zwyciężyli Polacy. Pokonali Włochów 10:2. A N N



MARIAN KLUCZYŃSKI

ŚWIĘTOSZÓW

W gościnie

Z okazji Święta Niepodległości żołnierze 10 Brygady Kawalerii Pancernej zorganizowali piknik dla mieszkańców Świątoszowa. Wśród gości największym zainteresowaniem cieszyły się Leopard 2A4 oraz wojskowa grochówka. A D

K. ZAKOWSKI



IGDYNIA

Morska grupa

Ponad 260 członków załóg okrętów reprezentujących bandery sześciu państw świętowało 40 lat działania na morzu Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwminowej NATO Grupy 1, który jest najdłużej funkcjonującą grupą okrętów w sojuszu. A N N



Prezent od wojska

Żołnierzom, którzy nie służyli w armii z poboru, trudno nawet sobie wyobrazić, jakie emocje wiązały się ze świętami Bożego Narodzenia.

WŁODZIMIERZ KALETA

Dla żołnierzy był to okres oczekiwania w napięciu na urlop lub choćby „dwudobówkę”, związany z niepewnością, czy aby uda się wyjechać do domu. Armia bowiem zawsze musiała być w stałej gotowości do odparcia wroga. Dowódcy mieli za zadanie stale mieć pod bronią 70 procent pododdziału. Również w święta. Chyba że w pobliżu znajdowała się inna jednostka – wtedy jednorazowo mogło wyjechać nawet 50 procent żołnierzy. Niełatwo było zatem załapać się na urlop świąteczny. Zdarzało się też, że jedni dostawali go w nagrodę, a inni za karę.

Adam C., pewien młody żołnierz z jednostki łączności w Bydgoszczy, nie krył zadowolenia z tego, że na święta jedzie do domu. Z reguły w pierwszych miesiącach służby świąteczne urlopy i przepustki były zarezerwowane w większości dla starszych żołnierzy (on trafił w kamasze w kwietniu 1972 roku). Młodzi pełnili w tym czasie warty i służby. Adam C. dostał jednak urlop w nagrodę. Dowódca zdecydował, że żołnierz, który będzie najlepszy w strzelaniu, spędzi święta z rodziną. Mógł nawet wcześniej wyjść z jednostki, by w rodzinnym Włocławku zdążyć jeszcze zasiąść do wigilijnej wierzery. Patrol Wojskowej Służby Wewnętrznej zatrzymał go jednak, gdy biegł na peron. „Niechlujny jesteście żołnierzu. No i te włosy... Taki zarośnięty chcecie zasiąść przy stole? Ogarnijcie się trochę, doprowadźcie do porządku i wtedy wróćcie po przepustkę”. Adam C. pobiegł do pobliskiego fryzjera. Aby nie dać patrolowi okazji do kolejnych zarzutów, poprosił o ostrzyżenie na tyso. Patrol jednak uznał to za próbę ośmieszenia go i nieszczęśnik, zamiast na dworzec, trafił do

aresztu garnizonowego. „Co się martwisz?”, pocieszał go żołnierz roznoszący prowiant. „Zjesz sobie dobre śniadanko, bułeczki z masłem i szyneczką, a na obiad będą barszczyk i schabowy”. Adam C. schabowego za kratkami jednak nie doczekał. Przyjechał bowiem po niego samochodem oficer dyżurny z jednostki i odebrał pechowca z aresztu. Wysłuchał jego historii i zamiast do koszar podrzucił żołnierza na dworzec. Zaczekał nawet z nim na peronie do przyjazdu pociągu, bo na dworcu pełno było patroli WSW. Młodych żołnierzy wyczuwali na milę. Pociąg odjechał o czasie i Adam C. zdążył na kolację wigilijną.

Inną „święteczną” przygodę miał „Góral”, łącznościowiec w niewielkiej samodzielnej jednostce w Wałcu. Pewien kapral był na niego wyjątkowo cięty. Kiedy zobaczył, że „Góral” prasuje mundur przed wyjazdem na urlop, zakomenderował zbórkę wyjeżdżających. Najpierw ostro ich przetrenował, a później nieludzko wymęczonym kazał iść na strych kompanii. Tam, tak „profilaktycznie”, żeby któremuś z żołnierzy nie wpadło do głowy nie wrócić na czas z przepustki, kazał każdemu dziesięć razy podnieść skrzynię amunicyjną wypełnioną kamieniami. „Góral” odmówił dźwigania. A gdy kapral starał się go do tego zmusić, doszło do szarpaniny. Po tej sprzeczce kapral poskarżył się dowódcy. Dostał jednak od niego „opeer”. Wstyd na całe wojsko i koniec dobrze zapowiadającej się kariery. Burę dostał też „Góral”. Dowódca zdegradował go ze starszego szeregowego do szeregowego i za karę wysłał na urlop, ponieważ zaraz po świętach chciał go przenieść do innej jednostki. „To był mądry dowódca”, wspomina „Góral”.

polskaZbrojna

Koszt prenumeraty rocznej
to tylko 65 zł

Zamów prenumeratę na 2014 rok

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97

telefonicznie: +48 22 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 10 stycznia 2014 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

12

wydań w cenie

10

pre
nu
me
rata

lut

październik

grudzień

CZYTAJ
NAS **CODZIENNIE**

polska-zbrojna.pl